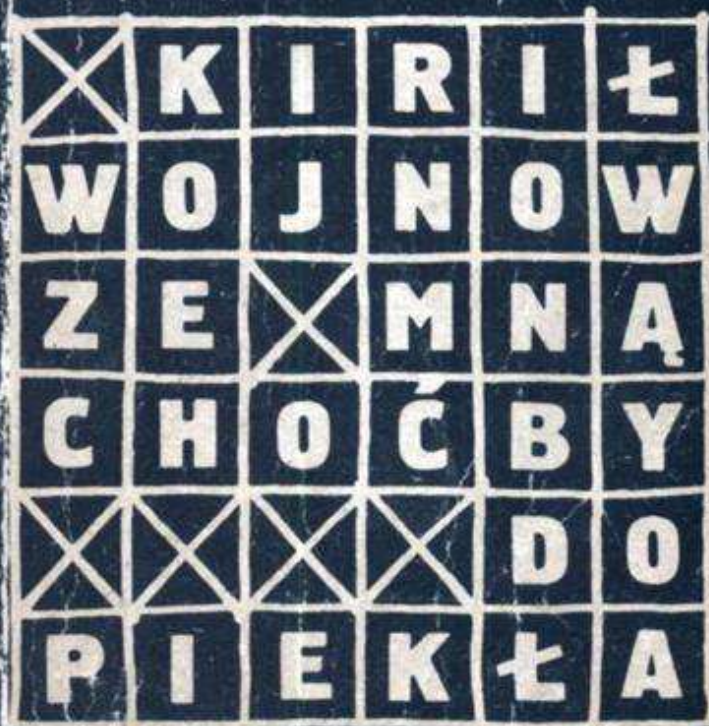




Siostra Zachariewa jak łasica smyrnęła mi pod nogami, przeskoczyła przez ciało, przyklekła i ujęła w dłonie jasną głowę. - Nie dotykaj! - uprzedziłem machinalnie z rutyną kryminologa. - Ale ona żyje! - dziewczyna odwróciła ku mnie swą drobną twarz. Tak, ona tyle się napatrzyła na



umierających i zmarłych, że jej oko jest na pewno bardziej doświadczone od mojego. - Proszę mi CZYTELNIK

Kirił
Wojnow

ze mną choćby do piekła

przełożyła
Wanda Medyńska

Czytelnik
Warszawa
1983

Tytuł oryginału bułgarskiego *S men w ada*

© *Kirił Wojnów c/o Jusautor, Sofia*

Okładkę i kartę tytułową projektował ZBIGNIEW CZARNECKI

© *Copyright for the Polish edition*

by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

Warszawa 1983

Czytelnik”. Warszawa 1983.

Wydanie I.

Nakład 100 320 egz.

Ark, wyd. 8,1; ark, druk. 11.

Papier offset, ki. VII, 60 g, 93 cm.

Oddano do składania 7 IX 1982 r.

Podpisano do druku 23 II 1983 r.

Druk ukończono w kwietniu 1983 r.

Zakłady Graf. „Dom Słowa Polskiego” w W-wie

Zam, wyd. 517;

druk. 3968/K. Z-103.

Printed in Poland

ISBN 83-07-00925-1

Pomocników uczciwych sześciu
trzymam na służbie.
Im zawdzięczam to wszystko,
co umiem.
Wymienię po imieniu:
Kto, Dlaczego, Jak,
Gdzie, Co i Kiedy.

Rudyard Kipling

1.

Okno mego gabinetu wychodzi na wschód, prosto na więzienie. Wysoka, solidna, granitowa ściana oddziela mnie od pogrążonego w ciszy i milczeniu budynku, studni ludzkich dramatów i ludzkiego losu, czyśćca człowieczych grzechów. Prawdopodobnie owo bliskie sąsiedztwo od czasu do czasu wyzwała refleksję, że nasz Wydział Śledczy to coś na kształt przedsionka tego czyśćca, a ja jestem jednym ze sług Św. Piotra, dających pozwolenie na przekroczenie progu, lub też uczynienia kroku ku wolności ludzkiego mrowiska.

Granitowa ściana ginie gdzieś w dole. Stąd, z czwartego piętra, widać jedynie zachodnią fasadę pociętą małymi okratowanymi okienkami, bardziej w prawo czernieje portal żelaznej bramy, obok - wartownia, a dalej - okrągła jak meczet wieża strażnicza w rogu, gdzie kiedyś tkwił wartownik z obnażonym bagnetem i karabinem maszynowym. Teraz jest ona zamknięta i mimo iż przypomina raczej opustoszały wiatrak, to sieje postrach i budzi grozę, stanowiąc niezmienny element tego ponurego pejzażu. Ponad czerwonymi dachówkami niższej przybudówki dostrzec można stąd kawałek wybrukowanego podwórka przeciętego pasmem trawy. W tym miejscu zaczyna się troskliwie

pielęgowany ogród. Od czasu do czasu, na tym prawie pustym podwórzu, na tle milczącego, pełnego kolorów ogrodu dostrzegam samotną postać. Raz jest to sylwetka korpulentna, raz szczupła, ale zawsze jakby ta sama, w szerokim, brudnoszarym ubraniu i berecie, podobna do manekina lub stracha na wróble. Człowiek ten pracuje motyką, plewi chwasty lub sadi kwiaty. Został przywrócony normalnemu życiu, jak mówi prawo, a teraz odkupuje swą winę. Ten człowiek wiedział, że trafi tutaj, że będzie musiał zapłacić za owo przekroczenie zasad prawa, które przez społeczeństwo zostało ustanowione po to, by mogło się ono rozwijać spokojnie i spokojnie egzystować. Każdy członek naszej społeczności zna te pisane i niepisane prawa. Jeszcze zanim pojawi się na tym najlepszym ze światów, zanim pozna samego siebie, zostanie nauczony, co to jest - tak i nie, co - można i czego nie można, co pożyteczne, a co szkodliwe, co dozwolone, a co zabronione. Kiedy podrośnie, nauczy się tego wszystkiego i nie tylko rozum będzie mu dyktować, ale i instynkt pomoże dokonać wyboru. Zrozumie także, że nie zawsze dobro jest nagradzane, ale że zło prawie nigdy nie uchodzi bezkarnie. I mimo wszystko człowiek robi jednak to, czego nie wypada, co jest złe, co zabronione, dokonuje przestępstw. Więc coś go chyba do tego skłania! Musi przecież istnieć jakaś przyczyna takiego postępowania! Przyczyna karmiona nadzieją, że nie będzie rozpoznany. Przyczyna, która zdominowała uczucie i poczucie odpowiedzialności przed społeczeństwem, która kazała zapomnieć o karze, a może nawet działać wbrew karze, choćby i najstraszniejszej, bo wszystko to jest silniejsze od niego. Cóż może być tą przyczyną? Miłość, nienawiść, chciwość, zdeptana godność, porachunki rodzinne - mało to ludzkich namiętności?! Każdy z badanych przypadków to najczęściej ludzkie namiętności, odwieczne ludzkie namiętności, tak dobrze znane i tak ciągle zaskakujące w swych przejawach.

Co może skłonić człowieka do pozbawienia życia innego, podobnego doń osobnika? Co na przykład skłoniło tego sympatycznego na pierwszy rzut oka, młodego mężczyznę, kończącego już prawie medycynę, Wencisława Kaczulewa, którego sprawa leży teraz na biurku za moimi plecami, do zabicia współlokatora? Trzydzieści siedem dni zajmowałem się tą sprawą. Studiowałem charakter tego młodego człowieka, jego skłonności, pochodzenie społeczne i światopogląd, prosiłem o pomoc psychologów zajmujących się charakteropatią, męczyłem się, bo chciałem znaleźć logiczne wyjaśnienie, gdyż jego w żaden sposób przyjąć nie mogłem - zabił współlokatora, bo chciał mieszkać sam. Wydawało mi się to nieprawdopodobne, dziwne i absurdalne. Nie była to miłość, nie była nienawiść, to nawet nie zdeptana godność. Może to chciwość, zachłanność, pazerność? Nie, te namiętności wymagają czego innego, prawie chorobliwego nienasycenia, chęci posiadania i gromadzenia za wszelką cenę, nawet kradzieży lub grabieży! A on po prostu pragnął mieszkać sam, słuchać muzyki z magnetofonu, sprowadzać dziewczęta. Lekkomysłowość i brak odpowiedzialności! Wzdrygam się na samą myśl, że w naszych czasach te dwa lapidarne określenia zbyt często wyjaśniają przyczynę wielu przestępstw.

Na biurku, obok grubej teczki ze sprawą Wencisława Kaczulewa, gdzie wypisałem już końcowy wniosek i przygotowałem wszystko co trzeba dla prokuratora, leży zielona teczka, a w niej tylko jeden dokument - decyzja o wdrożeniu postępowania przygotowawczego. Wręczył mi ją dzisiaj rano Ocet, to znaczy pułkownik Stoiczekow, to znaczy mój szef. Powiedziałem Ocet, ponieważ między nami kolegami z Wydziału inaczej o szefie się nie mówi, nigdy nie nazywamy go na przykład naczelnikiem lub pułkownikiem, nawet tak o nim nie myślimy, dla nas to po prostu Ocet. Przewisko to nie ma nic wspólnego z jego charakterem, przeciwnie, jest jednym z najlepszych naczelników, jakich

miałem okazję poznać w swej dotychczasowej karierze. Prawda, że to pedant, ale sprawiedliwy, rozumiejący człowieka, rzadko obruga, jeszcze rzadziej karze. Jednak Bóg obdarował go taką twarzą, a może sam ją sobie wypracował, że nawet wtedy, gdy kogoś chwali, jest tak skrzywiony, jakby przed chwilą napił się octu.

Rano, gdy wręczał mi nową sprawę, próbowałem przypomnieć o obiecany urlopie i tak dalej, ale bez efektu. Musiałem opuścić gabinet z tłumionym westchnieniem i cieniutką teczką pod pachą.

Sprawę prowadził kolega Penkow, ale jak wieść niesie, wychodząc z windy złamał sobie czy też zwichnął nogę. Ja zaś o prowadzonej przez niego sprawie wiedziałem tyle, ile człowiek wie słuchając o rzeczach, które wcale go nie interesują. Teraz jednak okazało się, że będę musiał mieć oczy i uszy szeroko otwarte, by dowiedzieć się na temat tej sprawy czegoś więcej, i to w pierwszym rzędzie od samego Penkova.

Zdjąłem płaszcz z wieszaka i wyszedłem. Na dworze padał deszcz.

2.

Penkow siedział w starym fotelu z wyciągniętą do przodu nogą. Mocno obandażowana przypominała kłodę. Zdołał też zaopatrzyć się w kulę, która stała oparta o poręcz kanapy. Wyglądał dobrze, nawet twarz, zwykle blada, teraz wydała mi się zarumieniona.

- Czy masz zamiar nas wykończyć? Znalazłeś sobie czas na łamanie nóg! - spróbowałem zażartować, choć pewien byłem, że zrozumie wszystko, tylko nie żart.

- Wybacz! - powiedział zupełnie poważnie. - Siadaj! - wskazał na kanapę, przed którą stał poobijany mały stół.

- Ale może trochę dalej... Chyba do tego wszystkiego przyplątała mi się grypa.

Usadawiłem się na kanapie.

- Boli? - zapytałem z troską w imieniu swoim i całego zespołu.

- Co? - nie zrozumiał Penkow.

- Noga.

- Tylko wtedy, gdy się na niej opieram, a tak to nie.

- Złamana?

- Na to wygląda, ale lekarze coś nie wszystko chcą mi powiedzieć. W moim wieku to podobno źle wpływa na człowieka.

Słyszałem, jak kiedyś mówił, że do emerytury zostało mu siedem miesięcy i trzynaście dni. Milczeliśmy.

- Tobie to dali? - zapytał Penkow, czując się zobowiązany jako gospodarz do podtrzymywania rozmowy.

Nie odpowiedziałem. To było tak oczywiste.

- Ja naprawdę żałuję - powiedział. - Wygląda na to, że to największa sprawa, jaką prowadziłbym w swoim życiu. Marzyłem wprost, by coś takiego wpadło w moje ręce, i popatrz, co się stało.

Spojrzałem zdziwiony. Mówił poważnie i szczerze,

- Jak to największa sprawa? Dlaczego największa? - zapytałem prawie machinalnie.

- No, takie potrójne morderstwo, czy to mało? Coś takiego nie zdarza się każdego dnia, prawda? - mówił cicho i spokojnie, z jakimś wewnętrznym przekonaniem, patrząc na mnie szarymi oczami. Potem wziął ze stolika pudełko z papierosami, zręcznie stuknął w dno i wyskoczyły z niego dwa papierosy, które mi podał. Spojrzałem na zegarek i pokręciłem przecząco głową, do czasu zapalenia kolejnego papierosa brakowało jeszcze piętnastu minut.

On zapalił i puszczając kłęby dymu powiedział tym

samym cichym i spokojnym głosem: - A do tego wszystkiego, wydaje mi się, że wiem, kto to zrobił. Rozmawiałem z Genczewem, on się ze mną zgadza. Głowę daję, powiedział.

Genczew to jego przyjaciel, nasz kolega, ich gabinety sąsiadują ze sobą.

- Jeżeli miał na myśli swoją głowę, to zastaw nie jest duży - powiedziałem pragnąc pośrednio ostudzić entuzjazm Penkowa.

- Wiem, że go nie lubisz, ale nie masz racji. To nie jest zły człowiek, a i przydatny - nie zrozumiał mego żartu.

- W naszej pracy, jak sam wiesz, takie nastawienie to najgorszy doradca. Pracujesz nie od wczoraj...

- Dlaczego nastawienie? To wewnętrzne przekonanie i jak by tu powiedzieć, intuicyjne nakierowanie na właściwy trop. Nie zdarzyło ci się nic takiego?

- Nie zdarzyło - odparłem poirytowany. - Musisz dysponować odpowiednimi faktami, danymi, poszlakami..

- Faktów jeszcze nie mogę ci podać, ale odpowiednie dane, poszlaki... Po pierwsze, właśnie tego dnia on nie wraca do domu na obiad, idzie do szpitala, kręci się tam, wierci, obserwuje, nasłuchuje, rozpytuje, a potem mówi, że jest sąsiadem...

- Czekaj, czekaj, o kim ty mówisz?

- O mężu Neweny, a o kim? O mężu średniej siostry, która zupełnie przypadkowo pozostała przy życiu, nazywa się Geno Tomanow.

- Widziałeś go? Rozmawiałeś z nim?

- Oczywiście, że widziałem się i rozmawiałem. I stąd moje poważne przypuszczenia...

- Ale w teczce nie ma protokołu z tego przesłuchania.

- Każdy ma swój styl pracy - powiedział Penkow uśmiechając się blade z miną pewną siebie i świadcząca o dobrym samopoczuciu. - I protokół będzie, i wszystko co trzeba, tyle że ja lubię, jak już kogoś doprowadzę na

oficjalne przesłuchanie, wiedzieć o nim więcej, niż jemu się wydaje.

- To dobrze - zgodziłem się - każdy ma swoje sposoby. Ale wspomniałeś coś o poważnych poszlakach.

- Ależ tak! On posiada na ten dzień żelazne alibi, takie z godzinami, minutami - gdzie był, co robił, kogo spotkał. Nie wiem, jak ty zapatrujesz się na taki fakt, ale to właśnie budzi we mnie głębokie podejrzenie. To znaczy, że myślał i że przygotowywał się na ewentualne przesłuchanie.

Penkow ożywił się, spojrzenie nabrało blasku. By bardziej mnie przekonać, ręką w powietrzu wykonywał krótkie, ostre ruchy, a dym z papierosa pozostawiał kółka, które pięknie odpływały ku górze.

Byłem rozdrażniony. Drażnił mnie ten jego entuzjazm, bardzo w końcu naiwne rozważania i pewność siebie.

- Przypuśćmy - zacząłem z postanowieniem bycia do końca bardzo cierpliwym. - Mimo iż... powiem ci szczerze, na podstawie tego, co powiedziałaś, jeżeli nie masz oczywiście innych dowodów, ja nie byłbym taki stanowczy i kategoryczny w sądach. Z pewnością zatrzymałeś go?

- Kogo?

- Tego Gena Tomanowa, czy jak tam się nazywa...

- A po co? Puściłem go, niech żyje wolny i zdrow. Zatrzymam, jak przyjdzie jego czas.

- Ale skoro jesteś taki przekonany o jego winie... Wyobraź sobie, że będzie próbował ukryć się gdzieś.

- Gdzie się ukryje? Jeżeli tylko znacznie szukać kryjówek, to będzie znaczyło, że jest winien. Jest tak bardzo przekonany o tym, że uwierzyłem w jego alibi, iż żyje sobie spokojnie. A gdzie taki znajdzie schronienie? Teraz u nas, o to trudno.

Moje rozdrażnienie rosło.

- Wiesz co, kolego - zacząłem i zająknąłem się. Początek zdania zdradził mój nastrój, który tak starałem się ukryć, zabrzmiał tak oficjalnie i chłodno, że zawstydzilem

się. Gdybym kontynuował, wyszłoby to mniej więcej tak: „Wiesz co, kolego, zostawmy na boku twoje wewnętrzne przekonania, intuicje i style pracy i pomówmy o sprawie!” Ale ja odważnie przekreśliłem całe zdanie i wyszło z tego coś takiego: - Wiesz co, kolego, poczęstowałbyś czymś?

Wyglądało na to, że dokonałem tego salto mortale dość elastycznie i naturalnie, bo Penkow nie zauważył niczego. W każdym razie nie dał po sobie poznać, że coś zauważył.

- Rumi! - zawołał w stronę otwartych drzwi.

Dziewczynka, która wyszła mi na spotkanie, jak tylko wszedłem, teraz podbiegła do nas.

- Daj nam pudełko z cukierkami! Wiesz, gdzie są?

- Wiem.

- I przynieś dwie butelki lemoniady z lodówki.

Dziewczynka zakręciła się, króciutka sukienka przez moment przypominała kształt dzwonka, i wybiegła.

- Posłuszne dziecko - powiedziałem i złapałem siebie na tym, że w swych staraniach zatarcia poprzedniego złego wrażenia głos mój czynię pochlebny.

- Tak, dobre dziecko - niby obojętnie powiedział Penkow, ale z takim zadowoleniem, że prawie westchnął.

Dziewczynka przyniosła dwie pokryte szronem lemoniady i zostawiła na stoliku. Stawiając po jednej przed każdym z nas powiedziała: - Proszę! Proszę!

- A cukierki? - zapytał Penkow.

Mała szła już w stronę swojego pokoju.

- Zapomniałaś o cukierkach! - zawołał za nią Penkow.

Dziewczynka zatrzymała się, odwróciła i z małym palcem w buzi powiedziała uśmiechając się przeprasząco:

- Zjadłam je...

- Och, nicponiu! - zupełnie bez złości powiedział głośno Penkow. - Marsz do pokoju!

Dziecko podskakując odeszło, a on zajął się otwieraniem butelek za pomocą scyzoryka.

- Wiesz co, Penkow - zacząłem znów, tym razem

zupełnie pokojowo, widząc, jak przygryzając język próbuje pokonać opór nieszczęsnych kapsli. - Mówiłeś, że rozmawiałeś z tym Genem Tomanowem, może masz jeszcze jakieś informacje, wrażenia, obserwacje z tego okresu, kiedy zajmowałeś się sprawą, mimo iż nie trwało to długo. Zróbmy może tak: opowiesz mi to, czego się dowiedziałeś, co wiesz, bym mógł się w tym wszystkim połapać. Może być w kilku zdaniach...

- Dlaczego w kilku zdaniach? Mogę ci podać pewne konkrety - a tymczasem podał mi otwartą wreszcie butelkę lemoniady. I nagle zreflektował się. - Ale przecież szklanki! Rumi, moje dziecko, daj szklanki!... Mogę ci podać parę szczegółów... Mam protokół z przeszukań na ulicy Wasiła Ichczijewa 3, mam przesłuchanie współlokatorki, tej, co powiadomiła telefonicznie pogotowie, Zorki, jak jej tam... zapomniałem. Przeprowadziłem rozmowę z jednym z lekarzy, którzy ratowali obie siostry w Chisar, dowiedziałem się, że akurat jest w Sofii na delegacji, i odnalazłem go.

- Nie ma takich protokołów - przerwałem zniecierpliwiony.

- Są, są. Są tutaj, w takiej żółtej teczce, w mojej aktówce. Właśnie miałem je podpiąć do akt sprawy, kiedy to mi się przytrafiło.

Weszła mała. Postawiła przed każdym z nas szklankę mówiąc znów to swoje: „Proszę! Proszę!” - i posłusznie zniknęła.

- Podstawy do wszczęcia postępowania sądowego - zaczął Penkow po upiciu lemoniady - pojawiły się dopiero wtedy, kiedy skojarzono oba wypadki - otrucie w Sofii i otrucie w Chisar w tym samym czasie połączone tym samym słowem - paration - a do tego wszystkie trzy ofiary były siostrami. Ten ostatni fakt ujawnił telegram wysłany ze szpitala w Chisar do średniej siostry, Neweny, do Sofii, której adres znaleziono wśród rzeczy jednej z denatek.

Chisar zawiadomił wioskę Morawec, ale uznano za konieczne powiadomić także siostrę. Newena już wtedy znajdowała się w szpitalu. Telegram odebrała Zorka, współlokatorka, która dzwoniła do pogotowia w Pirogowie, by przyjechali i zabrali sąsiadkę. Telegram zawiera kilka słów: „Z siostrami źle. Proszę przyjechać. Szpital. Chisar”. Przeżona Zorka zanoszą telegram na pogotowie, ale nie dopuszczają jej już do Neweny, bo ta straciła przytomność. Kiedy później rozmawiałem z Zorką, spytałem, dlaczego nie poczekała, aż wróci mąż Neweny, i jemu nie oddała tego telegramu, a pobiegła do szpitala, odpowiedziała: „A gdzie tam, wiele z niego pożytku! On Wenkę zamęczał, a o siostrach to nawet słyszeć nie chciał...”

Mówiąc te słowa Penkow spojrzał na mnie znacząco, ale milczałem i słuchałem dalej.

- Jakby nie było... - ciągnął Penkow - zanim połączono te dwie sprawy w jedną, zanim ustalono pewne fakty, upłynęło trochę czasu. Dom Neweny obejrzałem dopiero po czterech dniach. Nieszczęśliwego. Mieszkają w małym, zbudowanym bóg wie jak dawno domku o dwu pokojach i przedpokoju, zupełnej rupieciarni. Gdzieś tam na Krzyżówce w kierunku Chładiłnika, przy ulicy Wasiła Ichczijewa 3. Jeden pokój zajmuje Newena z mężem Genem Tomanowem. Mają jedno dziecko, dziewczynkę ośmioletnią, ale do szkoły chodzi na wsi, bo wychowuje się u rodziców Neweny. W drugim pokoju mieszka ta Zorka, sublokatorka. Chcieli ją nawet usunąć, ale Zorka mieszka tam bardzo długo, wcześniej niż Tomanow wpadł na pomysł wykupienia tego domu, ona ma na ten pokój nakaz i ani myśli się wynosić... Jakby nie było... tak, podczas oględzin nie szczęśliwego nie znalazłem. Czysto, posprzątane, uporzędowane, żadnych śladów po parationie lub czym innym, co by wzbudzało podejrzenie. Przeszukałem wszystko, ale nic nie znalazłem. Potem, gdy dokonałem oględzin wokół domu, zauważyłem, że w trawie koło plotu leży zdechły

czarny kot. Wyglądało na to, że dość dawno musiało się to stać, bo rozdęty był i śmierdział...

Tym razem Penkow nie spojrział na mnie znacząco, ale za to we mnie coś tam drgnęło. Nie przerwałem mu jednak.

- W pierwszej chwili nie zwróciłem na niego baczniejszej uwagi - ciągnął dalej Penkow. - Cóż wspólnego może mieć zdechły kot, być może rozjechany przez samochód, a być może potraktowany tak przez dzieci i tu podzruczony, czy też po prostu zdechły ze starości... Ale okazało się zupełnie co innego i zaraz ci to wyjaśnia. Gdy przesłuchiwałem potem tę Zorkę, między wieloma opowieściami, których musiałem wysłuchać, bo gadatliwa to kobieta i jęzorem miele jak wiatrak, powiedziała, że gdy weszła do pokoju Neweny już po tym, jak zabrało ją pogotowie, zobaczyła spory bałagan i nieporządek, więc postanowiła posprzątać. One z Neweną rozumiały się dobrze i pomagały sobie jak mogły. Na stole pozostał talerz z resztkami jedzenia, widelec, chleb. Sprzątając stół, Zorka wszystko to zebrała - okruchy, kości, resztki jedzenia z talerza - i wyrzuciła do wiadra. Nie do wielkiego wiadra na śmiecie, ale do małego plastikowego wiaderka, które stoi w przedpokoju przykryte drewnianą pokrywą.

Penkow znów zręcznym ruchem stuknął w pudełko, wy dostał papierosa i jakoś tak powoli i uroczyście przygotowywał się do zapalenia. Tym razem nie częstował mnie. Wyjąłem więc swoje papierosy i zapaliłem. Minęło właśnie piętnaście minut i nadszedł czas na trzecią tego dnia przyjemność. Ale Penkow nie był wtajemniczony w moje rozliczenia z samym sobą.

- Teraz uważaj, co się dzieje - powiedział podając mi ogień, a następnie też sobie przypalając papierosa zapalniczką. Zaciągnął się głęboko i mówił: - Siostry przyszły koło dziesiątej, jak mi powiedziała Zorka. Spółdzielnia Rolnicza w ich wsi zorganizowała dla swych przodowników wycieczkę do Chisar i Karłowa, a ponieważ planowany był

postój w Sofii, więc postanowiły wstąpić do swej siostry, Neweny. I tak się stało, ona zatrzymała je do samego obiadu. Jadły kurczaka. Zorka zauważyła, że to one przywiozły tego kurczaka, na pewno przygotowały go na drogę, jak to mają we zwyczaju wieśniacy, ale postanowiły zjeść go wspólnie na obiad. W ten sposób wszystkie trzy jadły to samo. Zorka wyszła do dentysty i wróciła koło drugiej po południu. Sióstr już nie było, a w pokoju Neweny panowała cisza. Zorka nawet pomyślała, że pewno poszła odprowadzić siostry. Ale koło czwartej usłyszała krzyki i jęki, zajrzała do pokoju i zobaczyła Newenę na podłodze. Od razu poleciała do sąsiadów i zadzwoniła do pogotowia w Pirogowie.

W tym czasie siostry są w drodze do Chisar. Młodsza źle się poczuła już w autobusie i umiera w szpitalu nie odzyskawszy przytomności. To samo dzieje się ze starszą, ale ona zdołała powiedzieć kilka słów. Jedna z pielęgniarek ze szpitala słyszała, że mamrotała: „Kurczak, kurczak, niech Wenka nie je kurczaka”... Doktor Taszew, leczący Newenę w Pirogowie, jest przekonany, że chodzi tu o paration. Z Chisar potwierdzają też coś podobnego. Ale to zostanie ustalone, myślę, że już nawet jest ustalone, należy tylko poczekać na wyniki z naszego laboratorium... Jakby nie było, jest zupełnie jasne, że dla każdego, kto spróbował tej potrawy, był to ostatni kęs w jego życiu. Dla kota też. Dla tego czarnego kota, co leżał w ogrodzie. Czy rozumiesz teraz? Domyślasz się? On zjadł te resztki, co je Zorka wyrzuciła do wiaderka sprząając ze stołu.

Teraz już było dla mnie jasne, dlaczego w tak uroczysty sposób zapalił papierosa. Penkow po prostu spodziewał się efektu dokonanego przez siebie odkrycia. Ale efekt ten mnie przynajmniej nie rzucił na kolana. Po pierwsze dlatego, że już od razu wyczułem powiązanie tego kota z całością sprawy, a po drugie, że były to dowody nieprowadzące do żadnych wyjaśnień, które dałyby nam jakieś nici do ręki.

Dowodziło to obecności trucizny w jedzeniu, ale nie powiadało źródła pochodzenia.

Podzieliłem się tymi rozważaniami z Penkowem.

- Truciznę podał Geno Tomanow, mąż Neweny - nie zastanawiając się nawet powiedział Penkow. - Nie w jedzeniu, oczywiście, a wcześniej, w czymś, co służy do gotowania. Na przykład w oleju... Wraca do domu samochodem kupionym w ciągu dnia, gdzieś koło szóstej. Kiedy Zorka mówi mu, co się stało, pierwsze jego słowa były: Czy żyje? Potem wchodzi do pokoju, kręci się po nim trochę i wychodzi z paczką podłużnego kształtu, było to coś zapakowane w gazetę. Spytałem go potem, co miał w tej gazecie. Powiedział, że wziął czystą bieliznę, bo chciał iść do łaźni wykąpać się. Wyobrażasz sobie? W takiej sytuacji - do łaźni. I oczywiście do żadnej łaźni nie poszedł, a prosto do szpitala. Zauważ, że podczas rewizji nie znaleziono butelki z olejem ani żadnego innego naczynia, w którym można trzymać płyn. I tak siada do swego nowego samochodu. Tak naprawdę to nie jest żaden nowy samochód, a volkswagen po wypadku, siada i jedzie do szpitala. I co tam robi? Zauważono, że mówił lub próbował rozmawiać przez telefon z kimś z automatu przed szpitalem, potem spacerował dość nerwowo tam i z powrotem. Interesował się stanem Neweny Tomanowej, pytał o to w okienku informacji, ale tam nie potrafili udzielić mu odpowiedzi. Wreszcie w korytarzu trafia na lekarkę, która знаła ten przypadek. Pierwsze słowa, jakie wypowiedział, to: Czy żyje? Kiedy lekarka spytała go, kim jest dla chorej, że się tym interesuje, to powiedział: sąsiad!... Taak!... A teraz dokonamy podsumowania: mimo iż codziennie wracał na obiad do domu, tego dnia nie przyszedł, a wrócił dopiero wieczorem i pierwsze słowa były: Czy żyje? Wchodzi do pokoju i wychodzi z paczką o podłużnym kształcie, mówi, że to bielizna do łaźni, a dlaczego nie butelka z olejem w którym znajdowała się trucizna?

Słowa Zorki: on zameęczał ją, a i sióstr nie znosił. A w końcu nie zapominaj o żelaznym alibi! Dla mnie to jest bardzo, bardzo podejrzane!

Rozparł się ponownie w fotelu, skrzyżował ręce na pierśsiach i patrzył na mnie wyczekująco.

- Co powiesz na to? - spytał, ponieważ milczałem.

Nic nie mogłem powiedzieć. Myślałem tylko, że ten pełen inercji, znany w firmie jako pracujący bardzo powoli człowiek, tym razem nie tracił czasu po próżnicy i działał wyjątkowo energicznie. Może rzeczywiście należy żałować, że nie może dalej sprawy prowadzić, gdyż rozpoczął z wielkim zapałem i entuzjazmem w odróżnieniu ode mnie.

Właśnie tak mu odpowiedziałem.

- Zazdroścę ci energii - powiedziałem. - Szkoda, że tak się stało.

- No cóż, jak kto nie ma szczęścia - zgodził się udo-bruchany i posmutniały trochę. Pomilczał i dodał: - Zażądałem jeszcze dwu informacji - jednej ze wsi Morawec, o tych dwu kobietach - jak żyją, z kim, jakie są ich stosunki. Ten kurczak, co go przywiozły, a może w nim coś było, kto to wie. A drugiej o Genie Tomanowie - życie, środki utrzymania, jak go widzą w osiedlu, w miejscu pracy. Myślę, że dziś - jutro powinny nadejść. Będą pomocne i jako informacja, i jako orientacja. Zgłoś się do naszego laboratorium. Wyniki już są pewno gotowe. Przepraszam, podaj mi aktówkę, dam ci teczkę z pozostałymi materiałami i podpiszemy, że przejąłeś pracę, tak jak należy.

Aktówka leżała na etażerze z książkami, podałem mu ją. Wyjął żółtą teczkę i położył przede mną gestem, jakby żegnał się z czymś. Zauważyłem, że moje poczucie wyższości i lekkiej pogardy dla tego człowieka, rozdrażnienie naiwnym, jak mi się zdawało, entuzjazmem, zamieniło się w wewnętrzny respekt i poszanowanie. Myślałem sobie, że jest to jeden z tych znających swój fach, pracowitych,

odpowiedzialnych i posłusznych urzędników, ale nieśmia-
łych i skromnych, nieumiejących pokazać się i wybić, pozo-
stawiany do wykonywania na peryferiach drobnych zadań,
zawsze spychany i stojący w cieniu tych bardziej energicz-
nych i pewnych siebie, być może podobnych do mnie. Mi-
nie tych siedem miesięcy i trzynaście dni, po dwudziesto-
pięcioletnim stażu pracy, wiernej i przykładowej służbie,
opuści nasze szeregi i pójdzie opiekować się wnuczką, a my
szybko o nim zapomnimy, przekonani, że świat i służba
zaczynają się i kończą na nas.

- Muszę ci podziękować - powiedziałem, wkładając
żółtą teczkę do mojej aktówki. - Bardzo mi pomogła ta
wizyta. - Spojrzałem na zegarek i wstałem. - Mam co zrobić i
muszę już uciekać. - Podąłem mu rękę. - Wpadnę jeszcze.

Podał mi lewą rękę dobrodusznie uśmiechnięty i wydało
mi się, że w spojrzeniu jego dostrzegłem cień niedowierza-
nia. Miałem wyrzuty sumienia. To o wpadnięciu powie-
działem zupełnie szczerze, ale dlaczego obiecuję coś, na co
nie mam zbyt wielkiej ochoty? Widocznie tacy już jeste-
śmy, my ludzie.

- Wybacz, że cię nie odprowadzę - zażartował Pen-
kow.

- Rumi! - zawołał. - Chodź, odprowadzisz gościa!

Dziewczynka pojawiła się i stanęła w drzwiach, jakby
nie wiedziała, co tak naprawdę ma zrobić.

Ruszyłem ku drzwiom, podawszy mu rękę: „Do widze-
nia!” W milczeniu podał mi swoją. Gdy już prawie byłem
na schodach, usłyszałem „Do widzenia!” - jakby dopiero
teraz dotarło do niego, czego w ogóle od niego chcą.

- Dymitrze, Dymitrze! Ludzie już wnuki mają, a ty
nie masz o tym zielonego pojęcia - powiedziałem prawie
na głos schodząc po schodach, ale od razu odrzuciłem te na-
trętne, tchórzliwe myśli, które często gryzły moją duszę.
Było tyle ważniejszych spraw, na których należało skupić
uwagę. Westchnąłem: zawsze te ważniejsze sprawy!...

Okazało się, że odwiedziny u Penkowa miały być dla

mnie bardzo owocne. Nie to, żeby otwierały mi drzwi, kreśliły kierunki znalezienia prawdy. Owocne było przede wszystkim to, że zaoszczędził mi starań i czasu do uzyskania tych najbardziej ogólnych faktów i danych podstawowych, od których należało zaczynać. Interesujące były niektóre dane otrzymane z przesłuchań, pewne poszlaki i wnioski, do których doszedł. W żadnym wypadku, oczywiście, nie mogłem przyjąć tej jego fanatycznej wręcz pewności, ba, uprzedzenia do Tomanowa, jeżeli nawet wszystkie dowody, które zgromadził, o tym świadczyły. W naszej pracy bobrujemy w życiu i losach ludzi i te wewnętrzne przekonania, intuicje są rzeczą bardzo niebezpieczną. Konieczne są niezbite dowody i dobrze sprawdzone fakty. Przede wszystkim fakty.

Majowy dzień błyszczał w pełnej swej krasie. Ogrzana jasnym słońcem zieleń pobliskiego skweru połyskiwała i przelewała się kaskadą z drzew i krzewów. Tu i ówdzie płonęły purpurowe ognie piwonii i ogrodowych maków.

Podczas spaceru nastrój mój stopniowo pogarszał się, i to w miarę jak orientowałem się, że, coś dziwnego dzieje się z moim butem. Okazało się, że to sznurowadło zerwało się i dlatego but był taki luźny. Gdy pochylony zawiązywałem je na supeł, przed samym nosem zabłyszczała mi nowiuteńka żółta stotinka. Podniosłem ją, podrzuciłem na dłoni i schowałem do kieszeni. Może to na szczęście.

Wsiadłem do swego wiernego moskwicza i precyzyjnie się pod mostem ślimakiem wypadłem na magistralę. Byłem w dobrym nastroju, gdyż miałem prawdziwy powód, by odwiedzić nasze laboratorium. Nie musiałem dzisiaj wymyślać tych wszystkich pretekstów, jak na przykład szalona chęć ujrzenia i usłyszenia mego serdecznego przyjaciela Kycego. Kycy, to doktor Krystań Bankow, kierownik naszego laboratorium chemicznego. Starszy ode mnie o dwa lata, niski i chudy, ale gdy otwiera usta, z tego niepozornego ciała wydobywa się taki głos, że wszystkie próbówki

i całe szkło laboratoryjne drżą w posadach; Kycy nosi wąsy, ale nie takie, jak niektórzy teraz, że im opadają aż na brodę. On ma wąsy długie, podkrecone do góry, a koniuszki przypominają sprężynki. Kycy zupełnie swobodnie posługuje się trzema - czterema językami, ale najlepiej angielskim. A jako chemik, co tu dużo gadać, jak tylko pojawi się kelner z tacą, on od razu wie, ile wody nalał barman do naszej whisky.

Kiedy wszedłem do pokoju, który był jednocześnie kancelarią i gabinetem Kycyego, właśnie pił kawę w towarzystwie jakiegoś kolegi. W naszej firmie jest to właściwie zabronione, ale Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego jemu na to się pozwala. Spojrzałem w prawo. Tania jak zwykle siedziała za swoim małym biurkiem i pisała na maszynie. Przez chwilę zatrzymałem wzrok na miękkim profilu o zadartym nosku i krągłej bródce. Przygryzając wargi z wielką uwagą patrzyła w klawisze wypatrując jakiegoś bardzo interesującego znaku i jeśli wzrok mnie nie mylił, lekko się zaczerwieniła.

- Przyszedłem po wyniki badań tych tam... otrutych... sióstr... - uznałem za stosowne wyjaśnić i złapałem się na tym, że mówię wyjątkowo głośno.

- Ach, tak? - przywitała mnie gromka fala głosu przyjaciela. - Stanojewa, dajcie jeszcze jedno krzesło!

Maszyna za moimi plecami przestała pisać, coś lekko zastukało i po chwili za biurkiem Kycyego pojawiło się jeszcze jedno krzesło. Stawiając je Tania znalazła się tak blisko mnie, że poczułem, jak złocisty meszek na opalonych jej rękach ociera się o moje ramię.

- To paration, tak? - zapytałem siadając na krześle i zakładając nogę na nogę.

- Trudno nam było jedynie ustalić dokładnie, jaki to rodzaj - uciał od razu dyskusję mój przyjaciel - ponieważ preparat ten jest używany w wielu wariantach... Ja sam znam ich przynajmniej siedem... W tym wypadku mamy do

czynienia z F-103... Jest to płyn prawie bez zapachu i podobny do oleju... Sprowadzamy go z Austrii, to austriacki patent.

- Czy duża dawka? - spytałem przygotowując się do następnego pytania, które prawdę mówiąc bardziej mnie interesowało.

Kycy podkreślił prawego wąsa.

- Taka dawka może zabić nawet wołu - powiedział.

- A czy możliwe... - w tym momencie na biurku przede mną pojawiła się filiżanka kawy. - Dziękuję! - spojrzałem z podziwem na dziewczynę. - Szybciej niż z ekspresu! Jak pani to robi?

- To jej kawa - bezlitośnie wtrącił się Kycy i odebrał mi całą radość.

- O nie! Proszę! - wziąłem filiżankę i podałem dziewczynie. - Nie mogę pozbawiać panią kawy! W żadnym wypadku!

- Ja sobie zaraz zrobię - powiedziała Tania. - Piję trochę później. Teraz tylko dlatego, że doktor Tiankow...

- Nie, nie! Proszę panią! - trzymałem filiżankę w powietrzu.

- Ależ proszę pana!

- Proszę panią!

- No, dosyć tych próśb! - zagrzmiał Kycy. - To nie cerkiew!... I jeszcze do tego mówią do siebie na „pan, pani”? To już wróble na dachu ćwierkają, że udajecie! Strusie jedne...

Ważnie tego nie lubię w moim przyjacielu, czasami potrafi być wyjątkowo nietaktowny; tym bardziej że w pokoju jest obcy człowiek.

- Tak więc interesuje mnie - wróciłem pospiesznie do rozpoczętego zdania, by jakoś złagodzić sytuację, a filiżankę z kawą postawiłem na biurku. - Czy można brać pod uwagę fakt, że kurczak mógł być zatruty. Jadł na przykład jakąś trawę przyskaną tym preparatem...

- Wykluczone! - przerwał mi Kycy. - Nawet gdyby kurczak padł otruty parationem, to stopień koncentracji trucizny byłby tak mały, że w żaden sposób nie wyrządziłby takich szkód, nie spowodowałby zatrucia ludzi, którzy go jedli...

- Dobrze - powiedziałem - więcej pytań nie mam. Czy mogę wyniki dostać na piśmie?

- Możesz. O, Stanojewa już je ma - ukłukł mnie znowu Kycy kierując koniuszki swych wąsów w stronę Tani.

- Tak, już gotowe - powiedziała Tania i położyła przed nim na biurku przygotowane do podpisu papiery.

Kycy podpisał nie spoglądając nawet na treść i pchnął papiery w moją stronę.

Nastąpiła znowu dość krępująca sytuacja. Sprawy służbowe, które mnie tu sprowadziły, zostały wyjaśnione i musiałem się pożegnać, a zupełnie nie miałem na to ochoty. Mimo to schowałem dokumenty do teczki i wstałem.

- No to dziękuję i do widzenia.

- Do widzenia - powiedział przeklęty Kycy nie zatrzymując mnie.

Dopiero zamykając drzwi za sobą spojrzałem na Tanię. Odprowadzała mnie wzrokiem.

3.

W głowie kłębiły mi się już jakieś hipotezy, ale wszystko to było jeszcze bardzo mgliste i do końca nie przemyślane. Przygotowałem sobie wszystko tylko tak w ogólnym zarysie, bym mógł improwizować, gdyby Ocet miał ochotę wezwać mnie i prosić o sprawozdanie z działalności. Uwielbiał rutynę i tradycyjną kolej rzeczy, pragnął być zawsze szczegółowo informowany tak o każdym przypadku, jak i o zamiarach i krokach podejmowanych przez podwładnych,

choć z zasady nie mieszał się do pracy i pozostawiał pełną swobodę działania.

Jedną z moich hipotez, której nie dawałem szans powodzenia, dotyczyła właśnie Gena Tomanowa. Zdawałem sobie sprawę, że skoro działalność swą rozpocząłem właśnie od niej, to na pewno nie bez wpływu była tu moja rozmowa z Penkowem. Człowiek łatwo poddaje się sugestiom takich podpowiedzi, myśląc, że w ten sposób zupełnie niespodziewanie i bez wysiłku coś zyskuje.

Spojrzałem na zegarek. Wskazywał dziewiątą i lada moment Tomanow powinien się tu pojawić.

Rozległo się dość energiczne pukanie do drzwi. Wstałem, przyglądnąłem włosy i zająłem miejsce za biurkiem.

- Tak!

Wszedł.

- Dzień dobry!

W jednej ręce trzymał jasnokawową teczkę, imitację skóry, a w drugiej przepustkę.

Kiwnąłem głową i wskazałem mu kanapę po przeciwnej stronie.

- Proszę bardzo!

Miał lat około czterdziestu, wysoki, dobrze zbudowany. Był w kawowym letnim garniturze, w jasnopomarańczowej koszuli i krawacie w kwiaty, bez kapelusza. Twarz miał szeroką, ciemną, a może po prostu opaloną. Nos mały, ostry, trochę niepasujący do twarzy, i niewysokie czoło. Nad nim kruczoczarna czupryna bez ani jednego siwego włosa niezupełnie przykrywała sporą łysinę.

- Pan wie, dlaczego pana wezwałem - dałem mu do zrozumienia, że od razu przystępuję do sprawy.

- Wiem... Mam nadzieję jednak, że pan także wie o tym, iż powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia. Dokładnie i ze wszelkimi szczegółami opowiedziałem to pańskiemu koledze, panu Penkowowi, jeżeli dobrze zapamiętałem. - Nerwy, które trzymał na wodzy, ledwie

pozwalaly mu mówić. Napięcie widoczne było w całej postaci.

- Wiem o tym - powiedziałem spokojnie i grzecznie - ale tak się składa, że polecono mi, bym zajął się tą sprawą, więc pragnę mieć jej jasny i klarowny obraz... To przecież leży także w pańskim interesie.

- Zależy mi jedynie na tym, bym miał święty spokój i mógł pracować - powiedział prawie że mi przerywając. - W pracy mam wiele roboty, a i przy samochodzie jest co robić... Czego chcecie ode mnie? Przyznania, powiedzenia, że to ja zabiłem żonę?

- No, dobrze, skoro tak się pan spieszy, to zacznijmy od początku - powiedziałem pół tonu wyżej i tak kategorycznie, że słowa, które przygotował sobie, by znów przerwać mi w pół zdania, zamarły mu na ustach.

- Proszę? - wymamrotał patrząc na mnie.

- Tak, tak, od początku! Spał pan w domu? - było to bardziej pytanie niż stwierdzenie faktu.

- Spałem w domu... - powtórzył machinalnie i jakoś tak zmiękł. - Umyłem się na podwórku... Poszedłem do pracy... Była za dwadzieścia ósma... Zawsze jestem dokładny... - mówił powoli i bez związku, ale z jakąś pokorą. - Miałem przygotować dokumenty do sprawozdania... Jestem ekonomistą... - i znów się zaciął. Nacisnął połyskujące zamki teczki, która leżała mu na kolanach, otworzył i wyjął jakiś papier. Zamknął teczkę i ku mojemu zdumieniu zaczęła czytać: - Za dziesięć dziesiąta zadzwonił Mladenow, powiedział, że ma coś dla mnie. Od ręki napisałem podanie, zszedłem na dół i czekałem swej kolejności u sekretarki naszego szefa. Ludzi nawet nie było dużo. Dwadzieścia po dziesiątej miałem podpis szefa i od razu wyszedłem. Udałem się na dworzec Iskyr, gdzie nasze przedsiębiorstwo posiada magazyny. Byłem tam pięć po jedenastej... Baj Gruju pokazał mi samochód...

Czytał gładko, powoli i wyraźnie. Wskazywał na miejsca

pobytu, spotkania, określał dokładny czas co do godziny i minuty. W pewnym momencie usłyszałem nawet: - ta a ta godzina i zero siedem minut... - Nie przerywałem mu, położyłem pióro na białej kartce papieru, którą przygotowałem, by zapisać jakieś uwagi. Wstałem cicho i podszedłem do okna ze skrzyżowanymi na plecach rękami. Z trudnością nadażalem za jego sprawozdaniem, gdyż w tym samym czasie męczyłem się nad rozwiązaniem problemu - co może oznaczać fakt, że osobnik ten zadał sobie tyle trudu, by tak starannie i precyzyjnie przedstawić swoje alibi w formie wypracowania, chociaż nikt tego od niego nie wymagał, a do tego wszystkiego zrobił to w sposób bardzo demonstracyjny. W dochodzeniu wstępnym jest to rzadkie zjawisko, a w mojej praktyce zdarza mi się to po raz pierwszy. Czy to przygotowana linia obrony, czy chęć starannego udowodnienia swego nieuczestnictwa w całej tej sprawie? Pytania chodziły mi po głowie i pozostawały bez odpowiedzi, zauważyłem, że skończył czytanie. Odwróciłem się, powoli podszedłem i usiadłem na swym miejscu. Miał zamknięte oczy i chusteczką do nosa ocierał czoło i wyłysiałą głowę, jak człowiek łapiący chwilę oddechu po jakimś wielkim wysiłku.

- Czy może mi pan zostawić to swoje pisemne oświadczenie? - spytałem.

Podniósł się lekko, położył kartkę na biurku przede mną, wygładziwszy uprzednio dłońią i strzelając w nią palcami, powiedział - proszę! I znów opadł na krzesło trzymając chusteczkę Drży ustach w taki sposób, jakby go bolały zęby.

- A teraz - powiedziałem - poproszę pana o odpowiedź na kilka pytań, ale już bez czytania.

- Proszę! - powtórzył jeszcze raz odsłaniając twarz i wbijając we mnie wzrok.

- Mówi pan, że do pracy wyszedł za dwadzieścia ósma, a o której pan wstaje? Kiedy przeciętnie pan wstaje?

- To różnie bywa. O siódmej, siódmej piętnaście.
Dlaczego pan pyta?

- A pańska żona? O której wstała tego ranka?

- Moja żona zawsze wstaje przede mną. Ubiera dziecko, przygotowuje śniadanie i takie różne rzeczy...
Zawsze wstaje rano...

- A gdzie jest teraz dziecko?

- Dziecko jest na wsi, u dziadków. Zostawiliśmy je tam, bo chodzi do szkoły, my nie mamy warunków. Jeden pokój, a do tego wilgoć...

- Co pan jadł tego dnia na śniadanie?

- Słucham?

Czy rzeczywiście nie dosłyszał, czy chce zyskać na czasie?

- Co pan jadł na śniadanie, zanim wyszedł pan do pracy. Czy żona przygotowała panu śniadanie, tak jak każdego innego dnia?

Zmarszczył czoło i wzrok utkwił w czubku własnego nosa.

- Nie mogę sobie przypomnieć... Tak. Chciała zrobić grzanki, ale było późno... Zostały z kolacji dwa mielone... Zjadłem je na zimno...

- A czy była mowa o tym, co będzie na obiad? Co przygotuje? Razem jadacie obiady, prawda?

- Przeważnie razem... bardzo często... pracuję niedaleko... Ona też... poza tym ona pracuje w bibliotece na pół etatu, ma czas... Ale nie zawsze...

- A tego dnia?

- Tego dnia wykupiłem obiad w naszej stołówce, poprzedniego dnia powiedziała, że pójdzie do dentysty i nie zdąży... Tam trzeba czekać. Ale rano znów powiedziała, że nie pójdzie do lekarza, bo kupiła świeże kabaczki i może je przygotować, więc mam przyjść do domu na obiad. Zgodziłem się, bo bardzo lubię kabaczki...

Zamilkł.

- Potem? - spytałem.
- Co potem?
- Zgodził się pan, ale nie wrócił na obiad do domu.
- A skąd miałem wiedzieć, że załatwię samochód.

Jak Mladenow mi o tym powiedział, oszalałem ze szczęścia. Tyle czekania...

Uspokoił się trochę. Wytrzeł czoło i schował chusteczkę, Ale jak tylko zaczął mówić o samochodzie, znów się bardzo ożywił.

- A gdzie pan jadł obiad? Gdzie pan był na obiedzie?

- Nigdzie. Byłem w naszym magazynie na dworcu Iskyr u baj Gruja, oglądałem samochód. Powiedział, że wyceniono go na 1630 lewów. Miałem 1200 w Banku Inwestycyjnym, odkładałem na mieszkanie, ale co tam... zdecydowałem... W domu Wenka miała odłożone około pięciuset. Zadzwoiłem, żeby przyniosła, szkoda mi było czasu... Przyszła, przyniosła pieniądze... Przeliczyłem... Chciałem jeszcze zarejestrować wóz. A stamtąd pojechałem od razu do Dancza, blacharza z serwisu Christo Botew... Nie... przepraszam... Najpierw wpadłem do firmy i zabrałem ze sobą Mladenowa, to przyjaciel Dancza...

- A pańska żona? - przerwałem mu.

- Co moja żona? Poszła sobie, wróciła do domu... Mówiła coś, że siostry jej wstąpiły po drodze do Chisar, zostawiły kurczaka i że go przygotowała... Wydaje mi się, że mówiła, byśmy poszli do domu coś zjeść, ale mnie nie to było w głowie. Nie zwróciłem nawet uwagi na to, co mówiła. Dopiero koło trzeciej zgłodniałem, więc kupiłem sobie dwie banice i zjadłem w samochodzie...

Przez cały czas ścisnął w rękach teczkę tak, jakby chciał nią przeciąć sobie brzuch.

Spojrzałem na kartkę z alibi, którą zostawił mi na biurku. Zapamiętałem jedno zdanie i teraz zupełnie łatwo znalazłem je w tekście.

- Mówi pan, że dwadzieścia po dziesiątej szef podpisał pańską prośbę i od razu pan wyszedł. Na dworcu był pan pięć po jedenastej... Bardzo szybko pan tam dojechał, czym?

- Kiedy człowiek bardzo czegoś pragnie, zwykle to osiąga... - odwrócił wzrok.

- A gdy przyszła pańska żona, to wspomniała o przyjeździe sióstr, prawda? Czy przedtem mówiła coś na ten temat, na temat ewentualnego przyjazdu swych sióstr do was? Na przykład rano, zanim pan wyszedł, czy nie rozmawialiście o tym, czy nie wspomniała, że przyjadą?

- Nie, o tym się nie mówiło. Żona nie wiedziała, że one przyjadą. Gdyby tak było, powiedziałyby mi... Nie miała powodu, by się z tym kryć... One wprawdzie pisały w jakimś liście, że mają zamiar pojechać do Chisar, ale nic więcej. Kiedy wspomniała mi o nich tam na dworcu, to nie mówiła, że przyjechały w gości, a tylko wpadły po drodze wykorzystując fakt, że autokar miał trzy godziny postoju w Sofii.

Na oddzielnej kartce miałem przygotowane pytania, zanotowane pewne fakty, które chciałem, by mi dokładniej opisał i przedstawił, ale kartka ta tkwiła w przepastnej szufladzie biurka. Udając, że szukam czegoś, otworzyłem szufladę i spojrzałem w notatki. Między innymi zapisałem sobie jego pytanie: czy żyje? To znowu wpływ Penkowa. Gdybyście chcieli rozumieć to jako poszlakę, to spontaniczne zadanie tego pytania powinno świadczyć o dużym zainteresowaniu ewentualnego truciciela efektem swych poczynań. Tak to rozumiałem w pierwszym momencie, ale teraz zabrzmiało mi to głupio i bardzo podejrzanie. A jak inaczej miał zapytać?

Zamknąłem szufladę.

- Dobrze, proszę opowiadać dalej - powiedziałem.

- O czym? - spojrzał na mnie nie rozumiejąc.

- Wziął pan Mładenowa i pojechał szukać jego przyjaciela Dancza blacharza - zawróciłem jego myśli do punktu, w którym sam mu przerwałem.

- O, tak... Co dalej... Znaleźliśmy Dancza. Powiedział, że może w środę przyjąć samochód. Mieliśmy go przywieźć do Słatiny. Podał adres. Potem... potem podjechaliśmy do restauracji „Widyn”, by oblać okazję okazji... Wróciłem koło siódmej. Nie zastałem Wenki... Potem Zorka powiedziała mi... Pojechałem do Pirogowa... Wszystko to szczegółowo opisałem, o tam - wskazał głową na kartkę leżącą na biurku.

- Czy od razu pan pojechał?

- Nie, dzwoniłem... Trzy razy dzwoniłem... Chciałem się dowiedzieć, co się stało... Czy żyje.

- Co panu powiedziano?

- Nic nie powiedziano. Trzy razy dzwoniłem. Dlatego tam poszedłem.

- Z początku nie powiedział pan swego nazwiska. Przedstawił się pan jako sąsiad. Dlaczego?

Zupełnie spokojnie „wytrzymał moje spojrzenie.

- Wydawało mi się, że w ten sposób szybciej powiedzą mi całą prawdę. Jako zupełnie neutralnej osobie. Chciałem wiedzieć, czy żyje.

Znów to jego: czy żyje.

Ale odpowiedź była logiczna.

- Zanim pojechał pan do Pirogowa, gdy już powiedziano panu, co się stało, wszedł pan do domu i wyszedł z jakąś paczką? Co w niej było?

Na twarzy zauważyłem coś jakby cień uśmiechu lub tak tylko mi się wydawało.

- Wziąłem piżamę - odpowiedział poważnie i spokojnie. - Postanowiłem nie nocować w domu. Nie mogłem.

Miałem nawet zamiar spędzić tę noc przy Wence w szpitalu, ale na wszelki wypadek wziąłem piżamę, liczyłem się z tym, że mogą mnie nie wpuścić.

- Penkowowi powiedział pan coś innego - podpowiedziałem.

Twarz mu posmutniała, pod wąsami błysnęły zęby.

- Tak, powiedziałem co innego! Specjalnie tak powiedziałem. Zdenerwował mnie. Takie ni to, ni sio, a patrzył na mnie jak kot na mysz, a, to ty jesteś mordercą, złapałem cię! Wie pan co, ja być może nie należę do aniołów, ale na swoją żonę ręki bym nie podniósł, niech pan to zrozumie! I na siostry też, co za pomysł! Zrozumcie to!

Prawie krzyczał i teczkę przyciskał do brzucha.

- A gdzie pan nocował? - zupełnie cicho zapytałem, a podziałało jak środek uspokajający.

- Proszę? - równie cicho i spokojnie spytał wpatrując się we mnie.

- Gdzie pan spał tej nocy? Nie został pan w Pirogowie.

- U przyjaciela - odpowiedział po krótkim milczeniu, przeciągając lekko pierwszą sylabę.

- Jak się nazywa, gdzie mieszka, adres.

- Zachari Dudow się nazywa - powiedział znów jakby lekko zacinając się. - Ulica Nezabrawka 7, to jest w kierunku...

- A gdzie pracuje?

- On... on sprzedaje bilety... tramwajowe bilety...

- Gdzie? Dokładnie, przy Halach?

- Nie, teraz pracuje na pętli dziewiątki. Przystanek Chładiłnik.

Zapisałem sobie te dane. Od czasu, jak tu wszedł, była to pierwsza i ostatnia notatka, jaką zrobiłem. Patrzył więc w napięciu na to, co piszę, wzrok utkwiał, jakby chciał przeczytać wszystko, co zdołałem już zanotować. Wyglądało na to, że bardzo go treść tej notatki interesuje. A mnie przyszła do głowy pewna myśl, zupełnie natchnienie.

Niedbale rzuciłem ołówek na biurko, rozparłem się w fotelu.

- No, to by było tyle, panie Tomanow. Na dzisiaj skończyliśmy.

- Dlaczego na dzisiaj? Czy znów będę musiał tu przyjść?

- Jeżeli zajdzie taka konieczność.

Przykładnie wypełniłem i podpisałem odwrotną stronę przepustki. Podałem mu. Poderwał się, jakby do tej pory siedział na szpilkach. Wyprostowany chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie zdecydował się. Wziął przepustkę i ruszył ku drzwiom. Dopiero stamtąd powiedział mi „do widzenia”.

Wziąłem zapisaną dwustronnie na maszynie kartkę z jego wyjaśnieniami, które tak spontanicznie przygotował, i włożyłem do zupełnie jeszcze cienkiej teczki z aktami sprawy. Otworzyłem szafkę mieszczącą się w lewej części biurka i wyjąłem schwepsa z własnych zapasów. Napój miał, jak to się mówi, temperaturę pokojową, a jak wiadomo, jedynie czerwone wino pije się właśnie takie, a nie schwepsa. Mimo to opróżniłem butelkę. Pijąc i stawiając na miejsce butelkę myślałem sobie, że samochodem dojadę tam w piętnaście minut, a tramwajem lub autobusem trzeba jechać jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści. Gdy jednak zeszedłem na dół, okazało się, że moje wyliczenia wzięły w łeb. Ulica przed urzędem była rozkopana chyba od jesieni ubiegłego roku, kiedy to zaczęto zakładać rury centralnego czy też ciepłej wody. Od tej pory, przez całą zimę i całą wiosnę, budowlańcy nie czuli się w obowiązku powiadomić nas, kiedy prace te ukończą, więc zaczęliśmy parkować swoje wozy na wolnej części ulicy i chodnika. Teraz jednak pojawił się ogromny dźwig i zaczął zwałać długie, czerwone żelazne rury. A zainstalował się na wprost mojego samochodu. Musiałem nieźle manewrować i to na wstecznym biegu, by jakoś dotrzeć do przecznicy. Następnie okazało się, że dzisiaj mamy piątek. I bez tego wąskiego przestrzeń bulwaru, na którym znajduje się miejski bazar, została zablokowana ciężarówkami i wozami dostawczymi różnych

spółdzielni ogrodniczo-warzywnych, dostarczających towar do swych budek i pawilonów. Przyzwyczajeni do ruchu na dużych odległościach, szoferzy tych środków transportu nie przejmują się wiele miejskimi przepisami ruchu i parkują zupełnie jak na placu kombajnowym w szczerym polu. Jakby nie było dostałem się w końcu na bulwar Stambolijskiego i przemknąwszy bardzo zdenerwowany tuż przed nosem tramwaju przy zakręcie w lewo pogałem ku ulicy Opyłzenskiej. Na światłach skręciłem w prawo, minąłem most nad torami kolejowymi i obok Rosyjskiego Pomnika pojechałem bulwarem Skobelewa, szybko znalazłem się na dworcu Serdica, a dalej było już łatwo. Była to najkrótsza droga i myślę, że nadrobiłem te stracone minuty. Miałem nawet czas na kilka chwil rozmowy z cywilnym pracownikiem Służby Ruchu, czarnym, kędzierzawym chwatem, który bardzo nastawał, bym przedłożył mu dokumenty uprawniające mnie do prowadzenia wozu, gdyż zaparkowałem na miejscu niedozwolonym.

Było wóół do jedenastej. Jak na wszystkich pętłach, tak i tu nie było zbyt duży ludzi, taka pora. Sprzedawca lodów ubrany na biało właśnie otwierał swój parasol, a pod wiatą przystanku stało kilka osób.

Były dwa okienka z biletami. Wyglądało na to, że powinno być i dwu sprzedawców, ale szyba w jednym z okienek była opuszczona i dostrzegłem przez nią jedynie puste krzesło. W drugim, otwartym, liczyła stotinki młoda kobieta, powiedziałbym nawet dziewczyna, o sympatycznej twarzy, ale tak gruba, że po prostu żal było jej młodych lat. Zauważyłem, że na zielonym postumencie za zamkniętym okienkiem napoczęte paczki biletów leżały ułożone w takim porządku, który mógłby oznaczać, że sprzedawca na chwilę tylko opuścił swoje stanowisko pracy, ale nie zczekałem na niego. Przeszedłem skwer i znalazłem się na drugim końcu placu, gdzie zatrzymywały się kończące trasę

tramwaje. Przyjeżdżały prawie puste i przyjrzenie się każdemu pasażerowi nie nastroczało żadnych trudności. Obok były dwie budki: jedna z gazetami, a druga z różnymi drobiazgami. Nie mogłem tak sterczeć, musiałem coś zrobić, żeby nie rzucać się w oczy przechodniom, więc pomyślałem, że kupię gazetę. Jednak od razu oczami wyobraźni zobaczyłem, jak stoję z otwartą gazetą i udaję, że czytam, a tak naprawdę znad tej gazety obserwuję wszystko dokoła, byłoby to jak w starym kryminalnym filmie lub powieści. Zrezygnowałem z tego pomysłu. Stałem przed budką z drobiazgami. Było tam wszystko, co zostało na świecie wymyślone i wyprodukowane.

- Proszę pastę do zębów Meri - powiedziałem.

Żadnej odpowiedzi.

- Pastę Meri proszę - powtórzyłem pochylając się nad małym kółkiem wyciętym w szybie.

- Nie ma - doleciał mnie kobiecy głos znad góry męskich slipów, chustek do nosa, papierosów, spinek do włosów, flakonów różnego rodzaju i pudełek zapalek.

- W takim razie poproszę żyletki Roubier. Też nie ma?

- Nie ma - odpowiedziano mi trochę ostrzej.

Uśmiechnąłem się i wyprostowałem.

I wtedy go zobaczyłem.

Geno Tomanow przyjechał nie tramwajem, lecz autobusem numer 65. Przystanek znajdował się naprzeciwko skwerku po drugiej stronie torów. Autobus sobie odjechał, on postął trochę, rozejrzał się jak zdyscyplinowany pieszy i przeszedł przez ulicę. Szedł prosto na mnie.

Odwróciłem się i ponownie pochyliłem nad okienkiem.

- A czy są sznurowadła?

Na tle nylonowych siatek na zakupy przywiązanych sznurkiem do żelaznej kraty przed oczami pojawiły mi się dwa długie czarne sznurowadła.

- Proszę brązowe, krótkie - wyjaśniłem.

Czarne znikły, ale brązowe nie pojawiły się, chociaż stałem i czekałem na nie.

Geno Tomanow przeszedł za moimi plecami i teraz kroczył wąską alejką środkiem skwerku ku wiacie na przystanku. Wiedziałem, dokąd idzie. Spokojnie obszedłem cały półokrąg placu i stanąłem przy budce telefonicznej. Drugi sprzedawca biletów też już był na miejscu. Geno odczekał swoją kolejkę, jako czwarty kupił bilet i odszedł. Sprzedawca dał bilet jeszcze kolejnemu pasażerowi, zamknął okienko i wyszedł z pomieszczenia. Przesunąłem się ku tylnej części wiaty i zatrzymałem na poziomie sąsiadującego z nią pawilonu gastronomicznego. Sprzedawca pojawił się w wejściu służbowym dla dyżurnych kontrolerów, dyspozytorów i innych podobnych osób. Miał także szeroką i oliwkową twarz, lat tyle samo co Geno i łysy był jak on, ale niższy, o zaokrąglonej krótkiej brodzie, co Bóg raczy wiedzieć dlaczego wysunięta była jakoś tak dziwnie do przodu. Obejrzał się. Wyglądało na to, że jest krótkowidzem. Geno stał przy nim.

Wymienili tylko kilka słów. Właściwie to Geno mówił. Sprzedawca pokiwał kilka razy głową i wszedł do środka. Geno ruszył ku placykowi przed przystankiem i wskoczył do odjeżdżającego właśnie tramwaju.

4.

Była za cztery piąta, właśnie zbierałem się, by pójść do niego, kiedy zadzwoniła Giczka.

- Towarzyszu Damow, jesteście wolni.
- Proszę? - nie zrozumiałem.
- Jesteście wolni, mówię, do niczego nie dojdzie.
- Do czego nie dojdzie?
- Wyszedł. Wezwali go do dyrekcji. Przypomniałam mu o was, ale on tylko - „jutro”, „jutro” i wyszedł.

Odłożyłem słuchawkę i usiadłem wygodnie w fotelu. Pociągnąłem ręką po błyszczącej powierzchni biurka, jakbym zbierał okruszynki. Nie było okruszków, nic nie było, ani kartki, ani ołówka, ani żadnej figurki. Nic oprócz teczki. A w niej też nic nie było. Tylko jedna jedyna kartka, na której lewą ręką wypisałem swoje hipotezy. Były to bardzo ogólne uwagi i kierunki działania. Dzisiaj po południu, kiedy je pisałem, dodałem jeszcze jeden wariant: trucizna została dostarczona razem z kurczakiem ze wsi Morawec. Miałem już wiadomości, których zażyczył sobie Penkow.

Ze wszystkiego, o czym zawiadamiano, najbardziej interesujące były informacje dotyczące układów rodzinnych starszej siostry Dimany, a szczególnie jej męża - Trifona Rogowa, którego we wsi nazywano - Finio Roga. Pijaczka, rozrabiaki, awanturnika... bijącego żonę. Zaklinał się nawet, że ją porąbie na kawałki. On przygotowywał kurczaka poprzedniego wieczoru. Są też sygnały, że posiada paration.

Tak, Dymitrze, trzeba będzie pojechać do wsi Morawec, inaczej nie wypada.

To miał właśnie usłyszeć Ocet, gdyby mnie spytał, jak się sprawy mają i co już zrobiłem, a co mam zamiar zrobić jeszcze. W naszej pracy nigdy nie można zakładać wielkich zwycięstw, ale nie trzeba mieć zbyt wielkiej wyobraźni i dysponować umiejętnością logicznego myślenia, by dostrzec w tych wyjątkowo skąpych wiadomościach obecność trzech podstawowych elementów przestępstwa - przyczyny, środków, sprawcy. To jest oczywiście teoria, a w praktyce zawsze diabli wiedzą.

Jest wiadomość, że ten Trifon Rogow, mąż jednej z ofiar, posiada paration. Według mnie była to najbardziej istotna sprawa. Trujące preparaty ochrony roślin znajdują się pod specjalną kontrolą przydziału i przechowywania. Skąd więc u tego Trifona Rogowa paration? Jeżeli ktoś

mimo ostrych przepisów posiada tę truciznę, to znaczy, że pragnie jej użyć w jakimś specjalnym i konkretnym celu.

Przyszło mi do głowy, że powinienem o tym porozmawiać z Kycym. I to nie tylko dlatego, że był świetnym w tej dziedzinie specjalistą znającym wszelkie przepisy związane z tą materią, ale też dlatego, że nie było innego człowieka, z którym mógłbym porozmawiać i poradzić się w sprawach służbowych, podzielić swymi wątpliwościami i obawami.

Zupełnie odruchowo podniosłem słuchawkę i wykręciłem jego numer.

- Halo! - usłyszałem po trzech sygnałach głos zupełnie różny od grzmotu Kycego. Poczulem, jak chętnie słuchałbym tego głosu, jak chętnie porozmawiał, ale opanowałem się, jako że telefony w naszej firmie nie są odpowiednio do sprawiania sobie tego rodzaju przyjemności.

- Doktor Bankow?

- Nie ma go - służbowym tonem odpowiedział głos, ale wydało mi się, że pod sam koniec frazy zadrzał.

- Kiedy będzie?

- Jest na komisji ekspertów. Nie wiem.

Zazwyczaj u nas przez telefon osobom nieznanym nie podaje się tego typu informacji o osobie, której ktoś poszukuje... Odpowiedź, jakiej mi udzielono, wskazywała, że po tamtej stronie zdawano sobie sprawę, z kim rozmawiano.

- Czy nikogo u was nie ma? - głos mój brzmiał jeszcze bardzo służbowo, ale właściwie tylko w połowie.

- Ja jestem! Czy to mało? - miękko i cicho jak spadający liść odpowiedział głos.

- W związku z wczorajszą notatką chciałbym zapytać... - zacząłem mówić coś, na co zupełnie nie miałem ochoty - wczoraj... czy to ma być w jednym egzemplarzu... myślę, że powinno być w dwu, jeden dla prokuratora, jeden do archiwum...

- Ja mam jeszcze jeden, mogę go panu przepisać albo

dać ten co mam... - smutno powiedziała Tania. Kiedy umilkłem, w sekundę byłem cały spocony na myśl o głupotach, które plotłem.

- No to bardzo dobrze... bardzo dobrze... Przyjdę... A w raporcie napiszę o świetnym wywiązywaniu się z obowiązków służbowych... Ha, ha, ha... - słyszałem swój głos trochę przerażony tym, że nie mogę tego wszystkiego powstrzymać, że nie mogę złapać właściwego tonu.

- Dobrze - usłyszałem z tamtej strony i w uchu poczułem trzask słuchawki jak strzał prosto w serce.

Zapewne jeszcze dobry moment stałem z tą oniemiałą słuchawką przy uchu i z idiotycznym uśmiechem na twarzy.

- Kretynie! - cicho powiedziałem do siebie, lecz ta samokrytyka nie wywołała pożądanego skutku.

Schowałem teczkę do biurka, zamknąłem je i zaplombowałem kasę. Ruszyłem do wyjścia. Na wszelki wypadek wziąłem z wieszaka płaszcz. Wiał zupełnie nietypowy dla maja zimny wiatr, a rano w radiu mówili, że miały miejsce przymrozki.

Zrobiłem to oczywiście niepotrzebnie. Majowe słońce nagrzało przez cały dzień powietrze, a teraz był nawet przyjemny chłodek. Nieprzyjemnie zrobiło mi się dopiero przy samochodzie. Przednie lewe koło siadło i leżało jak rozgnieciona żaba. Musiałem skorzystać ze środków masowego transportu, a ponieważ od lat tego nie czyniłem, to oczywiście dopiero w tramwaju zorientowałem się, że to samoobsługa, a ja nie mam biletu. Wyjąłem dwa lewy, schowałem w dłoni i z duszą na ramieniu przejechałem przez całe miasto aż do Krzyżówki. Gdzieś tutaj w pobliżu powinna być ulica Wasiła Ichczijewa 3. Łatwo znalazłem adres i stanąłem przed drzwiami wyraźnie spaczonymi, zbitymi z drewnianych listew, które dotknął ząb czasu. Miały kolor starego ołowiu.

Dom był parterowy, pokryty turecką dachówką. Czas

światłości miał już poza sobą. Był to jeden z tych domów budowanych kiedyś na peryferiach miasta przez robotników, wozaków, drobnych rzemieślników, przeważnie uciekinierów i przybyszy z innych stron. Smutne uczucie starości legło na nim ciężarem. Jedyne zadrzewione podwórze pełne wiśni, krzaków i kwiatów zasłaniało trochę te szkaradnie spękane ściany i wąskie okienka o spaczonych okiennicach.

Pośrodku podwórza w cieniu wielkiej rozłożystej wiśni stała studnia obudowana kruszącą się cegłą i omszałe koryto, a obok chylił się ku upadkowi drewniany stolik.

Przy studni myła naczynia kobieta drobna, zaokrąglona, ale jeszcze ładna jak na swoje trzydzieści pięć lat. Szedłem właśnie w jej stronę. Wyglądała na trochę poruszoną i widać było, że spieszy się zajęta jakąś myślą. Zwabiony prawdopodobnie zapachem resztek jedzenia kot, całkiem czarny, o wielkich przesywających ślepiach, skoczył na stolik.

- Ale mnie przestraszyłeś - wykrzyknęła kobieta i machnęła na kota, który starał się otrzeć o jej mokrą, obnażoną rękę. Zwierzak skoczył na ziemię, przysiadł na ogonie i wpił hipnotyzujące ślepiea we właścicielkę.

Kobieta szybko opłukała naczynia pod strumieniem wody i zebrawszy je w obie dłonie zaniosiła do domu.

Kot pobiegł za nią.

Ja za kotem.

Drzwi wejściowe były otwarte. Ujrzałem mały przedpokój zawalony starymi meblami, domowymi sprzętami — kredens z wybitymi szybkami, żeliwny piecyk pernicki, a nawet wózek dziecięcy.

Kobieta już weszła, a ja zatrzymałem się na małym betonowym podeście przed dwoma schodkami prowadzącymi do drzwi. Po prawej ręce znajdowało się okno pokoju, do którego weszła kobieta, było otwarte, nisko położone, tylko przez nie wejść. W pokoju pojedyncze łóżko, toaletka

z lustrem, a na niej sto kobiecych drobiazgów, potem coś pośredniego między kuchenną szafką a komodą pomalowane na niewinny biały kolor, dwudrzwiowa szafa dopełniała umeblowania. Pośrodku kwadratowy stół przykryty kremowym obrusem haftowanym w kwiaty, na nim stała butelka koniaku i dwa kieliszki.

Kobieta pojawiła się odwrócona do mnie plecami, poruszała coś to tu to tam, choć wszystko było na swoim miejscu. Często jednak spoglądała w drugie okno wychodzące prosto na furtkę. I nagle zobaczyła mnie, zadrżała, oczy przez moment zablęszczały, ale od razu przygasły, a na twarzy odmalował się smutek i rozczarowanie. Szybko pojawiła się w drzwiach u góry tych dwu schodków.

- Czego pan sobie życzy? - pytająco zamrużyła oczami.

- Czy pani Zorka Kyrdziejewa?

- Tak.

Wyjąłem i pokazałem legitymację.

- Muszę z panią pomówić. A może nie życzy sobie pani tutaj? - spytałem będąc pod wrażeniem jej silnego zmieszania. Kiedy powiedziałem „tutaj”, od razu zorientowała się, że jeżeli nie tu, to zaproszę ją do nas.

- Ależ, dlaczego, proszę bardzo - uśmiechając się z przymusem zaprosiła mnie do środka. - Skoro pan nalega... dlaczego... ja nie mam nic przeciw temu... Proszę bardzo!

Minąłem ją i wszedłem do pokoju.

- Proszę bardzo! - powtórzyła wskazując na jedno z krzeseł stojących przy kwadratowym stole. Nic już na nim nie było. Butelka koniaku i dwa czyste kieliszki gdzieś znikły. Kiedy zdążyła?!

- Żałuję, ale nie bardzo mam ochotę jeszcze raz tutaj przychodzić - powiedziałem siadając. - Mam tylko kilka pytań. Pani się domyśla.

- Tak, oczywiście, ale nie wiem... ja zbyt wiele do ich

spraw się nie wtrącałam... - znów spojrzała w stronę okna wychodzącego na furtkę.

- Tyle, ile pani wie - uspokoiłem ją. - Czy długo tu pani mieszka?

Usiadła na brzegu krzeselka obok mnie, ale tak, by widzieć ścieżkę przed domem.

- Czy dawno mieszkam, od ośmiu lat. Wtedy dom należał jeszcze do dziadka Jakima. Jak z Ganką przyszliśmy do zespołu... zaczęliśmy szukać mieszkania. Ja pracuję w zespole ludowym „Jasność”, jestem śpiewaczką, solistką, może widział pan nasze występy? Lub w radiu? W telewizji też byliśmy... - uciekałem wzrokiem przed jej spojrzeniem. - Nie szkodzi, więc wynajęliśmy to mieszkanie. Bardzo nam się podobało. Cicho, z ogrodem jak na wsi. A właściciel stary, nie bardzo mógł to utrzymać... Bardzo dobrze się nam tu żyło. Ale Ganka wyszła za męża... Wpadła, ale... Potem dziadek Jakim zmarł... Nie, zanim zmarł, to Geno kupił od niego dom. Dziadek Jakim zupełnie nie miał ochoty sprzedawać mu domu. Po co mi pieniądze, mówił, mam już wykupiony grób... Dobrze, ale ten Geno, nie wiem, czy pan go zna, jak się raz uczepli... Przychodził tutaj, prosił, nakłaniał, całymi dniami... Ja, mówił, będę się tobą opiekować, żyj sobie, nikt cię nawet nie dotknie... Nie wiem, co zrobił, co mu naopowiadał, ale dziadek Jakim dom sprzedał. Początkowo dziwiłam się, po co mu ta ruderka, przegniła, pełna pluskw i karaluchów? Ale Genczo to chytra sztuka, aż przerażające. Za ten dom teraz, drogi panie, dadzą mu dwa mieszkania w blokach, które tu obok budują. On już wtedy to wszystko przewidział, nie jest wczorajszy. Przecież tutaj dookoła same bloki i tylko ta nasza ruderka została, ale i ją rozbiorą, mówią, że na wiosnę. On mnie czasami przeraża, mówiłam już panu. Z tych ludzi, co to jak drzwiami go wyproszą, to oknem wejdzie. I tylko chce mieć, mieć jak najwięcej - nie wystarcza mu jeden, musi mieć dwa samochody, dwa mieszkania, działkę

w willowej części Simeonowa... i kochankę, o tym wszyscy wiedzą...

Do drzwi cicho ktoś zastukał. Zorka podskoczyła jak uządlona, podeszła do drzwi, otworzyła i wychyliła głowę, następnie wyszła zamykając je za sobą. Pochłonięta opowiadaniem zapomniała wyglądać przez okno i przepuściła moment nadejścia tego, dla którego przygotowała tak miłe przyjęcie.

Przez otwarte okno dochodziły do mnie jedynie szept.

Wstałem i lekko pochyliłem się do przodu. Po chwili zobaczyłem trochę naburmuszonego, o niewesołym wyrazie twarzy młodego mężczyznę odchodzącego ścieżką.

Kiedy Zorka weszła do pokoju, ja już byłem na swoim miejscu.

- Sąsiad - uznała za stosowne wyjaśnić mi, a była zaczerwieniona i trochę poruszona - prosiłam, by opłacił mi światło...

Tym razem spojrzałem na nią wzrokiem tak niewinnym, że była święcie przekonana, iż jej uwierzyłem.

- No to jedźmy dalej - powiedziałem. - Tyle, że jeżeli można, to proszę o więcej konkretów, więcej faktów dotyczących samego zajścia... Chociaż to, co mi pani opowiedziała do tej pory, jest bardzo ciekawe... Ta jego kochanka i tak dalej...

- Tak, kochanka... - twarz jej znów miała myślący wyraz. Ale nie wróciła już do tej sprawy, nie usiadła na swoim miejscu. Podeszła do okna, znów przez nie spojrzała, jakby chcąc siebie przekonać, że tam na dworze nie ma nikogo, potem powoli przeszła przez cały pokój, w zamyszeniu poprawiła koronkową serwetkę na szafce, odwróciła się trochę niespodziewanie i jakby decydując się na coś, podeszła i usiadła naprzeciwko mnie.

- Pan jak się nazywa? - spytała patrząc ciemnymi, trochę postrzelonymi oczami.

- To nie ma żadnego znaczenia - powiedziałem

zdumiony nieoczekiwanym pytaniem. - Ale... Damow moje nazwisko.

- Wie pan co, panie Damow - nie spuszczała ze mnie wzroku - panu Penkowowi o tym nie powiedziałam, ale panu powiem... Długo nad tym myślałam i zdecydowałam się. Ja wiem, kto to zrobił!

Być może czekała, że oczy mi się zaświecą, że będę patrzył na nią w osłupieniu, ale ja siedziałem spokojnie, jedynie palec wskazujący ręki, którą trzymałem na stole, kreślił po obrusie jakieś dziwne esy-floresy.

- Tak, wiem! - powtórzyła. Pochyliła się, a twarz przybrała bardzo konspiracyjny wyraz, szepnęła: - To wszystko zrobiła ta stara, matka Toni... no, tej kochanki...

Nie zmieniłem pozycji, nawet na nią nie spojrzałem, mój wskazujący palec nadal rysował jakieś figury.

- Ona wieczorem była u nich - słyszałem jej szept. - Przyszła tutaj, szukała go... u żony... Wenka była w domu... Rzeczywiście rozwodzą się, ale mimo wszystko...

- Kto się rozwodzi? - cicho i obojętnie jakby od niechcenia zapytałem.

- No, Geno i Wenka, a kto... On dał sprawę do sądu... Kiedy pobili się przed kinem, to on następnego dnia wystąpił...

Nareszcie ożywiłem się.

- Tak - powiedziałem patrząc na czerwone kwiatki obrusa - mówmy bardziej systematycznie, w sposób bardziej usystematyzowany, chcę powiedzieć, od początku!...

Zamyśliła się.

- No, jak tu od początku... On z tą Toni to już kręcił od lat... Jeszcze jak był naczelnikiem w Przedsiębiorstwie Opałowym... Wenka dowiedziała się o wiele później... Ale ona jest dobra, więc milczała. A i gdzie miała iść z dzieckiem... I dla dziecka... Płakała, to jasne, przykro było... Mordowała się strasznie, jak piórko się zrobiła... Tego wieczora, w czwartek, zobaczyła, jak wychodzili z kina, i nie

wytrzymała... Jak nie zacznie okładać ją torebką po głowie, po głowie... Ale Geno przycisnął ją do ściany i jak on ją z kolei... Zatlukę, powiedział, zobaczysz... Wenka wróciła cała posiniaczona. Na drugi dzień on podał sprawę do sądu... Ale milczał i nic nie mówił. W domu siedzi - cichy, spokojny... nigdzie nie wychodzi... Aż tego wieczora łupucpu...

Pod ścianą okienną nagle coś zatrzeszczało, zupełnie jakby ktoś prześcieradło rozdarł. Zorka szybko spojrzała w tamtą stronę, od razu odwróciła ku mnie przerażone, pytające spojrzenie. W chwilę potem bezszelestnie i lekko jak bańka mydlana na tle ramy okiennej pojawiła się sylwetka czarnego kota.

- Niech cię diabli! Mało mi serce nie pękło! - szczerze zakląła Zorka i podskoczyła. - Marsz stąd! - podeszła z groźną miną do okna, ale kot gdzieś znikł.

- To sąsiadki - wyjaśniła wracając na swoje miejsce. - Od kilku dni kręci się tutaj, ale... - usiadła, przyglądała i bez tego gładko zaczesane i ściągnięte do tyłu włosy w taki sposób, że podciągały kąciki oczu ku górze, nadając twarzy azjatycki wyraz. - Uff, ale mi serce kołacze - położyła rękę na wydatnym łonie. - I o czym to mówiłam?... - znów podskoczyła. - Ale przecież ja pana niczym nie poczęstowałam...

Nie zdążyłem nawet odpowiedzieć. Szybko podeszła do białej szafki - przyniosła butelkę koniaku i dwa puste kieliszki.

- Dziękuję, ale ja nie piję - powiedziałem. - A i na służbie jestem. Jedźmy dalej. Powiedziała pani, że tego wieczora przyszedł ktoś...

- A tak... - usiadła, podparła się na łokciach. - Tak, przyszła stara... to jest jej matka. I od razu do ich pokoju... O czym mówili, nie wiem... Tylko pytała: dlaczego Geno nie odwiedza ich... Toni nie może już tego dłużej znieść... i nie wiem, co tam jeszcze... W pewnym momencie Wenka

wybiegła z pokoju zapłakana na dwór. Geno za nią. Złapał ją, zaczął coś mówić, uspokajać... A ta stara siedziała w środku w tym czasie. Jak tam było, nie wiem, ale uspokoił jakoś Wenkę. To bardzo dobra kobieta... Wrócili do domu, a on na starą zaczął krzyczeć, by mu się z domu wynosiła. Dobrze, ale ona siedzi. Ten krzyczy, wrzeszczy, w końcu stara ruszyła się mamrocząc coś takiego „do niczego się nie nadajesz”. Odprowadził ją aż do furtki...

- Stało się to wieczorem, na dzień przed wypadkiem, tak? - uściśliłem.

- Dokładnie wtedy - energicznie kiwnęła głową Zorka.

- A następnego dnia?

- Następnego dnia... Rano nie wiem, bo śpię długo. Kiedy wyszedł, nie słyszałam ani nie widziałam... Lecz jak siostry przyjechały, to słyszałam. Znam je, bo już tu były. Pobyły może pół godziny i poszły sobie... Było to koło pół do dziesiątej, być może. Obudziłam się, wstałam. Musiałam o dziesiątej być na próbie. Jak wyszłam umyć się, widziałam w przedpokoju ugotowane kurczę...

- Czy jest pani pewna, że było gotowane?

- Taak! Było ugotowane i zimne. Chyba takie ugotowane przywiozły. Jeszcze sobie pomyślałam, że pewno siostry przywiozły...

Umilkła. Prawdopodobnie przypominała sobie wszystko.

- Potem wyszłam, poszłam na próbę. Wróciłam koło drugiej. Zjadłam obiad. Poszłam do studni pozmywać naczynia i właśnie gdy wracałam, usłyszałam, że ktoś jęczy... Jeszcze sobie pomyślałam, że się przesłyszałam. Ale po chwili znów usłyszałam: Ooch!... ojej! Coś takiego strasznie smutnego, kiedy umiera człowiek. Podeszłam do drzwi Wenki, okazało się, że to stąd te odgłosy. Otwieram, Wenka leży na łóżku, zwinięta w kłębek, jęczy, a oczy błyszczą jej niesamowicie. Co ci się stało, Wenka, wołam... Czy ci niedobrze? pytam... A ona tylko oczy zamyka i tyle... Poleciałam

do Gajdarów z przeciwka, złapałam telefon. Halo, mówię, szybko dajcie pogotowie! Po pięciu minutach przyjechali i zabrali ją...

Oparła się wygodnie na krześle, odchyliła i popatrzyła na mnie pytająco, krzyżując ręce na piersiach, jakby chciała się dowiedzieć, czy zadowolony jestem z jej opowiadania.

Ale nie byłem zadowolony. Poczekalem, by sama zaczęła mówić o tym, co mnie najbardziej interesowało w jej dotychczasowej opowieści, ale ponieważ milczała, więc spytałem:

- A potem?

- Co potem, to wszystko - nie zrozumiała pytania i musiałem je bardziej sprecyzować.

- A w jaki sposób domyśliła się pani, że to właśnie stara zrobiła - powtórzyłem jej słowa - czy coś pani widziała, czy coś zauważyła?

- Co miałam widzieć, ona sama to powiedziała - spokojnie, ale z przekonaniem i pewnością w głosie odparła Zorka nie zmieniając pozycji, w jakiej siedziała, tak jak sic; mówi objawiając jakąś prawdę. - Ile razy dzwoniło do Wencze do pracy i pytano: „Ty zdziro jedna, dlaczego nie uwolnisz człowieka? Cpś się do niego przyczepiła jak kleszcz?” Szczególnie stara groziła: „Ty flądrowo jedna, skoro nie jesteś w stanie opruć i nakarmić jak należy mężczyzny, to ja z tobą zrobię porządek”. - To wszystko Wenka sama mi mówiła. Przyjdzie tutaj, a ponieważ nie miała komu, to mnie... Płacze, zabiję się, mówi, zrobię koniec ze sobą, nie mogę już dłużej...

Rozmówczyni moja pochyliła się, podparła na łokciach i patrzyła na mnie swymi japońskimi oczami.

- Tego wieczoru, kiedy stara przyszła do nich, miała ze sobą butelkę w takiej starej torbie na zakupy, co to ręczki pourywane, kilka razy już były zeszywane, miała tam i inne rzeczy, ale widziałam też butelkę od lemoniady, taką,

co to mają białe odrutowane kapsle. Wysłałam na chwilę, bo sprzątałam i zupełnie przypadkiem zobaczyłam... W tym była trucizna... A potem, kiedy Wenka wypadła z mieszkania, a Geno pobiegł za nią, to ona naląła trucizny.

- Gdzie naląła? - bezwiednie zmarszczyłem czoło.

- No, do oleju. Do butelki z olejem, na którym smażą... A potem jak Geno ją odprowadzał, powiedziała mu, by nie jadł w domu...

- Nie byłoby źle, gdybyśmy zamienili się rolami - przerwałem - tyle że ja śpiewać nie potrafię... - starałem się, by ironia, którą chciałem ukryć, nie uraziła mej rozmówczyni, ale ona przyjęła to za komplement. - W ogóle - ciągnąłem dalej - dlaczego wydaje się pani, że miała w tej butelce właśnie truciznę, że naląła jej do oleju i dlaczego do oleju? Czy nie mógł tego zrobić kto inny, na przykład mąż?

- To mogła zrobić tylko ona, tylko ona!... To nie Geno, on jest chciwy, może nawet rozpustny, ale to tchórz i do tego przebiegły. Jak to mówią: na spróchniałej desce nogi nie postawi. Znam go. Mógł wiedzieć, pomagać, ale sam, bezpośrednio, nie!... A olej to mi przyszedł do głowy później, kiedy wasi ludzie zaczęli tu opowiadać... A mam też przyjaciółkę pielęgniarkę i ona powiedziała mi, że ta trucizna podobna jest do oleju... Wiele na ten temat myślałam, już panu mówiłam.

Słuchałem jej, a wzrok zatrzymał mi się na dwu półkach z książkami umocowanych na ścianie w lewo od południowego okna. Wstałem, przeszedłem się w tamtą stronę, przyjrzałem książkom, a właściwie ich grzbietom. Zorka śledziła mnie przez ramię. Wróciłem do stołu i siadając powiedziałem głośno:

- Pani zapewne czyta wiele kryminałów?

- Ani jednego nie czytałam. Dlaczego? Nie miałam okazji... Nie, nie lubię. Lubię romanse, tyle że ich nie ma... I Wenkę pytałam, ona pracuje w bibliotece. Nie piszą,

mówi. Więcej o bohaterstwie piszą... Dlaczego pan pyta?

Nie odpowiedziałem, trochę sobą rozczarowany.

- A więc wiedziała pani, że przygotowuje się zabójstwo, widziała pani mordercę, widziała pani truciznę, na drugi dzień zabójstwa naprawdę dokonano i do tego ucierpiały trzy osoby, a pani co robi? Przychodzi pani na miejsce przestępstwa, czyści, myje, porządkuje, usuwa wszelkie ślady. Jak mam to wszystko sobie tłumaczyć?

- Co, co?

Nigdy w tak okrutny sposób nie postępowałem. Do dzisiaj nie mogę sobie wyjaśnić, co chciałem w ten sposób osiągnąć. W każdym razie natychmiast zrozumiałem, że zapłacę za to słono, i to zaraz.

Na gładkim czole pokazały się dwie ostre zmarszczki, długie rzęsy przykrywały zmrużone powieki, piękna twarz zaróżowiła się.

- Ten problem, mimo że tylko formalny, należy do końca wyjaśnić - dałem wsteczny bieg pod wpływem przy-mrużonych powiek, ale było już za późno.

- Proszę posłuchać, drogi panie, żarty pan sobie robi, czy po to pan tu przyszedł? A teraz ja was pytam: skoro wiedzieliście, że dokonano przestępstwa, gdzie byliście, dlaczego zjawiliście się dopiero po pięciu dniach, by schwycić mordercę i jego pomagierów? Ja sprzątnęłam ze stołu nie na drugi, a na trzeci dzień, kiedy wszystko zaśmierdziało się i zbiegły się karaluchy. Myślę sobie, przecież jak Wenka wróci ze szpitala, nie może zastać takiego bałaganu. Skąd mogłam wiedzieć, że ją otruli? Ja przecież panu powiedziałam, że dopiero później skojarzyłam sobie ten olej, bo wtedy jak wasi tu przyszli, kiedy całe miasto już gadało, co i jak się stało... Panu Penkowowi nie powiedziałam, to prawda, o tej starej i o Toni. Mówię sobie, co się będziesz w cudze sprawy mieszać, co cię to obchodzi? Potem pomyślałam i postanowiłam, że sama zjawię się, u niego i wszystko opowiem, ale znów myślę, przyjdą jeszcze raz, nie zostawią

przecież tak tej sprawy... A teraz, kiedy pan się zjawił, to od razu przyszło mi do głowy powiedzieć, może to coś pomoże, a tu co wyszło, że ślady zacieram, nie wiem co jeszcze, na współniczkę wyszłam... Naprawdę człowiek zaczyna żałować, że ma z wami do czynienia...

Wyjąłem papierosy, przygotowałem zapalniczkę, ale trzymałem je w rękach niezdecydowany. Wyglądało na to, że tutaj się nie pali.

Zauważyła to, poszła i przyniosła skądś popielniczkę i prawie fyrgnęła na stół. Okrągłe dwanaście minut wcześniej, niż na to wskazywał grafik, zapaliłem papierosa. Myślałem sobie: jakże kruchy okazał się miejski zewnętrzny blichtr tej młodej kobiety, a jakże silne są jej wiejskie korzenie tak w psychice, jak i w mentalności i słownictwie. Ten jej żargon miejsko-wiejski, ta fraza ostatnich zdań, nie mówiąc o nadmiernej wrażliwości i poczuciu dumy, kiedy niechcący dotknie się mieszczańskiego honoru, dostojęstwa, uczciwości.

- Nieźle mnie pani objechała - powiedziałem bez złości, paląc papierosa i uważając, by dym zbyt w jej stronę nie szedł. - Muszę powiedzieć, że mogę z panią postąpić tak samo i większe będę miał do tego prawo. Dlaczego się pani tak złości? Nie przyszedłem tutaj na przyjacielską pogawędkę, a wykonuję służbowe obowiązki. Dlaczego mam pani wierzyć, że resztki wyrzuciła pani jedynie z wielkiej przyjaźni, jaka panią łączy z Neweną, a nie dlatego, że starała się pani zatrzeć ślady? Czy dlatego, że spojrzenie pani jest tak niewinne, a do tego oburza się pani tak szczerze? Czy pani wie, jak niewinne mają spojrzenia i jak szczerze oburzają się ci, którzy dokonali wielkich przestępstw? Nie twierdzę, że pani do nich należy, ale to są fakty, które ja muszę sprawdzić i zdecydować: plevy to czy ziarno...

O mało się nie roześmiałem z tych moich wiejskich porównań.

Uspokoila się trochę. Drobne kropelki potu pojawiły się nad pełnymi, ładnie wykrojonymi ustami.

Wstała niespodziewanie i podeszła do szafki, pobuszczoła w niej i wróciła z pudełkiem tanich czekoladowych cukierków. Otworzyła, położyła na stole i lekko podsunęła w moją stronę. Wziąłem jednego, bardziej po to, by pokazać, że już skończyłem swoje kazanie i mam w stosunku do niej pokojowe zamiary.

- Proszę opowiadać dalej - poprosiłem, jakby nic się nie stało.

- O czym? - spojrzała bojaźliwie i cicho spytała.

- Kiedy wrócił mąż? Czy już wiedział o wszystkim?

- A, Geno?... Wyglądało na to, że nic nie wiedział...

Powiedziałam mu... Wrócił gdzieś koło siódmej. Przyjechał samochodem rozbitym... ale volkswagenem... Wszedł do środka, pobyl trochę... Ja czekam, patrzę, co się stanie... Wyszedł, miał coś zapakowanego w gazetę, obejrzał się, potem podszedł do wozu, ale nie wsiadł, tylko otworzył, zostawił paczkę i znów zamknął. Postął tak przy wozie, postął i wrócił. Wtedy wyszłam do niego. Spytał, gdzie Wenka... więc mu opowiedziałam. Czy żyje, krzyczy i patrzy na mnie... No, żyła jeszcze, mówię... Poszedł do samochodu i od razu odjechał...

- A kiedy wrócił? O której godzinie był w domu?

- Nie wrócił ani tej nocy, ani następnej... Kilka dni go nie było. Gdzie mieszkał, nie wiem. Być może, przychodził tu, ale ja go nie widziałam, może byłam wtedy w pracy... Ale nie wydaje mi się... Wszystko było u nich nietknięte.

- Powiedziała pani, że jak wieczorem przyszedł do domu, to wyniósł do samochodu jakieś zawiniątko, co mogło w nim być?

- Nie wiem. Było to coś zawinięte w gazetę, podłużnego kształtu, jak butelka... - spojrzała na mnie szybko i

zamilkła. Być może, chciała powiedzieć: wyniósł butelkę z olejem. Umówili się ze starą, że następnego dnia on butelkę wyniesie, by milicja nie mogła jej znaleźć. Ale nie powiedziała tego. Była trochę skrupowana i jej detektywistyczna fantazja nie mogła rozwinąć skrzydeł. Dodała jednak: - Mimo to, kiedy sprzątałam, butelki z olejem znaleźć nie mogłam. Nigdzie nie było, ani na stole, ani na podłodze między piecem a szafą, gdzie zazwyczaj stała. Nie było tam butelki...

„Butelka! - zanotowałem w pamięci. - Należy dowiedzieć się, gdzie znikła butelka!”

Na dworze słońce zaszło. Przez otwarte okno wpadało już chłodne powietrze. Gdzieś blisko po wyboistej, niebrukowanej ulicy przejechał z hukiem i łomotem jakiś zapóźniony wóz dostawczy, a potem znów dało się słyszeć jedynie wieczorne ćwierkanie wróbli na drzewach w podwórku, które rozliczały się z dniem i pospiesznie chowały głowy pod skrzydła, zasypiając.

Miałem jeszcze kilka rzeczy do załatwienia tego dnia. Chciałem to zrobić nad wieczorem, nie bardzo późno, gdyż późne odwiedziny u bliźnich nie należą do przyjemności, a i regulamin ich zabrania, ale nie tylko to. Chciałem, by wizyta ta odbyła się w tak zwanej rodzinnej atmosferze.

Podniosłem się.

- Myślę, że na dzisiaj wystarczy - powiedziałem. - Wydaje mi się, że będziemy musieli jeszcze kiedyś porozmawiać, ale uprzedzę panią. Pani jest tutaj, prawda?

Chciałem powiedzieć, nigdzie pani nie wyjeżdża, na przykład na urlop lub na występy?

Kobieta też się podniosła, i to dość ochoczo.

- Jak na razie nie, ale nie wiem... Kiedy się pan odezwie?

- No, ja teraz nic nie mogę powiedzieć, ale znajduję panią.

Odprowadziła mnie aż do furtki. Postąpiła, dopóki nie odszedłem, i patrzyła w ulicę.

Idąc bulwarem do przystanku widziałem, jak drugą stroną szedł w kierunku przeciwnym do mojego ów naburmuszony młody człowiek, którego dostrzegłem za oknem u Zorki.

Wysiadłem przy Seminarium, gdyż tutaj dwójka skręcała przez las ku miastu, a ja musiałem jechać w prawo, w kierunku grobowca Dynowa. Mogłem właściwie wsiąść do drugiego tramwaju, który podwiózłby mnie pod ambasadę radziecką, skąd bardzo blisko do przystanku Nezabrawka, ale postanowiłem pójść piechotą. Znałem tę część parku. Kiedyś lubiłem spacerować tutaj z pewną dziewczyną, która uwielbiała przyrodę, a szczególnie w tych okolicach.

Długi rząd pojazdów ustawionych w kolejce przed stacją benzynową czekał na paliwo. Mimo iż miałem wielką ochotę na tę pieszą przechadzkę, to mijając oczekujących ze smutkiem pomyślałem o moim okulawionym moskwiczu.

Kiedy na światłach przebiegłem aleję Jaworowa, zobaczyłem, że popełniłem błąd. Poczynając od świateł cała szosa prowadząca do Simeonowa była nieludzko zryta, jakby wyleciała przed chwilą w powietrze. Na dnie ogromnego wykopu budowano jakiś podziemny tunel szeroki tak, że mogły się w nim wyminąć dwa pociągi. Wyglądało na to, że nie sposób będzie dalej iść, że będę musiał przeprować się przez błoto, kiedy zauważyłem, że ludzie już wydeptali odpowiednie ścieżki, chociaż biegły one tuż nad wykopem. Taką dróżką wykonując jakieś wprost ekwilibrystyczne ruchy dotarłem do przystanku Pionier, a stamtąd między czarnymi o tej porze świerkami wyszedłem prosto na osiemnastopiętrowy budynek, zamieszkały przez pisarzy. Fasada z czerwonych cegieł, stal i beton były w oczy na tle innych domów mieszkalnych równie wysokich, ale o skromniejszej szacie.

Lampa przed wejściem świeciła się. Na obrzydliwych,

z dykty zrobionych i pomalowanych na równie obrzydliwy brązowy kolor drzwiach, które zupełnie nie wiadomo jakim cudem zostały tu osadzone pośród pretensjonalnych dębów i marmurów holu, oczywiście nie było numeru. Na papierze rysunkowym, przytwierdzonym naklejkami, ktoś wypisał dużymi cyframi: Bl. 315. Przynajmniej ta informacja była jako tako oświetlona.

Zawróciłem. Podwórze domu pisarzy graniczyło z małym domkiem ukrytym wśród drzew, cudem ocalałym z pożogi budowlanej podczas wznoszenia sąsiednich gigantów. Na emaliowanej oliwkowej tabliczce umocowanej na pniu starej topoli zobaczyłem numer, który był mi potrzebny. Dom stał wewnątrz ciemnego podwórka, ale na rogu pod dachem świeciła żarówka. W kolorowym świetle cieni mignęła mi postać ludzka.

- Dobry wieczór.

Człowiek ten odwrócił się wyciągając do przodu krótką brodę. Był w koszuli, starych spodniach przewiązanych sznurkiem. Niósł pusty kubel.

- Dobry wieczór - odpowiedział oglądając mnie sobie dokładnie.

- Szukam Zachariego Dudowa.

- To ja.

- Major Damow, z Wydziału Śledczego - przedstawiłem się nie legitymując. - Chciałem z panem pomówić...

- Co się stało? - zamrugał oczami Dudow.

Oczekiwałem, że zaprosi mnie do środka, ale on ścisnął pusty kubel i patrzył na mnie nie ruszając się z miejsca. Musiałem zadowolić się takim obrotem spraw.

- Pan ma przyjaciela, Gena Tomanowa.

- Mam, a co?

- Czy to pana bliski przyjaciel? Czy często się spotykacie?

- Od czasu do czasu, a co?

- Ostatni raz kiedy pan go widział?

Zamilkł na chwilę.

- Może z dziesięć dni temu... Od czasu jak to się stało, nie widzieliśmy się, a co?

- A kiedy to się stało, to u was spał?

- U mnie - bardzo szybko odpowiedział. - Spał tutaj u mnie.

- Kiedy on u nas spał? - dał się słyszeć cichy, ale ostry jak nóż, kobiecy głos i obok nas pojawiła się kobieta - gruba, piersiasta, z przerzedzonymi włosami upiętymi w tyle głowy w miniaturowy kok. Najwyraźniej stała gdzieś w pobliżu i podsłuchiwała.

- Tutaj u nas spał - jeszcze raz szybko powtórzył te słowa mężczyzna i lekko rozmachał kubeczek, jakby pragnął nim dotknąć, dać znak kobiecie.

- Jakże to, spał tutaj, i ja go nie widziałam? A gdzie ja byłam?

- Tutaj spał. Przecież ci mówię-błyskawicznie spojrział na żonę i znów wzrok utkwił we mnie. - A co?

- Nic takiego - powiedziałem. - O to tylko chciałem spytać. Do widzenia i proszę mi wybaczyć - odwróciłem się i ruszyłem ciemną ścieżką do furtki. Mężczyzna z kubkiem szedł dwa kroki za mną, jakby chciał jeszcze porozmawiać, przekonać mnie, że mówi prawdę, czy też wyjaśnić coś, ale ja nie obejrzałam się nawet i nie zatrzymałam, a on straciwszy nadzieję pozostał w tyle.

5.

Już od samego rana wszystko układało się jakoś nie tak. Właściwie to nie od rana, a od samego świtu. Około wpół do trzeciej obudziłem się z bólem głowy. Kiedy ocknałem się na tyle, że mogłem się połapać, co się ze mną dzieje, zrozumiałem, że to nie głowa, a ząb mnie boli. Miałem taki jeden trzonowy po prawej stronie, który ciągle mnie bolał,

ciągle obiecywałem sobie, że się nim zajmę, ale kończyło się tylko na obietnicach. Połknąłem weramon, wzorem jogów powiedziałem sobie, że nic mi nie jest, i poszedłem spać. Oczywiście obudziłem się godzinę później, niż to miałem w zwyczaju. Całą prawą stronę twarzy czułem jakoś inaczej niż lewą, była jak z drewna. Mało tego - kiedy spojrzałem w lustro, zobaczyłem coś, co się nazywa zmianą zdjęcia w legitymacji. Między policzkiem a nosem pojawiła się opuchlizna, lekka nawet, ale sięgająca po dolną powiekę, co powodowało, że przymykałem ją tak, jakbym puszczał do kogoś oko w sposób dość zawadiacki. Nie bolało mnie, ale fakt ten nie poprawił mego samopoczucia, a do tego wszystkiego musiałem rozwiązać problem, czy mam iść do pracy, czy też nie. W ostatecznym rozrachunku obowiązek zwyciężył. Języczkiem u wagi mego postanowienia był fakt, który przekazała mi Giczka, że Ocet wyszedł i umówione wczoraj spotkanie nie dojdzie do skutku. Szybko i bez przyjemności wypilem kawę, wypaliłem pierwszego papierosa zapominając o tradycyjnie ćwiczonych oddechach, ogoliłem się, mało co nie raniąc szpetnie, jako że nie przywykłem jeszcze do swego nowego profilu, zasłaniając chusteczką do nosa oszpeconą część twarzy wyszedłem do samochodu.

Na bulwarze Stambolijskiego czekała mnie druga nieprzyjemna niespodzianka. Na jednej z małych przecznic zatrzymało się około dziesięciu samochodów i migając światłami stopu ryczały silnikami na pełnych obrotach. Wpadłem i ja w to stado, poczekałem, potem wściekły, że spóźnię się do pracy, wyszedłem, by zobaczyć, co się tam stało. Ze dwu-trzech robotników robiło co mogło, by usunąć z torów tramwajowych pogruchotanego trabanta. Trzeba przyznać, że zadanie nie było zbyt trudne, jako że z trabanta została jedynie rama karoserii. Jeszcze nigdy nie widziałem tak uszkodzonego samochodu. Jak zdążyłem się zorientować, dzięki uprzejmości licznych w takich

przypadkach informatorów, trabant nie oberwał od tramwaju, a od żółtego pocztowego ambulansu, który rozwozi paczki. Szofer, który dokonał tego dzieła - czarny, potargany, nieogolony młody człowiek - stał z rękami skrzyżowanymi na kabinie żółtej furgonetki stojącej na chodniku i patrzył takim wzrokiem, jakby upajał się widokiem tego, czego dokonał.

Kiedy powróciłem do swego wozu, niespokojne zmotoryzowane stado powiększyło się i pięknie otoczyło mnie smrodliwymi zadkami i połyskliwymi mordami.

Oczywiście spóźniłem się do pracy. Niedużo, ale akurat tyle, by Ocet mógł to zauważyć. Kiedy postawiłem nogę na ostatnim schodku naszego piętra, szedł z głębi korytarza i oczywiście zauważył mnie. Był to czysty przypadek, ale dość nieprzyjemny. Gdybym przemknął do swego pokoju, byłoby to poczytane za unik. Gdybym został i zaczął się tłumaczyć, byłoby głupio. Mimo wszystko zatrzymałem się na chwilę. Zbliżał się, ale naprzeciw swego gabinetu trzymając już kłankę skinął głową. Twarz jak zwykle miał mroczną. Zanim wszedł, usłyszałem, jak powiedział:

- Za piętnaście minut!

Wszedłem do swego pokoju, usiadłem za biurkiem, wydałem policzki i odetchnąłem.

Piętnaście minut. Po co mi te piętnaście minut? Może dawał mi czas na uspokojenie i obmyślenie jeszcze raz mego wystąpienia. To bardzo szlachetne, ale nie potrzebowałem takiej łaski. Wszystko miałem przemyślane i to bardzo dobrze.

W czasie przesłuchania bardzo rzadko robię notatki. Ale gdy obwiniony czy też świadek wyjdzie, zapisuję pewne fakty, niejasne momenty, wymienione nazwiska, nielogiczne miejsca, które muszę wziąć pod uwagę przy kolejnym spotkaniu lub podczas przesłuchania innych osób związanych z danym przypadkiem.

Geno Tomanow wyjątkowo dobrze przygotował sobie

alibi. Teoretycznie rzecz ujmując „żelazne” alibi, jak my to nazywamy, rzeczywiście wygląda dość podejrzanie - obmyślając zbrodnię, przysły przestępcę obmyśla także sposób uchylecia się od kary, przygotowuje sobie odpowiedzi na ewentualne pytania, na wszelkie ewentualne pytania, i mają to być odpowiedzi, przynajmniej według niego, bardzo prawdopodobne i świadczące o jego niewinności. Z drugiej strony, znów tylko teoretycznie rzecz ujmując, nie ma nic bardziej naturalnego od faktu, że zupełnie niewinny człowiek, na którego całkiem przypadkowo i tylko z powodu splotu różnych wydarzeń pada podejrzenie, może udzielać dokładnych, logicznych i prawdopodobnych odpowiedzi, gdyż mówi prawdę.

Odpowiedzi Gena Tomanowa były dokładne, brzmiały logicznie i prawdopodobnie na pierwszy rzut oka i mimo swej zawodowej podejrzliwości i niewiary byłem skłonny przyjąć je za prawdziwe, tym bardziej że w tym momencie nie dysponowałem żadnymi innymi danymi, faktami, które byłyby alternatywą i mógłbym je przeciwstawić jego odpowiedziom. Przy pierwszym przesłuchaniu działa się, że tak powiem, na ślepo, na traf. Jest to bardziej sprawa uzyskania informacji i służy bardziej poznaniu podejrzanego, zbudowaniu jego socjalno-psychologicznego portretu, jaki musi zrobić każdy oficer śledczy, zgodnie z wymogami jego służby.

Genowi Tomanowowi wszystko przeszłoby gładko, gdybym w jego żelaznym alibi nie doszukał się dwu luk. Jedna była mała, prawie niezauważalna, bardziej ją wyczułem, niż wskazałem; sprawa ta uwierała mnie zupełnie jak jakiś paproch, co wpadnie nam w oko i uwiera pod powieką. Takie sytuacje zawsze stawiają mnie na nogi, robię się wtedy czujny i jestem w pogotowiu. Opuściłem więc pozycję pasywnego słuchacza i przypuściłem atak. Kiedy powiedział, że tego nieszczęsnego dnia nie nocował w domu, spytałem, gdzie był, i specjalnie zapisałem sobie adres

w taki sposób, by zauważył, że tę jego odpowiedź notuję. Oznaczało to przecież, że sprawdzę. Przestraszył się. I znów umyślnie nagle przerwałem przesłuchanie i jak przypuszczałem, on też bojąc się, bym go nie uprzedził, pojechał od razu do przyjaciela i prosił go, by na ewentualne moje pytania, czy spał u niego, odpowiedział twierdząco. Sprzedawca biletów zgodził się, ale nie spodziewał się, że będę zadawać mu pytania że tak powiem w kręgu rodzinnym, i dlatego nie uprzedził żony. W ten sposób okazało się, że Geno Tomanow mnie oszukał, a skoro w jednym okłamał, to nie mam podstaw, by wierzyć w pozostałe jego odpowiedzi. Przygotowałem się więc na to, że trzeba będzie go porządnie przepytac i obejrzeć z każdej strony. I nie musiałem długo czekać ani zbytnio się starać. Pomogła mi bardzo ta rozgadana Zorka. Nagle na horyzoncie pojawiła się kochanka, a do tego jeszcze jej straszna matka i rodzinne awantury, nie mówiąc o podaniu o rozwód - Geno, że tak powiem, miałby klasyczny motyw dla dokonania tego czynu. Bardzo interesujące jest też owo pojawienie się matki kochanki w dzień poprzedzający wypadek i ta butelka z białym kapslem, którą miała w torbie, nie mówiąc o tym, że jednak przez chwilę pozostała sama w pokoju, gdy żona Gena wybiegła na dwór zapłakana, a on pobiegł za nią. Te zdarzenia wymagały specjalnej uwagi i troski, zapisałem to sobie w notatniku. Zanotowałem także: dwa samochody, mieszkanie, działka w willowej części Simeonowa, kochanka. Były to słowa z jednego zdania Zorki, a ja zapisałem je sobie, bo układały mi się w moralno-psychologiczny portret Gena Tomanowa. A prócz tego wspaniale pasowały do mojej teorii, być może bardzo subiektywnej, uchwycenia różnicy między rodowitym mieszczuchem a przybyłym ze wsi mieszkańcem miasta. Mówię subiektywnej, a być może mało nawet obiektywnej, ponieważ sam jestem mieszczuchem z dziada pradiada, ale pokrywa się to z zupełnie

obiektywnymi i wiarygodnymi, moim zdaniem, obserwacjami, które poczyniłem tak w życiu codziennym, jak i w pracy zawodowej. Człowiek miastowy, czy to beztroski członek bohemy artystycznej, a częściej mieszczuch stu-procentowy mieszczący się w kategoriach zawodowych od robotnika po urzędnika posiada czasami bardzo nieuchwytnie poczucie własnej wyższości; będąc jakby z lepszej gliny ulepiony niechętnie albo wcale sięga po ciężką, niewymagającą kwalifikacji pracę, są mu bardziej obojętne dobra doczesne, a do kodeksu karnego odnosi się z większą bojaźnią i szacunkiem. Przybysz ze wsi, zwabiony najczęściej powiązaniem rodzinnymi, obdarzony jest wyjątkową energią. Początkowo przerażony i nieufny, gotowy pracować za tyle, ile mu zaproponują, przyjmuje nawet najcięższą pracę, drobną służbę czy jakąś niewydarzoną posadkę, a przy tym rozgląda się i ustawia się coraz lepiej na polu startowym, zyskuje wiarę w siebie. Zaczyna się dziwić: że też te głupkowate mieszczuchy nie zauważają, jaką otchłanią jest miasto, otchłanią możliwości, zysku, wzbogacenia się, posiadania. I uruchamia swoją ogromną energię. Rozpycha się łokciami, rusza głową w pracy lub służbie; kiedy uzbiera trochę pieniędzy, dzieli je, sprzedaje coś na wsi, pomagają mu siostry, szwagrowie. Zaczyna budować dom lub zapisuje się na spółdzielcze mieszkanie, gania po składach materiałów budowlanych, po sklepach z glazurą i umywalkami, z dziwną łatwością dostaje się do kierowników magazynów, dostawców, konwojentów, szoferów skorych do lewych kursów, potem sam nosi kubły z wapnem, cegły, cement, kopie, pracuje przy łopacie, czyści... A gdy dom już gotowy lub mieszkanie, to zaczyna kręcić się koło działki pod miastem; ogrodzi drutem kolczastym, posadzi czarną porzeczkę, pomidory i ogórki. Niedługo zobaczycie go za kierownicą samochodu, może być stary, ale jeśli to możliwe, to jakiejś zachodniej marki, a w nim dzbanuszek ze sztucznymi kwiatami na przodzie i tygrys ruszający

głową z tyłu pomiędzy haftowanymi poduszkami. Często możecie spotkać taki samochód o zmroku na jakiejś małej uczęszczanej drodze, gdzieś pod miastem. Stoi z wygaszonymi światłami w krzakach samotny, pusty, jakby porzucony, ale jak się lepiej przyjrzy, to zauważycie w środku jakiś ruch, czyjaś, powiedzmy, obecność.

Nie upłynęło zbyt wiele czasu, a zdanie Zorki zapisane przeze mnie wypełniło się treścią: „samochód, mieszkanie, willowa dzielnica, kochanka”... Oczywiście w pracy też się coś zmieniło. Krajan, szwagier, kuzyn, kuzynki, w ogóle nasz człowiek już dawno opuścił „byłe jaką” pracę, jakąś zagubioną kancelaryjkę. Został zaopatrzeniowcem, kierownikiem magazynu, naczelnikiem. Możecie go spotkać w jakimś rozwojowym instytucie naukowym, w jakimś biurze „ekspo”, a być może nie spotkacie go wcale w granicach naszego kraju przez najbliższe trzy-cztery lata... Ten nasz człowiek obdarzony ogromną energią potrafi wszystko!

Mimo iż Zorka przekonywała mnie, że Geno Tomanow, choć należy do ludzi chciwych i rozpustnych, to jednocześnie jest tchórzem, ja jednak zgodnie z moją teorią zaliczyłem go do kategorii ludzi obdarzonych wielką energią, tych, co potrafią wszystko. Właśnie wszystko.

Oczywiście, gdy po piętnastu minutach znalazłem się przed skrzywionym obliczem szefa, by przekazać mu swoje wrażenia, spostrzeżenia, hipotezy i uwagi na temat powierzonego mi zadania, daleki byłem od myśli podzielenia się z kimkolwiek moją teorią. Tym bardziej że Ocet wykorzystywał każdą wolną chwilę, każdą wolną sobotę i niedzielę, by pojechać do swoich rodziców, których ma na wsi, i zawsze wracał z bagażnikiem pełnym kabaczków i różnych słoików z przetworami. Ale jego, mówię to z całym przekonaniem i bez podlizywania się, uważałem za wyjątek w tej mojej teorii.

Siedział za biurkiem umyty, wygolony i schludny jak

zawsze, w lekkiej ciemnoniebieskiej marynarce do szarych spodni i śnieżnobiałej koszuli z bordowym krawatem. Ubranie to sprawiało, że wyglądał o wiele młodziej i sprawiałoby jeszcze miłsze wrażenie, gdyby nie ten jego zawsze ponury wyraz twarzy.

Biurko zawsze miał wysprzątane, jakby wymiecione, żadnych papierów, teczek z aktami, tylko pękaty wazon z czarnego lakierowanego drewna pełen idealnie zaostrzonych ołówków z grafitami sterczącymi do góry.

Skończyłem swoje przemówienie. Nie przerwał mi ani razu, wydawało mi się, że nawet na mnie nie spojrzął i nic nie zapisał. Siedział podparty na łokciach ze splecionymi palcami i patrzył przed siebie z takim wyrazem twarzy, jakby nic z tego, o czym mówiłem, nie podobało mu się lub nie robiło na nim dobrego wrażenia. Kiedy umilkłem, trwał jeszcze w tej samej pozie, potem się poruszył, obrócił na kręconym krześle ku oknu i bębniąc palcami w blat biurka powiedział skrzywiony spoglądając za okno:

- Jako pozycja wyjściowa, dobre!... Ale tylko jako wyjściowa... Ten Tomanow to interesująca sztuka... Taki typ człowieka... Te układy domowe i cała sytuacja wokół niego... Z jego żoną, tą, co przeżyła, jeszcze nie rozmawiałeś?... - chyba po raz pierwszy tego dnia spojrzął na mnie.

- Lekarze nie pozwalają. Jeszcze nie jest w stanie. Ale życiu jej nie zagraża niebezpieczeństwo...

- W każdym razie nie należy spieszyć się z wyciągnięciem wniosków. Prowadzi to do uprzedzeń, które, jak sam wiesz, nie są korzystne. Zaczynasz bobrować tutaj, a gdzie indziej ucieka ci okazja... Ot powiedzmy ta sytuacja, że matka jego przyjaciółki przychodzi do nich wieczorem i przez chwilę pozostaje sama w pokoju, to niebezpieczny trop i zwodniczy... Ale czasami to też może doprowadzić do poważnych wniosków...

- Dlaczego nie? - zbyt spontanicznie zapytałem, gdyż

muszę się przyznać, że już miałem pewne koncepcje na ten temat.

- Bo nie! - odpowiedział Ocet mając przy tym okropnie kwaśny wyraz twarzy.

- Nie rozumiem mimo wszystko... - przemówił we mnie upór, ale bardziej chyba urażona ambicja.

Ocet wstał i z rękami założonymi do tyłu ruszył ku oknu.

- Dobrze - powiedział cichym głosem - zapytam cię o coś, ty odpowiesz mi logicznie i wszystko będzie w porządku... Stara nie przyszła do Tomanowów ukradkiem, kiedy w domu nie było nikogo. Przeciwnie, wszystko przemawia za tym, że specjalnie przyszła wtedy, gdy Geno był w domu i kiedy była tam jego żona... By go przyprzeć do muru, by życie rodzinne zamienić mu w piekło. Po co miałyby przynosić ze sobą truciznę? Jak to sobie wyobrażasz, przychodzi do nich z butelką trucizny i mówi, proszę wyjdźcie na moment, mam tu pewną sprawę do załatwienia. Małżonkowie posłusznie wychodzą, a ona leje truciznę do butelki. Czy tak? A poza tym skąd ma paration? To człowiek z miasta...

- Tak jest... - zgodziłem się, a mój entuzjazm dla tej idei gdzieś znikł.

- Co tak jest? - ledwie usłyszałem jego pytanie, bo stał do mnie tyłem.

- Macie rację, chciałem powiedzieć... Ale skąd się wziął w ogóle ten paration - uciekłem od bezpośredniej odpowiedzi na zadane mi pytanie.

- Właśnie!... - wielkodusznie pozwolił mi na ucieczkę. - Taka trucizna nie rodzi się na kamieniu. Przechowywanie tego preparatu wymaga specjalnego nadzoru. Jak się do tego dobrali?

Wrócił na swoje miejsce, usiadł na krześle za biurkiem, oparł na łokciach i splótł palce.

- Wiesz, co możemy zrobić? Rozesłać zdjęcia Geny Tomanowa i Weliczki Panowej do naszych ludzi w kraju.

Niech sprawdzą możliwie jak najdokładniej, czy dawał ktoś takim ludziom paration?... To tak na wszelki wypadek, chociaż nie wiążę z tym wielkich nadziei. Ale mamy bardziej konkretny sygnał ze wsi Morawec. Nie wiem, dlaczego nie zwróciłeś na to uwagi, jak mogę sądzić z twego sprawozdania. Według mnie należy się nad tym zastanowić. W zeznaniach jednej z pielęgniarek jest coś interesującego, czy nie zwróciłeś na to uwagi? Przed śmiercią starsza siostra Dimana wyszeptwała: „Kurczak, kurczak, niech Wenka nie je kurczaka”. A z Morawca mamy wiadomości, że kurczaka ugotował mąż Dimany, Trifon Rogow lub jak kto woli Finio Roga... interesujące przezwisko - zauważył jakby dla siebie, ale na głos. Pomyślałem, że po takiej uwadze sam bym się uśmiechnął, a on był dalej skrzywiony. - W raporcie, który otrzymaliśmy od naszych ludzi, co się mówi o Trifonie Rogowie?... - słyszałem, jak ciągnął dalej. - Jest to pijak i awanturnik. Zaklinał się, że porąbie własną żonę... A do tego wszystkiego całkiem możliwe jest, że posiada paration... Takich faktów nie można pomijać. Może z tego nic nie wyniknąć, ale trzeba to sprawdzić, prawda? - Spojrzał na mnie pytająco, ale wydało mi się, że z wyrzutem.

- Nie pominąłem tego, towarzyszu pułkowniku, nie zbagatelizowałem... - przyparty do muru próbowałem się bronić - ale ponieważ nasza rozmowa potoczyła się w innym kierunku... O Welicze i innych... Jeśli chodzi o wieś Morawec, to nawet proponowałbym, by pojechać na miejsce... Chciałem zaproponować...

- No, dobrze, propozycja twoja została przyjęta - powiedział Ocet chcąc załagodzić sytuację lub przerwać moje wyjaśnienia. - Bierz czapkę i ruszaj!

- Od razu?

- No, od razu, po obiedzie, lub zorientuj się, jak ci tam będzie najwygodniej, to twoja sprawa... A oprócz tego możesz też porozmawiać z Neweną Tomanową... Oby do

twego powrotu była już zdolna do składania wyjaśnień... Ona jedyna pozostała żywa, jako świadek może być bezcenna...

Znowu wyprostował się, a ja zrozumiałem, że czas, bym sobie poszedł. Wychodząc powiedziałem Giczce, by mi przygotowała delegację, i poszedłem do swego gabinetu. Przysunąłem telefon i wykręciłem numer.

- Halo, Bankow, wyjeżdżam w delegację - powiedziałem i usłyszałem głośnie „tak”.

- Dobrze, Damow, życzę ci wszystkiego wesolutkiego - odpowiedział Kycy tonem, którym tylko my dwaj się porozumiewaliśmy.

Pomilczałem trochę, ale on nic nie dodał do tego, co już powiedział.

- Spytaj mnie, dokąd jadę! - podpowiedziałem mu, by osiągnąć to, o co mi chodziło, gdy do niego zadzwoniłem.

- A co mnie to obchodzi? - uciął ten głupiec.

- No nic, ale zapytaj - nastawałem.

- Ach, to jedziesz w delegację. - Zrozumiał nareszcie.

- A dokąd?

- Do Chaskowa.

- Kiedy?

- Dzisiaj wieczorem.

- Aha, to znaczy dzisiaj wieczorem jedziesz w delegację do Chaskowa. O której godzinie?

- Dziesięć po szóstej.

- A więc o szóstej na dworcu. Co jeszcze mam przekazać?

- Dosyć tego, idioto!

- Dobrze, to już przekazałem, co jeszcze?

- Jak to, co jeszcze?

- No tak, na przykład, co będziesz tam robił, gdzie będziesz? Czy może ktoś do ciebie zadzwonić, gdy będzie miał na to ochotę?

- Kto mnie szuka, ten znajdzie. To nie takie trudne.

- Ty mnie w to angażujesz, ale ja cię szukać nie będę. Nie mam nawet zamiaru. Wpadniesz tu jeszcze?

- Nie, idę do domu, muszę zabrać maszynkę do golenia.

- Mów tak od razu. Będziesz w domu, a potem na dworcu. To chcieliśmy wiedzieć. A więc do widzenia i miłej podróży. Ach, poczekaj, zapomniałem zapytać, na jak długo? Jak długo tam zabawisz?

- Nie wiem, jadę do takiego jednego, co posiada paration.

- Nie rób sobie apetytu. Szczaw jeszcze z ciebie!... No, do widzenia. Do widzenia, mówimy, a nie żegnaj! - I położył słuchawkę.

Wziąłem od Giczki delegację, zadzwoniłem do Chaskowa, by pracownik operacyjny czekał na mnie, i poszedłem do domu. Już dawno miałem w podróżnej torbie przygotowane - maszynkę do golenia, szczoteczkę do zębów i piżamę. Wyciągnięty na kozetce przeglądałem jakieś gazety i ciągle zerkałem na telefon. Ze dwa-trzy razy podniosłem nawet słuchawkę do ucha. Telefon nie był popsuty, ale milczał. Nikt mnie nie szukał.

Pięć po szóstej byłem na dworcu, w wagonie, wsparty łokciami o okno wyglądałem na peron. Innych odprowadzano, żegnano kwiatami, pocałunkami.

Dziesięć po szóstej zauważyłem Tanię i Kycego. Idąc wzdłuż wagonów bacznie wpatrywali się w okna. Zbliżali się do mnie. Ale Kycy ze swoim angielskim sposobem bycia zupełnie się nie spieszył. Pociąg ruszył. Mimo to pomachałem im na pożegnanie.

6.

Kiedy wyszedłem na peron na dworcu w Chaskowie, zauważyłem, że jeszcze jest widno, i dopiero wtedy dotarło do mnie, że to maj i że dnia przybyło. Wydało mi się nawet,

że słońce jeszcze nie zaszło, chociaż już nigdzie nie przeświecał ani jeden jego promień.

Ruszyłem trzymając pod pachą lekką teczkę i płaszcz. Szedłem razem z tłumem podróżnych i witających zastanawiając się, kogo by popytać o urząd okręgowy, gdyż w mieście tym byłem tylko raz, i to bardzo dawno temu, a jedynym obiektem, jaki zapamiętałem, był hotel, z restauracją gdzieś wysoko ponad miastem, w lesie pełnym słowików. Gdy męczyłem się przypominając sobie, jak nazywało się to miejsce, od którego swą nazwę miała także restauracja, podszedł do mnie smukły, ładny chłopak o jasnych, zaczesanych do tyłu kędzierzawych włosach.

- Witam, towarzyszu majorze. Ignatow z okręgowego - powitał mnie i przedstawił się prawie szeptem. Po chwili dodał. - Będę wam towarzyszyć.

Miał na sobie bladoróżową koszulę z szerokim niezapiętym kołnierzykiem i sprane niebieskie safari. Spodnie na szczęście nie były to sztruksy ani džinsy, ale miały ze trzydzieści centymetrów szerokości. W ogóle dość dziwnie był ubrany jak na pracownika MSW. Cofnął się na znak zaproszenia, bym szedł naprzód, i ruszył po mojej prawej stronie. Ja tylko kiwnąłem głową, przyjemnie zaskoczony i wdzięczny, że zaoszczędzi mi motania się po mieście. Wyszliśmy na uliczkę za dworcem. Poprowadził mnie do małej zacienionej uliczki, zatrzymał się przy wzorowo błyszczącej pomarańczowej ładzie z czarnym numerem, otworzył najpierw prawe drzwiczki zapraszając, bym wsiadł, i delikatnie zatrzasnął je za mną, potem obszedł wóz, otworzył od drugiej strony i usiadł za kierownicą. Ja milczałem, znów bardzo zdziwiony, ale tym razem stopnia zdziwienia określić nie potrafię, jako że podstępne uczucie zawiści skradało się ku mnie.

- Jedziemy do urzędu czy od razu do Morawca? - zwrócił się z pytaniem w trakcie zapalania motoru. - Właściwie o tej porze to w urzędzie nie ma nikogo...

- Dobrze - zdecydowałem dość niemrawo, a on zrozumiał, że możemy od razu jechać do wsi, co zresztą chciałem mu już wcześniej powiedzieć. Ruszył płynnie i z gracją, skręcił w lewo, minął szczerzący się napis „Wejście wzbronione” i precyzyjnie jeszcze przez kilka cichych i wyludnionych uliczek wyjechaliśmy na szeroki bulwar, który prawdopodobnie prowadził poza miasto. I rzeczywiście po chwili po obu stronach bulwaru zaczęły wyrastać domy i bloki mieszkalne, tu i ówdzie widać było jedynie rusztowania, ale czasami budynki nowiuteńkie, dopiero co oddane do zasiedlenia albo już zamieszkane, połyskiwały wymytymi oknami, pięknymi fasadami i nowoczesnymi sklepami na parterach.

Gdy tylko skończyły się bloki, skręciliśmy w prawo w ciasną asfaltową drogę, która wiała się równolegle do jakiejś niewidzialnej rzeczki płynącej między dwoma stromymi zalesionymi stokami. W górze niebiesciło się jeszcze powoli ciemniejące wieczorne niebo. O zmroku drzewa i krzewy na przełęczy mocniej odcinały się od tła. Gdzieś tam jak małe obłoczki połyskiwały srebrzyście poruszane wiatrem listki wierzb i lip.

Po tych kilku zdaniach wypowiedzianych na przywitanie aż do tej pory podróżowaliśmy w zupełnym milczeniu. Bo o czym też mieliśmy rozmawiać. Obarczyli młodego człowieka powitaniem i troszczeniem się o kogoś z Sofii, więc wykonuje powierzone mu zadanie.

- Czy to po prostu czas dyżuru obarczył cię obowiązkiem zajęcia się mną, czy też jesteś zorientowany w sytuacji? - zapytałem mimo wszystko, chociaż krępowało mnie mówienie mu na „ty”, a znów „wy” nie mogło mi przejść przez gardło. Wprawdzie byliśmy kolegami i mieliśmy wspólnie pracować, ale ja byłem starszy i wiekiem, i rangą.

- Nie, nie dyżur. To ja pisałem raport. Wiś należy do mojego rejonu - odparł młody człowiek patrząc przed siebie i kręcąc, nie - pieszcząc kierownicę...

- Czy nic więcej oprócz tego, co w raporcie, nie masz? Chcę powiedzieć, że może w międzyczasie dowiedziałeś się czegoś nowego?

- Nie, towarzyszu majorze, obejrzałem przypadek ze wszystkich stron i dotarłem do wszystkich, możliwych źródeł informacji. Wiem tylko to, co napisałem. Rodzice to zupełni staruszkowie. Obie córki mieszkały u swych mężów. Młodsza miała straszego kobieciarza... Pracowała jako ogrodniczka. Wyglądała jak muszka... Może dlatego nie mieli dzieci. Starsza całe życie maltretowana była przez męża Finie Roga... ten pije do utraty przytomności... Zły charakter... Trzy konie do tej pory zajeździł... I na żonę też się porywał... Myślę, że zwróciliście uwagę... I ten paration, co go ma u siebie...

- Skąd ten, „sygnał”, jak to zostało nazwane w raporcie?

- Prawda, tak napisałem, ale wiadomość tę otrzymałem od człowieka, który na własne oczy widział, jak Roga odlał sobie spory gąsiorek preparatu i zaniósł do domu... Zaprowadzę was do tego człowieka... Najpoważniejszą według mnie poszlaką jest to, że tego wieczora Roga wrócił do domu i był zupełnie trzeźwy, gotował kurczaka nie będąc pijanym... ja to sprawdzałem kilka razy. Nie ma żadnych danych wskazujących na to, że tego wieczora pił... Był trzeźwy i dla mnie jest to najbardziej podejrzane...

- Dlaczego to właśnie jest najbardziej podejrzane? - spojrzałem na chłopaka i naprawdę nie mogłem zrozumieć, co chciał przez to powiedzieć.

- Byłem we wsi kilka razy, mówiłem wam o tym, i obserwowałem go. Dla mnie to fenomen... No, może nie fenomen - spuścił z tonu widząc, z jakim zdumieniem spojrzałem na niego - ale przynajmniej interesujący przypadek...

- Mimo wszystko nie rozumiem... - podrzuciłem mu myśl, jako że zaczął właśnie w tym momencie poprawiać boczne lustro.

- Bardzo dobrze się stało, że przyjeździemy wieczorem - zaczął swoją odpowiedź nie wprost Ignatow. - Każdego wieczora Roga jest pijany do nieprzytomności, a rano i w ciągu dnia trzeźwy. Jeżeli zobaczycie go w obu sytuacjach, zgodzicie się ze mną, jestem tego pewien...

Zamilkłem, zły, że tak kluczy w odpowiedziach.

Wielka ciężarówka bez świateł na zakręcie nagle wyskoczyła na naszą kruchą torpedę-ładę. Jednym błyskawicznym ruchem kierownicy Ignatow wyprowadził samochód na pobocze i wczepił się w ostrą ścianę skarpy jak pluskwa, mając po prawej pionową skałę. Jeszcze widzę przerażone oczy kierowcy ciężarówki, który z desperacją, lecz zbyt późno starał się naprawić swój błąd. Przeleciał przez opróżnione przez nas miejsce z hukiem tysięcy błyskawic, Ignatow zapalił silnik, skręcił na szosę i ruszył, jak gdyby nic się nie stało, a ja uwolniłem nogi, które w swojej wyobraźni cały czas trzymałem na hamulcu, jak to czyni każdy kierowca w podobnych sytuacjach, kiedy ktoś inny prowadzi, a jego wypełnia pełen zawiści zachwyty dla szalonego refleksu, jakim dysponuje ten młody człowiek. Nie przejechał nawet trzydziestu metrów, kiedy stanął znów na poboczu, roztarł drżącymi dłońmi twarz i powiedział:

- No, popatrzmy, czy jeszcze żyjemy?

- Wydaje mi się, że tak - wymamrotałem, bo głos mi odjęło.

Znowu ruszył i szybko dojechaliśmy do wsi, ale już nie odzywaliśmy się do siebie. Na pustym placu świeciły lampy. W jednym jego końcu ciemniał nieotynkowaną cegłą i pustymi otworami okien jakiś nowy jednopiętrowy dom. Przed nim leżały kupy bazaltowych płytek i stożki piasku przygotowane prawdopodobnie do ułożenia chodnika. Ignatow zatrzymał się właśnie w tym miejscu. Na jednej z tych stert siedziały jakieś cztery postacie. Kiedy wóz zatrzymał się, wstały i podeszły do nas, widać było, że na

nas czekały. Podeszli i przywitali się, najpierw z Ignatowem, który mi ich przedstawił - przewodniczący gromadzkiej rady narodowej, dwaj milicjanci, a czwarty to chyba strażnik ze spółdzielni rolniczej.

- Baj Delio - zwrócił się Ignatow do przewodniczącego, człowieka dobrodusznego o okrągłej twarzy, tryskającej zdrowiem, i gęstych, falujących siwych włosach - idźcie teraz do Finii Roga i zobaczcie, czy jest w domu.

- Jest - powiedział przewodniczący - przed chwilą koń go zaprowadził. Jest.

- Dobrze. Ale wchodzić nie będziecie. Zaczekacie gdzieś na zewnątrz. Kiedy przyjdziemy, to dopiero wtedy. Nie zabawimy długo. No, idźcie...

Wsiedliśmy do samochodu i ciemną rozjeżdżoną wozami, ale chwała Bogu suchą ulicą dojechaliśmy do końca wsi, wydawało mi się do ostatniego zabudowania.

Ignatow zastukał do drzwi. I tutaj wyraźnie na nas czekano. Prawie natychmiast wyskoczył drobny człowieczek w przetartym słomianym kapeluszu na głowie i niebieskim drelichowym ubraniu. Twarz też miał drobną, całą pokrytą zmarszczkami, które zbiegały się w okolicach ust wysuniętych ku przodowi, jak mordka jakiegoś zwierzątka. Nos błyszczał mu niczym mała gładka kulka nad górną wargą, co czyniło go podobnym do starego, obszarpanego misia.

- Wejdźcie - zaprosił nas misiak głosem przypominającym mruczenie niedźwiedzia.

- Nie będziemy wchodzić. Powiedz tutaj - oparł się o płot Ignatow.

- O czym? - małeńkie oczka człowieczka zaświeciły się.

- Opowiedz towarzyszowi, jak Finio Roga zabrał paration, skąd go wziął? - uściślił pytanie Ignatow.

- Było tak, jak ci opowiadałem - cicho zamruczał człowieczek. - Kiedy rozładowywaliśmy na dworcu tę cholere dla Spółdzielni, jeden pojemnik spadł z rampy i uszkodził

się, zaczął wyciekać płyn. Przetoczyli go na bok i tak zostawili ciekący, a Finio miał w wózku gąsiorek i sobie go napełnił... Oni na niego naskoczyli, żeby tego nie robił, bo to trucizna, a on na to, że co z tego, że trucizna, przecież nie on będzie to pił...

- Kiedy to było? - spytał Ignatow.

- No, kiedy to, w przeszłym roku, w przeszłym o tej porze...

- Czy tylko on wziął?

- Tylko on.

- A ty?

- Ja?... - błyszczące oczka pytająco i niespokojnie przeskakiwały ze mnie na Ignatowa i z powrotem. - No, więc...

- Powiedz, powiedz. Nie wzięłeś przypadkiem i ty takiego gąsiorka?

- No, ja też... wzięłem... Jeżeli nadarza się okazja, dlaczego mam nie skorzystać... Mówią, że dobrze robi na parcha... Tylko że ja nie gąsiorek, a banieczkę tego wzięłem...

- Gdzie to masz, gdzie trzymasz?

- Jak to, na drzewach, a gdzie ma być? Opryskałem. Dlaczego miałbym trzymać?... Było bardzo dobre, jabłoniom dobrze zrobiło, a ja i śliwom to dałem i też ładne były... Raki z nich narobiłem... Wejdźcie, to dam na spróbowanie!...

Podąłem mu rękę.

- Do widzenia baj... jak masz na imię?

- Żelio... Żelio Żabarow - człowieczek podał mi rękę zdumiewająco dużą i silną. Gdy ścisnął, poczułem w mej inteligenckiej miękkiej dłoni twarde jak podeszwa odciski.

- Do widzenia, Żabarow, i przepraszamy za to najście — powtórzyłem. - Jeżeli zajdzie potrzeba, jeszcze się do ciebie zgłosimy.

- Do widzenia - odpowiedział machinalnie skonsternowany człowieczek, zdumiony wyraźnie naszym nagłym Przerwaniem rozmowy.

Ignatow ruszył za mną nie podając mu nawet ręki, on też chyba był zdumiony, takie odniosłem wrażenie.

- Nie ma sensu. Wszystko jasne - powiedziałem, kiedy wóz z cichym pomrukiem, lekko i ostrożnie jak kotka pełzał opłotkami w powrotnej drodze.

Po kilku minutach, przemknąwszy się jakimis̄ ciemnymi, ciasnymi uliczkami, nad którymi rozłożyste drzewa w podwórkach domostw tworzyły swoisty baldachim, Ignatow zatrzymał się i zgasił motor w pobliżu wysokiej ściany, wyszedł i ruszył przed siebie. Ja za nim. Zauważyłem, że są tu nawet lampy elektryczne, ale żadna z nich się nie świeci. Prawdopodobnie przepaliły się żarówki albo prąd nie docierał do tej części wsi. Jakby nie było, sierp księżycy wędrującego niebem czynił tę ciemność bardziej przejrzystą. W prawo dostrzec można było niskie ogrodzenie zrobione z kamieni rzecznych, gdzieniegdzie uszkodzone i nadwężone, które kończyło się równie niską furtką, także pokrzywioną i chylącą się na jedną stronę. Za nim rozpościerało się zachwaszczone podwórko z kilkoma rzędami drzew, a w głębi stary parterowy dom z małą oszkloną, ale otwartą werandą - nazywają to gankiem. Na ganku świeciła słabo żarówka, a w jej świetle widać było potężną sylwetkę człowieka siedzącego przy małym drewnianym stole.

Ignatow poprowadził mnie na drugą stronę ulicy, dokładnie naprzeciwko kamiennego ogrodzenia. Tam, w cieniu niskiego rozłożystego drzewa klęczało tych czterech, co wyszli nam na spotkanie. Wstali i podeszli do nas starając się ukryć w dłoniach zapalone papierosy.

- Z nami pójdzie tylko baj Delio - zadysponował Ignatow. - Wy trzej czekacie. Jeżeli zajdzie potrzeba, zawołam was. - I zwrócił się do przewodniczącego. - Baj Delio, naprzód!

Przewodniczący ruszył, w księżycowej poświacie białawy jego włosy. Za nim szedł Ignatow, a na końcu ja.

Przeszliśmy ulicę jakby w partyzanckim szyku, minęliśmy przekrzywioną furtkę i dalej udeptaną dróżką poprzez porośniętą trawą podwórko dotarliśmy do domu. Właściwie nie była to dróżka, a prawdziwa droga, bo wjeżdżało tu się i wyjeżdżało wozem. Wóz stał wyprzęgnięty przed innym budynkiem, który dopiero teraz zauważyłem - wąskim i długim, jednopiętrowym. Na dole pewno była obora, a na górze przechowywano siano i pasze.

- Dobry wieczór, baj Trifonie - krzyknął przewodniczący, kiedy weszliśmy w krąg światła padającego z migotliwej lampy.

Olbrzym spojrział na nas wylupiastymi oczami, promienny uśmiech ogarnął brodatą, brzydką twarz. Od razu widać było, że jest pijany.

- Aaaa, no to i gości mam... i coś do wypicia mam... - wymamrotał wymachując litrową butelką rakii. Pochylił się dość niepewnie z zamiarem wyjścia nam na powitanie, ale nie udało mu się to i znów usiadł przy stole. - Witajcie! - mamrotał dalej. - Proszę bardzo!...

Baj Delio podszedł i podał mu rękę.

- Przyjechał towarzysz z Sofii... chciałby z tobą porozmawiać - wyjaśniał podając mu rękę.

- Nie będziemy teraz gadać! - machnął znów butelką Trifon. - Teraz będziemy pić... Wypijemy po maluuuszku!...

Znów próbował wstać, co mu się udało, i niemalże wyważając drzwi wszedł do domu i wyniósł po chwili z zadziwiającą zręcznością i szybkością trzy krzesła i trzy kieliszki, a usiadłszy na swoim miejscu od razu zabrał się do rozlewania.

- Ha, a teraz siadajcie tu w chłodzie i witajcie... - Podniósł butelkę. - Na zdrowie!

Bez szczególnego entuzjazmu siedliśmy i wzięliśmy swoje kieliszki. Dałem przykład. Nie wiedziałem, co innego mogę zrobić w tej sytuacji. Trifon stuknął się z każdym

szyjką od butelki, potem podniósł do ust i opróżnił prawie do połowy. Postawił butelkę na stole i zaśpiewał:

*Dimano, hej, moja niewiasto-o,
dlaczego twoje kwiatki gasną-q...*

- Finio - próbował przerwać mu przewodniczący.
- Ty się teraz nie odzywaj! - bez złości, ale jasno i stanowczo powiedział olbrzym. - Teraz milcz i słuchaj!... Ja tu jestem przewodniczącym! - I ciągnął dalej:

*Dlaczego twoje kwiatki gasną,
Dlaczego twoje oczki gasną...*

I nagle rozplakał się. Ogromne ciało zatrzęsło się.

- Była dla mnie taka dobra, zapamiętaj to sobie - mamrotał coś niezrozumiale przez łyzy, tarł twarz wierzchem dłoni. - Dobra była dla mnie moja Dimana...

Opadł twarzą na stół, zwlókl się jakoś, potem upadł, podniósł się ponownie, a potem znów na czworaka popęzł do drzwi domu i zniknął w jego ciemnościach.

Siedzieliśmy przy wąskim stole zrobionym z jednego pnia, w świetle migającej żarówki, nie mogąc mu pomóc i nie wiedząc, jak postąpić. Przynajmniej ja tak się czułem.

- Zostawcie go - powiedziałem. - Przyjdziemy jutro... Teraz to nie ma sensu. Jutro rano przyjdziemy.

I poszliśmy sobie, zwalniając także ludzi czekających na ulicy.

Nocleg przygotowali mi w starym budynku gromadzkiej rady, w pokoju przeznaczonym dla takich jak ja rzadkich gości. Ignatow poszedł gdzieś, pewno ma tu znajomych.

Wczesnym rankiem znów zjawiliśmy się przed rozpadającym się płotem. Odniosłem wrażenie, że wszystkie domy, które po drodze mijaliśmy, i te po sąsiedzku, były świeżo malowane lub zupełnie nowe, ogrodzone żelaznymi lub

betonowymi płotami, podwórza miały bardzo łacinie zagospodarowane. Jedyne dom Trifona był stary, z rozpadającym się ogrodzeniem, z porośniętym trawą podwórkiem, wyglądał na bezpieczny.

Kiedy minęliśmy rozklekotaną furtkę szeroko otwartą, Trifon właśnie zaprzęgał konia. To nie był ten sam Trifon, to było zwierzę. Zaprzęgając konia, bił go niemiłosiernie, okładał kulakami po łbie, po bokach, jak popadło. Zwierzę przerażone łypało oczami, wiło się i rzucało na boki, ale nie miało dokąd uciec przed żelazną ręką gospodarza.

Zatrzymaliśmy się na uboczu, sami lekko przerażeni.

- Właśnie chciałem, byście to zobaczyli na własne oczy - usłyszałem głos Ignatowa. - Teraz jest trzeźwy. Gdy się napije, to łagodny jak baranek, ale na trzeźwo dzikie zwierzę.

Postąpiłem do przodu.

- Dostyc tego! Zostaw konia i chodź tutaj!

A on albo nie słyszał, albo nie chciał zwrócić na mnie uwagi.

- Dostyc, mówię do ciebie! - prawie krzyknąłem.

Po chwili, jakby przychodząc do siebie, przestał bić i odwrócił się. Rzeczywiście miał w twarzy coś zwierzęcego. Ruszył ku mnie - ogromny i przerażający.

- Dlaczego bijesz konia? - przywitałem go.

- A ty kto, że mi wystawiasz rachunek? - prawie runął na mnie.

- Ja ci powiem, kto ja jestem - krzyknąłem doprowadzony niemal do ostateczności. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę domu. - Chodź no tutaj! - Odwróciłem się, stał na tym samym miejscu jak rozjuszony dzik.

Nadchodził przewodniczący.

- Finio, towarzyszu jest z Sofii... z milicji... Chce z tobą porozmawiać...

- Nie mam nic wspólnego z milicją - zaskrzeczał głos Trifona.

- Chodź no tu! Ale to zaraz! - powiedziałem tonem tak kategoriycznym, że ten pokornie się podporządkował.

- Siadaj! - wskazałem na jedno z krzeseł stojących przy nieuprzątniętym od wczoraj stole.

Zły, ale posłuszny usiadł.

- Powiedz teraz, jak gotowałeś kurczaka? - spytałem bez wstępu, wpatrując się bacznie, ale próba zaszokowania go nie udała się.

- Jakiego kurczaka?

- Kurczaka, którego żona twoja zabrała na drogę... zanim... wyjechała... - spuściłem z tonu przy ostatnim słowie. - Ty gotowałeś go, tak?

- Jak to, jak gotowałem... na ogniu, a jak... - zagrzymiał.

- Czy ona cię o to prosiła, czy ty sam?

- Ona chciała innego kurczaka...

- Jak to innego?

- Innego... Tego pstrokatego z krzywym grzebieniem... Ja mówię - nie tego... Ona go goni... Więc trząsałem ją dla nauczki... To poleciała do siostry wypłakać się... chwyciłem innego i łeb mu ukłeciłem...

- Gdzie go gotowałeś?

- Na ognisku, a gdzie?... O tam... - wskazał miejsce tuż pod ścianą obory.

- W czym?

- Co w czym?

- W czym gotowałeś, w garnku, w kotle, w rondlu?

- A czy ja wiem w czym... W jakimś naczyniu zapewne... Nie pamiętam...

- Przypomnij sobie - naciskałem.

Milczał przez chwilę zapatrzony przed siebie.

- Nie pamiętam - powiedział beznamiętnie.

Właśnie w tym momencie podszedł jeden z milicjantów.

Według wcześniejszej naszej umowy, mieli przeszukać całe obejście. Najpierw oborę i stodołę.

- Proszę na chwilę - szepnęła mi do ucha milicjant.

Wstałem i poszedłem za nim.

W stajni strażnik trzymał w rękę torbę po obroku, a w niej niebieskim plastykiem opleciony gąsiorek zatkany kaczanem kukurydzy. Gdy mnie zobaczył, miał zamiar gąsiorek otworzyć.

- Nie ruszaj! - powstrzymałem go.

Cofnął rękę jak oparzony.

Przykląkłem, obejrzałem gąsiorek, ostrożnie wyjąłem kaczan, powąchałem. Mogłem przysiąc, że to paration. Obejrzałem się.

- Postaw to tam - wskazałem na parciany worek przerzucony przez żłób. - Włóżcie torbę tak jak jest do tego worka i za chwilę przyniesiecie to wszystko tam do mnie.

Wróciłem do Trifona.

- A więc nie pamiętasz, w czym gotowałeś kurczaka - ponowiłem swoje pytanie, jak gdyby nic się nie stało. - A co do niego dodałeś? Kurczak, woda, sól, co jeszcze?

- Jak to co jeszcze? - patrzył dość mrocznie na mnie Trifon podpuchniętymi oczami, w których krył się jakiś smutek.

- No coś jeszcze, na przykład pietruszkę?

- Żadnej pietruszki nie kładłem... Potem, jak już się ugotował i przestudził, włożyłem pokrzywy... Włożyłem do środka pokrzywy... By się nie zepsuł.

Przynieśli worek. Pochyliłem się i wyjąłem torbę z gąsiorkiem w środku.

- A tego? - patrzyłem pytająco.

- Co tego? - spojrzał bacznie, oczy mu zabłyszczały, pojawiła się w nich trwoga.

- A tego nie dodałeś? - powtórzyłem nie spuszczając z niego oka.

Następne słowa wypowiedział cicho, jakoś tak niemrawo, ale ja je odebrałem jako pełne pogardy z racji mego pytania.

- A czy ty mądry jesteś? - powiedział. - Jak miałem tego dodać? Przecież to trucizna!

Postałem bez słowa przez chwilę, wyprostowałem się, podałem mu rękę.

- Do widzenia, baj Trifonie! I wybacź!

Zrobiłem kilka kroków w stronę furtki. Ciągle jeszcze byłem sam. Obejrzałem się.

- I nie bij tak konia. On też ma duszę...

Popatrzyłem na pozostałych. Byli już wszyscy. Stali nic z tego nie rozumiejąc.

- Chodźmy - powiedziałem.

Byłem już przy furtce, kiedy i oni zebrali się do odejścia. Ruszyli za mną.

Później, gdy Ignatow odwoził mnie na stację swą błyszczącą pomarańczowoczerwoną ładą, powiedziałem mu. On nawet nie spytał. Być może trochę się obraził. Ale przez cały czas widziałem pytanie w jego oczach.

- Słuchaj, kolego - powiedziałem. - Gąsiorek od długiego czasu nie był używany, być może, że od czasu gdy go tam schował. Wszystko było bardzo zakurzone. Ale dla mnie co innego jest ważne. Taki człowiek nie truje. On prędzej by zadusił... Ukatrupił... Ale na wszelki wypadek weźcie trochę tego płynu... niech zrobią analizę!...

7.

I oto powoli zbliżałem się do najważniejszego świadka, bezcennego świadka, jak to określił Ocet. Jest to jedyny człowiek, który wiedział i widział rzeczy od drugiej strony, jeśli tak można powiedzieć, i to nie tylko od strony sytuacji i faktów, ale i atmosfery, stanu ducha i psychologicznych uwarunkowań rozegranego dramatu. Czekałem i liczyłem bardzo na to spotkanie z moim sojusznikiem i pomocnikiem,

tak więc podekscytowany trochę i napięty pojechałem do szpitala, kiedy doktor Taszew wreszcie na to pozwolił.

Przed samym wejściem do szpitala zatrzymała się karetka z kolejną ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Szofer zapomniał o zgazzeniu czerwonego światła alarmowego, które w dalszym ciągu przekazywało krwawe impulsy jak serce pod szklanym kloszem. Dwaj sanitariusze, obojętnie jak roboty, wyciągnęli nosze i ponieśli je przez szeroko otwarte drzwi. Leżał na nich młody człowiek o włosach poprzylepianych do twarzy. Z noszy ciekła krew. Wszedłem za nimi i ruszyłem korytarzem wśród codziennego napięcia i krzątania personelu medycznego oraz niespokojnych i przerażonych twarzy przemykających się odwiedzających, co mieli tu swych bliskich, na których nieszczęście spadło zniecka. Mijałem chorych, których wyprowadzano z pokoi podtrzymując pod rękę, lub wieziono na wózkach ludzi o bladych twarzach i jakby na zawsze zamkniętych oczach. Nieraz już byłem tu służbowo i pomyślałem sobie, że ja też poruszam się tu obojętnie jak robot, zupełnie jak ci noszowi przy wejściu.

Gabinet doktora Taszewa znajdował się na pierwszym piętrze. Gdy wszedłem, nie było nikogo. Postąpiłem trochę zastanawiając się, co mam robić, postanowiłem jednak poczekać i usiadłem na małym okrągłym taborecie przy równie małym biurku. Obejrzałem pokój, ale nie do końca, bo właśnie wszedł doktor Taszew. Kiedyś już się widzieliśmy, ale z innej okazji. Teraz rozmawialiśmy tylko przez telefon, lecz i tak nie zachodziła potrzeba przedstawiania się. Był to drobny człowiek, stosunkowo młody i zupełnie nie wyglądał na lekarza.

- Jak ona? - spytałem podając mu rękę - dobrze wiedział, o co pytam.

- Wylize się - powiedział uspokajająco, siadając na krześle za biurkiem.

- Czy myśli pan, że w końcu będę mógł z nią porozmawiać?...

Zwlekał z odpowiedzią, przesunął na biurku jakieś książki, podstawkę z trzema kolorowymi długopisami.

- Nie wiem... - odezwał się niepewnie. - Myślałem, że tak, ale... sprawy przyjęły trochę inny obrót... Boję się, by nie było tego za dużo... Teraz mąż był u niej.

- Kto? - oprzytomniałem niemile zdziwiony.

- Jej mąż, ten Geno Tomanow...

- Nie należało! - prawie krzyknąłem.

- Nie należało, ale on nalegał... Codziennie przychodził... prosił... płakał... Co miałem robić? A przecież nikt mnie nie uprzedził, nikt nie zabronił... Skąd mogłem wiedzieć?

- Popelniliście błąd - powiedziałem zły i niezadowolony, próbując opanować się. - A właściwie, to ja popełniłem... To moja wina... Ile czasu był u niej?

- Pozwiliłem mu na dziesięć minut, nie więcej...

- Czy był tam ktoś jeszcze? Pielęgniarka lub...

- Nie, jest tam starsza kobieta... Do głowy mi nie przyszło, że będziecie mi to mieć za złe.

- Nieprzyjemna sprawa, nieprzyjemna... - złość mnie nie opuszczała, ale bardziej zły byłem na siebie, na mój brak wyobraźni. Nic prostszego i bardziej naturalnego jak zabronić, by nikomu nie wpuszczano do niej. I dlaczego tego *nie* zrobiłem? Uspokajał mnie fakt, że lekarze ze względu na jej stan i tak nikomu nie pozwolą jej odwiedzać, że doktor Taszew nie jest dzisiejszy i wie, jak postępować w takich przypadkach. I oto stała się rzecz, która stać się nie powinna. I to właśnie Geno Tomanow. Właśnie on nie powinien. Nie przypadkiem laził za Taszewem, prosił i błagał. Nie dyktowała mu tego miłość i troska o żonę. Miał w tym jakiś cel. Przyszedł, by zorientować się, czy żona coś podejrzewa, by w razie czego rozwiązać te podejrzenia, a jeśli nie, to coś jej wmówić. Jakby nie było, dziewiczość źródła została

zamacona. Takie to myśli plątały mi się po głowie...

- Mimo wszystko chciałbym zamienić z nią kilka słów - powiedziałem posępnie.

- Ale tylko kilka - poważnie, nawet stanowczo spojrział Taszew, wstał i wyprowadził mnie z pokoju.

Winda, oczywiście, była zajęta lub popsuta, gdyż dość długo czekaliśmy zapatrzeni w migające czerwone światelko. Nagle na piętrze zatrzymała się ogromna winda bagażowa, z której wysiadła starsza kobieta z wiadrem i wielką ścierką przygotowaną do mycia podłogi. Taszew wykorzystując przywilej gospodarza terenu wprowadził mnie do tej windy. Prócz pustych noszy w kabinie znajdowało się dwu sanitariuszy oraz mały człowieczek w czarnym garniturze i pomiętej kolorowej koszuli, z gołą głową, wyglądający na Cygana. Ostrzyżone włosy dopiero co zaczynały mu odrastać i nie przykrywały jeszcze dużych kłapciastych uszu. Właściwie tylko jednego, bo drugiego, lewego, miał tylko pół.

Wjechaliśmy na dziewiąte piętro. Taszew wprowadził mnie do pokoju obok windy.

Dwa łóżka. Na jednym jakaś stara kobieta o ostrym profilu, który zaostrzała wystająca szczeka bez protezy.

Na drugim - Newena Tomanowa. To znaczy powinna tam być, ale jej nie było, łóżko stało puste.

- Poszła pewno do łazienki - trochę zdziwiony i zdezorientowany powiedział Taszew, jakby oglądając pokój i spodziewając się, że za chwilę znajdzie ją gdzieś w kącie. A we mnie jakaś struna nieprzyjemnie napięła się i zadrżała.

- Czy może już wstawać? - spokojnie zapytałem, ale zwątpienie pojawiło się w mym głosie.

- Oczywiście! - odparł Taszew kategorycznie i trochę poirytowany, jakby upewniając także samego siebie.

Staliśmy obaj na środku pokoju i gdyby ktoś na nas

popatrzył z boku, to powiedziała, że patrzyliśmy tępo. Drzwi za nami były otwarte. Łóżko Neweny stało puste, tak jakby nigdy na nim nikt się nie kładł. Na szafce obok leżała papierowa torebka, z której wyglądały bladoróżowe niedojrzałe jeszcze czereśnie. Pachniało mocno lizolem. Nagle za nami rozległ się sepleniący głos staruszki:

- Ona posła sobie...

- Proszę? - jak oparzony odwrócił się Taszew. - Dokąd poszła?

Staruszka patrzyła wzrokiem przestraszonym, pełnym winy i wodziła za nami wypranymi oczami, osadzonymi gdzieś ponad wystającą chrząstką u nasady nosa.

- Posła do domu - zamruczała bezzębnymi ustami. - Posłała łóżko, pospsątała, ucesała się i posła sobie. Powiedziała, zegnajcie...

Taszew wypadł z pokoju. Wybiegłem za nim.

- Zachariewa! - krzyknął tak, jak nigdy nie należy krzyczeć w szpitalu. - Siostrzo Zachariewa!

Korytarz był pusty. Taszew prawie biegł.

- Siostrzo Zachariewa!

Gdzieś na samym końcu korytarza otworzyły się drzwi, ukazała się drobna dziewczyna w białym fartuchu i czepku na głowie. W rękę niosła tackę.

Taszew mało co na nią nie wpadł.

- Gdzie jest Tomanowa?

- Jaka Tomanowa? - przestraszona dziewczyna o mało nie upuściła tacki.

- No ta, pstra!... Otruta z dwudziestego czwartego pokoju, jaka!

- Niech pan tak nie krzyczy, panie doktorze! - powiedziała ostro dziewczyna. - Dlaczego pan tak na mnie krzyczy? Chora jest w pokoju, przed chwilą tam byłam.

- Kiedy przed chwilą?

- Przed... dziesięcioma minutami. Ktoś ją odwiedził i jak tylko sobie poszedł, to byłam u niej z lekarstwami...

- Mąż sam wyszedł?
- Sam. A z kim miał wyjść?
- Skąd mam wiedzieć, z kim. Tak czy inaczej, jej nie ma. Nie ma, rozumiesz?

- Jak to nie ma? Ona tam jest, panie doktorze...

Taszew zabrał tackę z rąk pielęgniarki.

- No, skoro jest, to idź i znajdź ją. Idź, idź, proszę! - powtórzył, gdyż dziewczyna stała i patrzyła na niego z niedowierzaniem.

Potem podeszła do pokoju, przy którym ja ciągle stałem, spojrzała przez otwarte drzwi. Nie zauważyłem, by była bardzo zdziwiona.

Doktor Taszew szedł za nią niosąc przed sobą tackę w obu rękach, jakby chciał kogoś poczęstować. Spojrzał na mnie, zbliżył się, a na twarzy malowało się zdenerwowanie i poczucie winy. Prawdopodobnie moja twarz wyrażała to samo. I miałem ku temu większe powody.

Siostra Zachariewa, być może jedyny w tym momencie opanowany człowiek, podeszła do drzwi z napisem „toaleta”, otworzyła je i zniknęła w środku. Po chwili pojawiła się z takim samym spokojnym wyrazem twarzy i zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu, na którego drzwiach umieszczono napis „łazienka”. Ukazała się w drzwiach i spytała koleżankę stojącą na korytarzu z wózkiem, na którym znajdowało się jedzenie dla chorych.

- Siostro Kołaczewa, dlaczego drzwi od łazienki są zamknięte, kto kąpie się o tej porze?

Kołaczewa zrobiła zdziwioną minę i wzruszyła ramionami. Tymczasem zebrało się kilka osób zwabionych krzykami Taszewa.

Siostra Zachariewa weszła z powrotem i zaczęła stukać do łazienki.

Wtedy się poruszyłem. Poruszyło mnie jakieś wewnętrzne ukłucie, jakieś niespokojne przecucie.

Drzwi od korytarza prowadziły do przedpokoju

wyłożonego białymi kafelkami. Prawdopodobnie tu należało rozebrać się, ale nie zauważyłem żadnego wieszaka, tylko małą umywalkę z wyszczerbioną porcelanową muszlą. Obok były drzwi do kabiny. Zachariewa stuknęła w małych odstępach czasu coraz to głośniejsze, nasłuchując, czy nikt się nie odezwie.

Odsunąłem ją. Chwyciłem za klamkę i silnie nacisnąłem. Wyglądało na to, że drzwi nie są zamknięte na klucz, ale na jakiś haczyk. Uderzyłem pięścią dwa razy, przycisnąłem ramieniem. Haczyk pękł, drzwi ustąpiły. Popchnąłem je, ale coś nie pozwalało na szersze otwarcie. Coś miękkiego i ciężkiego. W środku było jasno. Przestrzeń wypełniało dzienne światło. Spróbowałem jeszcze raz i zobaczyłem jej twarz. Błądą, pociągłą, z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi, piękna twarz o białych ustach, cienkim, prostym nosie i czarnych łukach przymkniętych powiek. Leżała jak na miękkiej poduszce długich potarganych, rozjaśnionych włosów.

- Dlaczego wyprawiasz takie brewerie, Tomanowa, co? - Siostra Zachariewa jak łasica smyrnęła mi pod nogami, przeskoczyła przez ciało, przyklekła i ujęła w dłonie jasną głowę.

- Nie dotykaj! - uprzedziłem machinalnie z rutyną kryminologa.

- Ale ona żyje! - dziewczyna odwróciła ku mnie swą drobną twarz.

Tak, ona tyle się napatrzyła na umierających i zmarłych, że jej oko jest na pewno bardziej doświadczone od mojego.

- Proszę mi pomóc! - usłyszałem głos Taszewa za sobą, odepchnął mnie prawie i sam zaczął ją podnosić. Dołączyli się inni, podnieśli ciało i wyszli na korytarz.

Zostałem sam. Oba skrzydła okna były szeroko otwarte. Może chciała rzucić się z dziewiątego piętra, ale w ostatniej chwili przestraszyła się. Za drzwiami leżał przewrócony drewniany stołeczek przegniły od wilgoci. Nad drzwiami

pod sufitem przechodziła rura, pomalowana na biało, prawdopodobnie centralnego ogrzewania. Do niej przywiązano jeden koniec paska od szpitalnego szlafroka. Na szczęście zrobiony był nie z jednego kawałka, a zszyty z dwu części. Szew nie wytrzymał. Jedna część wisiała na rurze, a drugą widziałem omotaną na szyi Neweny. Wyglądała na tej bladej delikatnej szyi jak obrzydliwy krawat. Poszedłem do gabinetu Taszewa, poprosiłem miasto i wykręciłem numer.

- Tomanow?
- Nie ma go - usłyszałem równie krótką odpowiedź.
- Kiedy będzie?
- Nie wiem.
- Mówię z ministerstwa - pospieszyłem z wyjaśnieniem, bo bałem się, że ten ktoś zaraz odłoży słuchawkę. To podziałało.

- On... On dzwonił i powiedział, że poprosi o pozwolenie na opuszczenie dzisiejszego dnia... Miał jakieś sprawy... Może służbowe... - próbował mimo wszystko bronić kolegi ten ktoś przy telefonie, ale nie pozwoliłem mu na dalsze kłamstwo.

- Dziękuję! - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Wykręciłem numer kierownika grupy operacyjnej.

- Kaczulew, to ty?
- Słucham, towarzyszu majorze! - zawsze poznawał mnie przez telefon.

- Musicie znaleźć pewną osobę. Jeszcze dzisiaj, jeśli to możliwe. No, powiedzmy do wieczora... Będę czekał do siódmej, ósmej...

- Mamy znaleźć czy odnaleźć?
- Nie wiem, co rozumiecie przez słowo...
- Czy się ukrywa?
- Nie wiem. Nie... Myślę, że nie.
- Dobrze. Podajcie dane.
- Pisz: Ewgeni Tomanow, mieszka na Wasiła Ichczijewa 3, pracuje w „Raznoimpeksie”... Właściwie to dzisiaj

nie ma go w pracy i chyba już nie przyjdzie... Sprawdziłem... Wiesz co, szukajcie po warsztatach naprawczych. Ma samochód, volkswagena, u blacharzy... jest taki Danczo w serwisie Christo Botew. To może być ślad, pomysł jakiś... Jeszcze coś?... No to cześć!

Przyprowadzili go gdzieś koło wpół do siódmej. Czekałem w gabinecie. Właśnie u Dancza go znaleźli.

- Co się stało? - wpatrywał się we mnie już od drzwi przerażony i zdenerwowany.

- Dlaczego? Nic się nie stało. Siadajcie.

Wiele mnie kosztowało, by się opanować, zły byłem na niego, że taki numer mi wykreślił. Byłem święcie przekonany, że istnieje związek między tym, co się stało, a jego poranną wizytą. I dlatego to przez niego mam sterczeć do późna w gabinecie, kiedy miałem inne, o wiele miłsze plany.

- Nie mogę tego zrozumieć, panie majorze, ile to jeszcze razy będzie mnie pan wzywał - od razu ruszył do ataku, mój spokojny głos wyprowadził go w pole. - Jeżeli sądzi pan, że tylko to mam do roboty, to się pan grubo myli. Myślałem, że już wszystko wyjaśniłem.

- I właśnie w tym punkcie się różnimy - przerwałem mu. - Nam się wydaje, że w pańskich wyjaśnieniach i zachowaniu jest wiele niejasnych miejsc, które teraz wspólnie postaramy się wyjaśnić.

- Znów? - ze skruszoną miną powiedział Tomanow.

- Znów! - Wyjąłem notes z szuflady, ale nie otworzyłem, chciałem go tylko mieć pod ręką. Znaczyło to jeszcze coś więcej, przypuszczałem, że Tomanow domyśli się, co oznacza wyjęcie notatnika. - Proszę siadać! - poprosiłem po raz drugi. I przystąpiłem do rzeczy: - Na przykład w poprzednich naszych rozmowach nie wspomnieliście nic o waszych stosunkach z... Antoniną Panową...

- Nikt mnie o to nie pytał - wolno odpowiedział

siadając, a potem patrząc gdzieś w bok dodał: - A i myślę, że to nie wasza sprawa, nie powinniście zajmować się intymnymi stosunkami.

- Tak w ogóle to nie, ale w tym konkretnym przypadku to pytanie nabiera szczególnego znaczenia- powiedział podkreślając lekko ostatnie słowo.

- To są dawne sprawy - powiedział po jakimś czasie, wpatrzony w karafkę z wodą stojącą na szafie z aktami. - Dwa lata temu uporządkowałem swoje sprawy rodzinne i nie zajmuję się takimi rzeczami...

- Czy podanie o rozwód też się wlicza w uporządkowanie spraw rodzinnych? - odparowałem od razu.

- Nie istnieje coś takiego - cedził słowa powoli i cicho, dość niepewnie, ale odwrócił się w moją stronę.

- Nie tak trudno przekonać się o tym - spojrzałem pytająco, ale sam byłem trochę zdumiony.

- Nie istnieje coś takiego - powtórzył Tomanow wytrzymując moje spojrzenie.

Problem polegał na tym, że nie sprawdziłem, czy wpłynęło takie podanie, czy też nie.

- Czternastego tego miesiąca, wieczorem, to jest w dniu poprzedzającym... nieszczęście - przeszedłem do innego pytania - miał pan gościa. Kto to był?

Tomanow moje przejście do innego pytania przyjął jako punkt dla siebie.

- Żadnego gościa nie miałem! - Głos brzmiał pewnie, nawet trochę bezczelnie. Ale był dostatecznie przebiegły, więc dodał: - Człowiek, który przychodzi do naszego domu ani nie proszony, ani nie oczekiwany, nie jest gościem!

- Dobrze, nazwijmy to wizytą - przyjąłem jego tok rozumowania. - Kto złożył panu wizytę?

- Nie pamiętam - tym razem nielogicznie odparł Tomanow, tylko po to, by zyskać na czasie.

- Przypomnę panu - ostrożnie przyciskałem. - Złożyła

panu wizytę matka pana kochanki - Welika Panowa. Dlaczego?

- Skąd mam wiedzieć, dlaczego? - zdenerwował się Tomanow. - Jest to zupełnie kopnięta kobieta i to jej sprawa...

- Ta wizyta miała swoją przyczynę...

- Jaką przyczynę?

- Może to córka ją przysłała.

- Powiedziałem już, że z córką jej nie mam nic wspólnego, i to od dawna... Ja mam żonę...

- Właśnie, pańska żona też uczestniczyła w zajściu, jakie miało miejsce podczas tej wizyty.

- To kłamstwo - Geno nie był w stanie znaleźć innego określenia.

- Właśnie pan... nie powinien używać tego słowa! - Podniosłem głos, ale szybko opanowałem się. - Dlatego też jeszcze raz pytam pana, gdzie pan spał tej nocy, gdy to się stało. I proszę nie mówić, że u przyjaciela tramwajarza - położyłem rękę na notatniku. - I zamiast dywagacji o kłamstwie, proszę o prawdę!

Poczulem, jak potężne ciało Tomanowa nagle jakoś opadło na krzesło, sflaczał. Zaraz też zadałem mu pytanie, dla którego przez cały prawie dzień szukałem go i doprowadziłem tutaj.

- Proszę powiedzieć prawdę... ale prawdę - podkreśliłem mocno. - O czym rozmawiał pan z żoną, kiedy ją dzisiaj pan odwiedził? Niech się pan nie spieszy z odpowiedzią, proszę pomyśleć... Chcę, by przypomniał pan sobie dokładnie słowa i wszelkie szczegóły, w jaki sposób przebiegało to spotkanie... - powstrzymałem go specjalnie, mimo iż on nie kwapił się z odpowiedzią.

Siedział taki oklapnięty i ociężały, odwrócony twarzą ku oknu, czoło i skronie błyszczały mu od potu.

- O czym rozmawialiśmy... O czym nie rozmawialiśmy - cicho i z roztargnieniem powiedział wracając skądś

myślami. - Ucieszyła się, gdy mnie zobaczyła, próbowała wstać, wyciągnęła ręce... Ja usiadłem na łóżku obok niej, pochyliłem się, objęła mnie... Zaniosem jej czereśni... Jak to się stało, mówię, z czego to? Spytała mnie o siostry. Gdzie Dimka i Monczeto, pyta, czy żyją? Nie wiedziałem, co powiedzieć... Ja wiem, wszystko wiem... I patrzy mi w oczy. No, skoro wiesz, to co robić... Zdarzają się takie rzeczy. Teraz tylko patrz, byś sama wyzdrowiała... Zapytałem ją ponownie, co to mogło być... A ona zrobiła się blada jak prześcieradło... Odwróciła się do ściany i nakryła z głową kocem. Spytałem o dziecko, czy mam je przyprowadzić i co zrobimy? Nie odpowiedziała. Leży tak i trzęsie się pod tym kocem, pewno płakała... Mówiłem, żeby się uspokoiła, prosiłem... Bałem się, że wejdzie Taszew i zobaczy ją taką zapłakaną... A on ledwie mnie wpuścił. Przyszła siostra i rzeczywiście zezłościła się na mnie, powiedziała, bym sobie poszedł... Odkryła Wenkę i też na nią nakrzyczała, co to za kaprysy, mówi, i mierzy jej puls... Wenka nie chciała się odwrócić...

Umilkł, wyjął chusteczkę do nosa, wytarł łysiejące czoło i szyję przy kołnierzyku.

Obserwowałem go i czekałem. Sądziłem, że powie jeszcze coś, co pomoże mi zrozumieć przyczynę rozpaczliwego gestu Neweny. Wygadał się o tych siostrach. Czy wiedziała o tym, czy też go podprowadziła? A skąd mogła wiedzieć? Może sanitariusze... pielęgniarki... takie rzeczy szybko się roznoszą. Jakby nie było, to właśnie jest jedyne logiczne wyjaśnienie jej późniejszego zachowania. Jeżeli oczywiście Tomanow mówi prawdę, jeżeli mówi wszystko.

Obserwowałem i czekałem. Schował chusteczkę, oparł łokcie na kolanach, głowę ujął w obie ręce i zastygł w tej pozycji. Nie, nie miał zamiaru powiedzieć niczego więcej. Jego zdaniem powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia.

- Słuchajcie, obywatelu Tomanow - powiedziałem,

przyglądając się opalonej czaszce, pokrytej rzadkimi włosami - nie mówicie prawdy. Mam poważne podstawy, by sądzić, że zrobiliście lub powiedzieliście coś więcej, niż to, co do tej pory tutaj opowiedzieliście. Nie straszę, ale uprzedzam, że tym razem tak łatwo to wam nie przejdzie!

- Wiem - zdumiewająco szybko zareagował, z rozpaczą wpatrując się w podłogę, cały czas trzymając głowę w dłoniach. - Wiem, że macie podstawy. W obiad, dopóki Danczo był na obiedzie, znów podjechałem do szpitala i wiem, co się stało. Jedna z pielęgniarek powiedziała mi. Ja znów będę winny... Ale niech pan zrozumie, panie majorze - nagle wyprostował się, rozłożył ręce, a następnie skrzyżował je na piersiach - ja jestem niewinny. Opowiedziałem wszystko tak, jak było. Skąd mogę wiedzieć, dlaczego to zrobiła? Nie wiem, dlaczego teraz i dlaczego za pierwszym razem. Jestem niewinny, niech pan to zrozumie! Jestem niewinny! Niewinny! Niewinny!... Ty też jesteś człowiekiem, więc zrozum! - opadł na krzesło i znów schował głowę w dłoniach. Zapłakał. Cały drżał.

Nie, nie dlatego, że widziałem tego zdrowego, potężnego mężczyznę płaczącego. Wielu płakało tu przede mną. Szczerze płakali i szczerze kłamali. Kiedy poleciłem Kaczulewowi, by go doprowadzili, i czekałem w gabinecie na niego przez cały dzień z perspektywą Bóg wie kiedy dostarczenia go, postanowiłem, że osadzę go w areszcie, że poproszę o pozwolenie prokuratora i że będę go trzymać tam, dopóki nie zmięknie i nie powie całej prawdy. Zadzwoniłem. Zjawił się dyżurny, zasalutował.

- Odprowadź tego obywatela - rozkazałem - i puść, niech idzie!

Dyżurny spojrzął na Tomanowa, który siedział cały czas skurczony i pochlipywał, poczekał, a potem podszedł, wziął go pod rękę i wyprowadził.

Stałem przed ciemnym kwadratem okna. Było cicho. Prawdopodobnie w całym gmachu oprócz dyżurnych nie

było żywej duszy. Ulicą przejechał samochód, skręcił w stronę więzienia i skierował swe błyszczące ślepa na opancerzone drzwi bramy. Słychać było zgrzyt ogromnego klucza, potężne skrzydła bramy otworzyły się i z cichym chrzęstem przemknęła na podwórze zamknięta półciężarówka.

8.

Weszła dostojnym krokiem królowej. Fantazyjna fryzura, idealnie uczesana, zabezpieczona była taką ilością lakieru, że wyglądało to na plastikową perukę. Twarz miała owalną, silnie umalowaną z ciemnozielonymi cieniami pod oczami, na ustach ostrą czerwień szminki. Wszystko to razem nie tuszowało zmarszczek, które bezlitośnie co roku zwiększają swą liczbę. Dwa szerokie i długie trójkąty kołnierza śnieżnobiałej bluzki rozpostarte jak skrzydła ptaka podkreślały głęboki dekolt ukazujący okazały biust. Długi, niebieski żakiet i takie same spodnie opinały obszerną talię.

Mocny makijaż nie maskował zdenerwowania malującego się na twarzy, małe, zielone oczy były złe i oburzone.

- Nie macie prawa! - głośno i ze złością powiedziała na powitanie stając na środku pokoju.

Siedziałem za biurkiem i jeszcze raz przeglądałem dane, jakie otrzymałem na jej temat: Welika Tanewa Kosaczka - z męża Panowa, lat 56, rozwiedziona, mieszka z córką Antoniną Panową, lat 29, na ulicy Tri uszi 7 we własnościowym jednopokojowym mieszkaniu. Wykształcenie średnie. Pracuje jako rzeczoznawca w Surowcach Wtórnych. Zamknięta i nietowarzyska, ostry charakter. Często jest przyczyną nieporozumień i zadrażeń w miejscu pracy. Nie uczestniczy w pracach dzielnicowego FJN. Silnie związana z

niezameżną córką, jedynym celem jest ułożenie życia córce...

Nie zareagowałem na jej pierwsze słowa, specjalnie przeczytałem do końca charakterystykę spisaną na prawie dwu stronicach i dopiero teraz podniosłem głowę.

- Dlaczego nie mamy prawa? - spytałem spokojnie.

- Nie macie prawa aresztować mnie! - powtórzyła i odwróciła głowę mrugając sztucznymi rzęsami.

- Pani się myli, nie mamy zamiaru nikogo przetrzymać. Poprosiliśmy panią tylko po to, by odpowiedziała nam pani na kilka pytań... Proszę siadać! - wskazałem na kanapę, a sam wstałem, obszedłem biurko i wsparłem się na nim.

Podporządkowała się, usiadła na kanapie, otworzyła dużą, niebieską torbę ze sztucznego tworzywa i zaczęła czegoś w niej szukać.

- Moje pierwsze pytanie brzmi - zacząłem, krzyżując ręce na piersiach - czy zna pani osobnika o nazwisku Ewgeni Tomanow?

Wyjęła z torby ładnie wyprasowaną niebieską chusteczkę i bez potrzeby podniosła ją do nosa. „Żeby tylko nie był to wstęp do płaczu” - pomyślałem sobie.

- Nie chcę go znać - powiedziała cicho, ale z jawną nutą wrogości i trochę zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Nie pytam, czy pani chce, pytam, czy pani zna - uściśliłem, nie spuszczaając z niej oka.

- Pracowaliśmy kiedyś razem... Przed laty... Od tamtej pory nie widziałam go... I nie chcę go widzieć!

- Czy rzeczywiście! A nam wiadomo, że widywaliście się, i to dosyć często.

- Też mi był potrzebny! - z wahaniem, lecz równie wrogo odpowiedziała na moje pytanie. Ale nie oznaczało to, że zaprzecza.

- A może pani córce - nacierałem. - Wiadomo nam, że jest z nim w dość intymnym kontakcie.

- No to dlaczego mnie o to pytacie? - odpowiedziała oburzona, ale zarazem jakoś uspokojona i znów podniosła bez żadnej potrzeby chusteczkę do nosa. - Proszę ją spytać, jest pełnoletnia.

- Ją też zapytamy, oczywiście - powiedziałem tak, jakby była to zwyczajna kolej rzeczy, ale reakcja była zupełnie zaskakująca. Kobieta raptownie odwróciła się do mnie z szalonym błyskiem w oku.

- Nie! Zabraniam! Zabraniam wam zbliżyć się do mojej córki, wzywać na jakieś przesłuchania... Niepokoić ją...

W tym momencie zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Towarzyszu Damow - usłyszałem głos Giczki - towarzysz pułkownik was prosi.

- Dobrze. Tyle że za chwilę - i położyłem słuchawkę. Odwróciłem się do mojej rozmówczynie, ubawiony raczej jej ostrym tonem.

- No, ładne rzeczy - powiedziałem pojednawczo - więc i pani zaczyna rozkazywać i zabraniać! To jak mamy wykonywać naszą pracę?

- To mnie nie interesuje - zupełnie nie wyczuwając mojej ironii kontynuowała rozmowę w tym samym tonie. - Powiedziała, nie ruszajcie mojej córki! Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Dobrze, dobrze - przytaknąłem, by Panowa uspokoiła się i bym mógł poprowadzić rozmowę w kierunku, który mnie interesował. - Zostawmy na razie pani córkę... Proszę mi więc powiedzieć, co pani robiła trzynastego maja, we wtorek, około siódmej wieczorem w domu Gena Tomanowa?

Patrzyła na mnie przez moment speszona i ogłupiała, potem odwróciła głowę i szybko odpowiedziała:

- Nic nie robiłam!...

- Ale była tam pani, prawda?

- Nie byłam - z uporem, ale niezbyt stanowczo powiedziała patrząc w okno.

- To głupota, obywatelko Panowa, głupio pani robi i bezmyślnie. Pani tam była, rozmawiała z Tomanowem w obecności jego żony. Panią widziano... Doszło do jakiejś awantury nawet. Jaki sens ma pani zaprzeczenie?

- Ma!... Ma sens!... - prawie wrzeszcząc odpowiedziała Panowa. - Bo to drań!... Potwór!... Toni przez niego się rozchorowała. Serce zmarnowała!... Trzy lata z nią chodził... zwlekał... Ale wciąż się trzymał spódnicy tej tam... Czy pan ma dzieci? Pyta pan, jak na to mogłam patrzeć? Jedyne moje dziecko... Ja... Ja...

Wpadła prawie w histerię, oszalała, nienawistna, nie mogła słowa wymówić. Ale nie zapłakała. Nawet chusteczki nie podniosła do oczu. Jedyne ścisnęła ją i miała w ręku.

- Dlaczego więc pani tam poszła? Co pani tam robiła... skoro to taki człowiek?...

- Dlatego, że jestem dobra, dlatego. Mam dobre serce. Ciągle żalił się, pięty mi pękają, mówił, bardzo mnie bolą, nie mogę chodzić. Niczym innym nie można tego wyleczyć, jedynie tłuszczem z nerek. Gdzie ja mu znajdę czysty tłuszcz z nerek? Ale znalazłam. Chodziłam, pytałam, gdzie ja nie byłam, w końcu złapałam kontakt. Krewniak mojej koleżanki właśnie przy norkach pracował. Miał fermę. Kiedy zwierzęta na skóry zabijają, to odciągają cały tłuszcz. Ona dała mi pełny pojemniczek. Więc mówię sobie, zaniosę mu, bo nie przychodził...

- A więc tylko po to pani tam poszła?

- Tylko po to, a po co by jeszcze? Toni siedzi w domu i tylko popłakuje, przez okno wygląda, czy nie nadchodzi. Jest chora na serce...

- A więc poszła pani, zostawiła lekarstwo... O czym rozmawialiście? Czy nie zaczęliście znów rozmawiać o...

- Każdy mówi o tym, co go boli... Oczywiście o tym też. Powiedziałam mu, że powinien w końcu zdecydować się.

Wybrać - albo, albo. Przy niej to powiedziałam. A ta w bek i wypadła z domu... On za nią. Ją pobiegł pocieszać, nie interesowało go, jak ja się czuję... Toni leży... można powiedzieć na łożu śmierci... Potem wrócił i wypędził mnie... Więc poszłam sobie.

- A pojemnik z lekarstwem? Czy zostawiła pani, czy zabrała z powrotem?

- Jak miałam zabrać. Zostawiłam na stole, proszę, mówię, i maść z nerek ci przyniosłam, nieba bym ci przychyliła... A ponieważ był wściekły, to lekarstwo przez okno wyrzucił, a do mnie... Idź stąd, mówi, pókiś cała...

Milczałem zapatrzony przed siebie, nie bardzo wiedząc, o co mam ją dalej spytać. Tę maść z nerek być może zmyśliła, ale brzmiało to przekonująco. Oczywiście, trzeba to sprawdzić, przeszukać pod domem. Mimo wszystko był to tylko pretekst. Układy były bardziej, złożone i skomplikowane. Te układy prawdopodobnie, a właściwie na pewno miały ścisły związek z dramatem, jaki rozegrał się przed dziesięcioma dniami. Podpowiadały to elementarne zasady logiki, mimo iż życie nie zawsze podporządkowuje się tym prostym zasadom. Ale tutaj należało kopać, tutaj bobrować. Oczywiście nie teraz, nie dotykać tej przebiegłej i brutalnej kobiety. Na nią nie miałem odpowiedniej broni.

Podszedłem i usiadłem za biurkiem.

- Poproszę przepustkę! - powiedziałem.

W pierwszej chwili nie zrozumiała i była zaskoczona.

- Proszę mi podać przepustkę, muszę ją podpisać, już może pani odejść!

Energicznie zaczęła przerzucać torbę, długo w niej szukała. W końcu zorientowała się, przypomniała sobie i wyjęła z kieszeni niebieskiego żakietu.

Dokładnie wypełniłem, podpisałem karteczkę i podałem.

- Do widzenia. Jak pani widzi, nikt pani nie aresztuje.

Wydało mi się, że zmarszczki wokół ust wyprostowały się jej w uśmiechu. Wyszła.

Ja też wyszedłem, prawie tuż za nią. Patrzyłem, jak oddalała się korytarzem. Znów szła krokiem królowej.

Kiedy mijałem Giczkę wchodząc do gabinetu szefa, zrobiła do mnie minę, która oznaczała: nic dobrego cię nie czeka!

Zamknąłem za sobą dźwiękoszczelne drzwi i spojrzałem. Ale czy na pierwszy rzut oka można ocenić, na ile kwaśne jest kwaśne jabłko? Domyślając się, że jest zły na mnie z powodu spóźnienia, czego zupełnie nie tolerował, zacząłem od razu od wyjaśnień, ale on uczynił coś, co całkiem zmieniło sytuację. Wstał, wziął z biurka jakiś papier i krzyżując za plecami ręce ruszył ku mnie wzdłuż długiego stołu obrad przykrytego zielonym suknem. Oznaczało to, że albo jest zły, albo nie ma czasu, a w ogóle to niech się nie spodziewam, że poprosi mnie, bym usiadł, abyśmy mogli spokojnie porozmawiać, i że audyencja nie będzie trwać dłużej niż minutę.

Kiedy podszedł do mnie, podnosząc kartkę do góry i odsuwając ją od oczu na odpowiednią odległość, jako że zapomniał okularów na biurku, powiedział:

- Pewien brygadzysta ze wsi Mytnowo, w okręgu Górna Oriachowica... Trajan Czinkow Topuzow... twierdzi, że dał mu paration...

- Wybaczcie, towarzyszu pułkowniku, komu „mu”?

Kto to jest ten „mu” - znałem go i wiedziałem, że nie będzie na mnie zły za mój ton, przynajmniej już bardziej zły, niż jest, nie będzie. Przypomniałem mu tylko jego wymagania w stosunku do nas, byśmy w naszych wypowiedziach byli ściśli i dokładni. Od razu to zrozumiał. Ton zelżał o jeden stopień.

- No, chodzi o tego Ewgeniego Tomanowa, za którym puściliśmy wieści po okręgach. Pokazali zdjęcie brygadzie, a on twierdzi, że ten sam.

- Należy to sprawdzić.
- Oczywiście, że należy sprawdzić. Ja w każdym razie nie mam nic do załatwienia w tym rejonie.
- Rozumiem, towarzyszu majorze, jutro jadę.
- Tak! - powiedział i ruszył na swoje miejsce.
- Czy mogę odejść? - spytałem w stronę jego pleców.
- I jeszcze coś - zawrócił na środku drogi i szedł z powrotem w moją stronę. - Przysłali nam młodego człowieka ze szkoły... Według rozdzielnika... Na razie będzie naszym stażystą. Możesz go wykorzystać, na przykład niech się rozejrzy po okręgach, do tej pory prawie połowa nam nie odpowiedziała... Możesz mu to zlecić. W ogóle miej go do pomocy, jeżeli zajdzie taka potrzeba...
- Może jego wysłać do tej wsi Mytnowo? - zaproponowałem nieśmiało, chcąc pokazać, że jestem gotów od razu wypełniać rozkazy.

Ale on już odchodził wzdłuż zielonego stołu.

- Sam, sam, Damow! Wilk sam dogląda swych spraw i dlatego ma taki mocny kark... - zamruczał.
- Czy mogę odejść?

Wydawało mi się, że nie było pozwolenia, ale wyszedłem.

Następnego dnia o piętnastej czterdzieści samolot wylądował na lotnisku w Górnej Oriachowicy. Jak zwykle czekał na mnie nasz człowiek z okręgu i czarna wołga. Tym razem naszym człowiekiem okazał się niewysoki mężczyzna lat około pięćdziesięciu, bez ani jednego siwego włosa, ale otyły i zaniedbany. Sprawiał wrażenie takiego, co lubi sobie pociągnąć. A do tego wszystkiego był nieogolony. Po drodze do miasta nie wytrzymałem i zwróciłem mu na to Uwagę.

- Cierpię na egzemę, jak się gołę, to wyskakują pryszczki i bolą, więc staram się robić to jak najrzadziej - wyjaśnił bez specjalnego zakłopotania. Wyglądało na to, że nie należał do ludzi wstydliwych. Kiedy zorientował się, że

nie będę nocować w mieście, a od razu pragnę jechać do Mytnowa, poprosił, byśmy zbczyli do niego do domu, wrzucił do samochodu morwową baryłeczkę, którą dostał od przyjaciela z tej właśnie wsi, pełną raki, a teraz pustą chciałby mu zwrócić. A ponieważ wieś leży daleko od miasta i nie codziennie zdarza mu się tam być, to chciałby wykorzystać sytuację. Wzruszyłem ramionami niezbyt zachęcająco, ale on to przyjął za dobrą monetę i przez tę operację straciliśmy ponad godzinę.

Chłopak prowadzący samochód był drobny i smukły jak jaszczurka, ale też jak jaszczurka żywy i szybki. Kiedy w końcu opuściliśmy miasto i ruszyliśmy szosą, nie zwracając uwagi na wszelkie znaki drogowe pomknął z taką szybkością po asfalcie, że samochód wyl, a raczej grał pod nami. Kierowca liczył zapewne, że służba ruchu zna ten biały numer, a może kępowała go nachalność i brak wychowania kolegi.

Czy istnieje coś piękniejszego niż nasza obecność na łonie natury w maju wieczorową porą. W tym czasie przyroda jest w swoim jeżeli nie największym rozkwicie, to na pewno w pełni sił i czujemy doskonale owe soki rodzącego się życia. Jechaliśmy dość długo, a ja nie byłem w stanie nacieszyć się pięknem i tą wspaniałością do końca, bo przy tyłu zakrętach i przy takiej szybkości często musiałem myśleć o stanie moich kości.

Do wsi Mytnowo, niech ją diabli wezmą, przyjechaliśmy po zachodzie. Nasz człowiek od razu zaprowadził nas przed nowy, okazały budynek, jakich wiele było we wsi.

Na spotkanie wyszedł nam wysoki, ogorzały mężczyzna, o głosie podobnym do Kycego, ale bardziej miękim, jakby aksamitnym.

- No, witajcie i proszę! - i poprowadził nas wybetonowaną ścieżką pod baldachimem z winogron w stronę domu.

Przy schodach prowadzących na piętro stał stół przykryty obrusem, ławka i stołki.

Zatrzymałem się. - Może tutaj przysiadzimy na chwilę - spojrzałem na stół.

- No, możemy i tutaj - zgodził się od razu gospodarz.
- Proszę!... Ja za chwileczkę - i gdzieś znikł.

Usiedliśmy, a po chwili zjawił się gospodarz z butelką rakii i kieliszkami. Siadł i począł rozlewać.

- Nie, nie, spieszmy się - wstrzymałem go. - Poza tym jesteśmy samochodem.

- A jak to tak?

- Zostaw, skończmy to, po co przyjechaliśmy - powtórzyłem kategorycznie i od razu wyjąłem zdjęcie Tomanowa.

- Czy to ten?

- Chyba ten - dalej nalewając ledwie spojrzał na zdjęcie.

- Jak to chyba? - spojrzałem zdumiony. - Czy to on, czy nie?

Brygadzysta dał spokój butelce z rakiją, wyjął z kieszeni roboczej koszuli okulary, założył i wzięwszy z moich rąk zdjęcie, przyjrzał się uważnie.

- Podobny - powiedział niezbyt pewnie, właściwie obojętnie.

- Kiedy to było?... Kiedy dałeś mu ten preparat? - spytałem.

- No ja wiem, że dwie niedziele temu... Powiedzmy, że tak jakby dzisiaj mu dałem, a tak jakby jutro w kancelarii o tym się mówiło... Nasz Koljo pokazał mi to zdjęcie i spytał, czy dawałem takiemu człowiekowi... Dałem, mówię... przecież nie będę kłamać... Wszystkiego dwie garści, wielka sprawa...

- Jak to dwie garści? To nie płyn? - spojrzałem na niego przez ramię.

- No, nie! To jest coś takiego jak mąka... Jak przepalana mąka... takie brązowe... - zostawił zdjęcie i uniósł kieliszek. - No, na zdrowie!

Nikt poza nim nie wziął kieliszka do ręki. Nastąpiło niemiłe milczenie.

- A jeżeli mam prawdę powiedzieć, to ten chłopak jest szwagra zięciem, jego siostra prowadzi... A szwagier jeszcze zimą poprosił... zięć, mówi, ma ogród w Starej Zagorze, to chce trochę tego, by opryskać, bo jabłka mu nie wytrzymują... No i tak dzisiaj, jutro zbierałem się, a tego dnia przyjechał samochodem, w środku żona, dzieci...

Wstałem, tamci obaj zrobili to samo.

- Baj Trajanie, wybacz - przerwałem ten słowotok gospodarza - my już musimy wracać...

- Jak to wracać? - zachnął się. - Ależ czekajcie, wypijemy coś, zjemy i przenocujecie... Dom wielki, że ha!...

- Do widzenia, baj Trajanie, to wszystko bardzo ładnie, ale nie ma co, innym razem, jak tylko zdrowie dopisze!

Prawie na siłę pożegnałem się i wyszedłem, a wraz ze mną obaj moi współtowarzysze podróży.

9.

Mimo wszystko nocować musiałem w mieście. Z samego rana opuściłem hotelowy pokój, który ledwie udało mi się znaleźć, nie bez pomocy naszych ludzi tu na miejscu. Spacerowałem teraz po słonecznych i pustych ulicach w nie najlepszym humorze. Zajrzałem do fryzjera, gdzie tak pusto znów nie było. Zniecierpliwiony doczekałem się w końcu swojej kolejki rzucając w międzyczasie jednym okiem na anemiczne stronicie miejscowej gazety. Gdy nieuczesała i ewidentnie niewyspana dziewczyna w białym fartuchu próbowała mnie ogolić, myślałem sobie, co to będzie, jeżeli dalej będę musiał tak włączyć się po całej Bułgarii, aby

sprawdzić równie kłamliwe jak wczoraj poszlaki. Dobrze zrobiłem, że przed wyjazdem całą tę robotę poleciłem Tinkowowi. W ten sposób od ręki wykonałem polecenie szefa, jako że Ocet zażyczył sobie, by dać mu jakieś zadanie, to po pierwsze, a po drugie ratowałem się przed takimi właśnie nieprzyjemnymi sytuacjami jak ta. On jest młody, dla niego wszystko jest interesujące, a poza tym ta pełnia wiary we własne siły i możliwości, jak mówią ludzie.

Chwała Bogu samolot do Sofii odlatywał o dziewiątej pięć. Na lotnisko zawiozła mnie ta sama „jaszczurka” czarną wołgą i gdy podawałem rękę na pożegnanie, przeleciało mi przez głowę, że nie zamieniliśmy w tym czasie ani jednego słowa.

O dziesiątej z minutami byłem już w pracy. Uznałem za zbyt cenne składanie od razu raportu szefowi o tej nieudanej akcji, ale prosiłem Giczkę, by przysłała do mnie Tinkowa, gdyż ani nie wiedziałem, w którym siedzi pokoju, ani pod jakim numerem telefonu.

Po chwili zastukał do drzwi, wszedł z teczką, stuknął butami lekko prostując się i dopiero podszedł do mnie.

Był to szczupły, wysoki chłopak o dość długich szarych włosach, takich samych wąsikach, niebieskich oczach i twarzy Chrystusa. Gdy się zbliżył, otworzył teczkę, wyjął kartkę papieru i położył przede mną na biurku pismo, które kazałem mu przygotować. Przejrzałem tekst, był zredagowany inteligentnie i dokładnie.

- Jak do tej pory mamy wiadomości z osiemnastu okręgów - zaczął referować sprawę młody człowiek. - Wszędzie prawie używają parationu... mniej, więcej, ale... Odnoszę wrażenie, że nie zareagowały jeszcze okręgi ogrodnicze...

Ponieważ mówił o rzeczach dobrze mi znanych, prawie nie słuchałem go, a zająłem się napelnianiem „Parkera”. Nie znoszę długopisów.

- Nie mamy wiadomości z takich okręgów jak: Wra-ca, Płowdiw, Błagojewgrad, Kjustendił... - słyszałem jego głos. - Nie, z Kjustendiłu dostaliśmy wiadomość. Tam nie używali parationu, a pryskali czymś innym...

- Co z tym Kjustendiłem? - spytałem, by pokazać, że uważam.

- W Kjustendile spryskiwali ogrody nie parationem, a jakimś innym preparatem... Ale paration mają tam, tyle że w klasztorze, ściśle w rezydencji władzyki...

- Dobrze - powiedziałem, skończywszy operację „Parker” i chowając butelkę z atramentem do szuflady biurka. - Dajcie to Giczce, niech przepisze i zaniesiemy do podpisu... - wskazałem na kartkę, którą podsunąłem na skraj biurka.

Wziął pismo, włożył do teczki, ale stał i czekał.

- Czy jest coś innego do roboty... - zaproponował sam, nie widząc, bym miał ochotę powierzyć mu jakiegoś nowego zadanie. - Ja nie mam co robić i...

- Zapewne coś się znajdzie - powiedziałem wstając. - A póki co przyzwyczajaj się do otoczenia...

Znow lekko wyprostował się i opuścił pokój.

Usiadłem ponownie za biurkiem i przysunąłem telefon. Wiedziałem, że czeka mnie trudne zadanie, ale tym razem okazało się ono trudniejsze, niż przypuszczałem. Długo kręciłem, ale a to już sama nasza centrala dawała sygnał - zajęte, a to nie dawała żadnego sygnału, lub też odzywali się zupełnie przypadkowi ludzie. Ta nieszczęsna odległość między mną a szpitalem wyglądała na nie do pokonania i być może lepiej bym zrobił, gdybym sam się tam pofatygował, bo byłoby zapewne szybciej, ale mogło się okazać zbyt kosztowne, a ja nie miałem ochoty kręcić się tam, jeżeli nie było to konieczne. W końcu udało mi się przedrzeć przez te niezliczone kable, aparaty, łącza, głosy i dostać do gabinetu doktora Taszewa. Słyszałem prawidłowy sygnał jego

telefonu, chociaż był bardzo cichy. Brakowało tylko tego, żeby doktora nie było w gabinecie.

- Taszew - usłyszałem z ulgą głos doktora.
- Witam, doktorze Taszew, Damow przy telefonie.

Jak sytuacja?

- Normalnie, towarzyszu... - wyglądało na to, że w gabinecie ktoś był, a on pragnąc zachować dyskrecję, nie wymienił mego nazwiska. - Mimo to, jeżeli to możliwe, poczekajmy jeszcze dwa, trzy dni... Tak będzie lepiej... Ale jeżeli wam zależy...

- Czy pan do mnie zadzwoni?
- Dobrze, ja zadzwonię, z całą pewnością.
- Wszystkiego najlepszego. Czekam.

Odłożyłem słuchawkę i odsunąłem od siebie telefon jak jakiegoś obrzydliwego czarnego chrząszcza.

Kiedy wyszedłem, w korytarzu świeciły się czerwone lampki sygnalizacyjne. Dyżurny milicjant prowadził do kogoś potężnego człowieka o olbrzymiej twarzy i zupełnie gołym ciemieniu. Człowiek ten siedł z rękoma do tyłu, mrużąc oczy pod grubymi czarnymi brwiami, a wzrok wbił w czerwony chodnik, jakby szukał zgubionej szpilki.

Ledwie znalazłem tę nieszczęsną uliczkę Klonową w zakamarkach dzielnicy Łozenec. Okazało się, że to boczna odchodząca od bulwaru i w rezultacie łatwo było ją znaleźć, ale nie od strony bulwaru, skąd prowadził chodnik i schodki; dlatego musiałem oblecieć całą dzielnicę, aż dotarłem do numeru 1, którego szukałem.

Biały trzypiętrowy budynek, wzniesiony nie tak dawno. Wygląda na to, że potrzebujących było sporo, bo na parterze, gdzie przeważnie mieszczą się sklepy lub garaże, też były mieszkania i wchodziło się do nich bezpośrednio z ulicy, a przez okna można było zajrzeć do środka wprost z chodnika, zupełnie jak we włoskich domach na przedmieściach Mediolanu.

Panowa mieszkała właśnie na takim parterze. Widziałem przy dzwonku wypisaną ołówkiem wizytówkę.

Dopiero po drugim dzwonku, który wydawał cichy, mruczący dźwięk, usłyszałem wewnątrz jakiś ruch, drzwi się otworzyły i ukazała się dziewczyna, a właściwie kobieta - wysoka blondynka, o jasnej karnacji, bardzo ładna, ale tym pięknem, które rodzi jakieś ulotne uczucie chłodu, jakiego doznajesz, kiedy patrzysz na wspaniałą kobietą rzeźbę w marmurze.

- Dzień dobry. - Pokazałem legitymację.

Wyglądało na to, że spodziewała się takiej wizyty, gdyż nie zauważyłem, by była bardzo zdumiona. W milczeniu wpuściła mnie do środka. Zamknęła za mną drzwi i szła z opuszczonymi ramionami i rękoma w kieszeniach nylonowego szlafroka gołębiego koloru, do dużego pokoju -hallu.

Przedpokój miał miniaturowe wymiary, może metr na dwa, trochę ciemny, koloru rezedowego. Oprócz drzwi wejściowych znajdowało się tu jeszcze troje drzwi - na lewo do kuchni, na wprost pewno ubikacja z łazienką, a w lewo - ten pokój, do którego przed chwilą weszła zostawiając drzwi otwarte jako zaproszenie do wejścia. Był jasny i duży z oknem typu francuskiego wychodzącym na ulicę, z którego widać było balkon-loggię zawieszony tuż-tuż nad chodnikiem. Prawie całą lewą ścianę pokoju zajmował segment fornirowany, w przyjemnej kawowo-machoniowej tonacji, po lewej stronie w głębokiej niszy mieściły się dwa łóżka, a między nimi nocna szafeczka. Na jasnym szaro-białym dywanie pośrodku pokoju stał okrągły niski stolik, nad którym wisiał okrągły abażur obciążony zielonym materiałem, a dookoła cztery półwyścielane foteliki z ciemnego buku, model „Todorka”, po trzydzieści dwa lewy sztuka: miałem w domu takie same.

Kobieta podeszła do okna i stała przy nim w takiej samej apatycznej pozie, w jakiej ją zastałem, bezmyślnie patrząc

na ulicę; potem odeszła, minęła mnie i położyła się na łóżku stojącym w niszy zakrywając się po oczy. Zrozumiałem, że ma teraz większe zmartwienie niż poproszenie mnie, bym usiadł, więc przysiadłem na jednym z foteli przy stoliku. Siedziałem milcząc i czekałem, aż się uspokoi po pierwszym szoku, jakiego zazwyczaj doznają nasi bracia na nasz widok.

- Ja tylko ciągle obrywam... - usłyszałem głuchy i przytłumiony głos - i matka mnie bije, i on... i ona też mnie zabiła... Teraz znów milicja czegoś chce...

- On niby dlaczego miał panią bić? Przecież kocha? - włączyłem się w ten monolog, jakby rozmowa trwała już od rana. - Przecież ma się rozwieść i ożenić z panią?

- On taki jest... Zabijaka... Dziecku jednemu rękę wykręcił... - ciągnęła kryjąc ciągle twarz pod kocem. - Mnie o mało nie zamęczył przez jedno stare zdjęcie... Chciał, bym się przyznała, że miałam kochanka...

- Jego żona wiedziała o waszych stosunkach?

- Być może wiedziała... Trzy lata ze sobą chodziliśmy... Na pewno wiedziała, skoro nas przed kinem naszła... Zamachała torebką i zaczęła mnie bić... Co ja jestem temu winna, że ona męża utrzymać nie umie? Skoro to flejtuch i brudas... Nawet koszuli mu nie prasowała... Ona też nie była święta. Ona też różnych miała... Skrobała się przez obcego...

W tym momencie drzwi wejściowe zaskrzypiały, dziewczyna podniosła się, usiadła na łóżku, przygładziła włosy i szlafroczek.

Weszła stara Panowa z pełną siatką zakupów i nylonową torebką z cytrynami w ręku.

- Oooo, gościa mamy! - powiedziała lodowatym głosem i poszła do kuchni. - Nieproszony to gość - dodała odpowiednio głośno, by do mnie dotarło.

Wstałem, poszedłem do kuchni i w drzwiach powiedziałem:

- Proszę do nas nie wchodzić, dopóki nie skończę rozmawiać z pani córką.

Zamknąłem drzwi od kuchni i od pokoju i wróciłem na miejsce.

- Proszę, niech pani mówi! - zwróciłem się do dziewczyny.

Pomilczała niezdecydowanie, lecz przemówiła znów, tylko że ściszym głosem, z niepokojem spoglądając na drzwi, jakby czekając na moment, w którym znów matka się pojawi.

- O czym mam mówić... To była moja hańba, przed tyloma ludźmi... Dostyc tego! Postanowiłam, że gdzieś ucieknę, schowam się gdzieś, gdzie nie będzie mógł mnie znaleźć... Zastanawiałam się, gdzie pojechać, i przypomniałam sobie Toszkę, moją przyjaciółkę z Kjustendiłu. Razem byliśmy w sanatorium w Bankii i ona ciągle mnie zapraszała do siebie.

- Toniu! - dał się słyszeć z kuchni ostry i jakby ostrzegający głos starej.

Dziewczyna trochę spłoszona wstała i poszła do kuchni.

- Gdzie kocioł z praniem? - usłyszałem głos Weliki.

Kiedy Tonia podeszła do niej, ta z kwaśną miną i jedynie przy pomocy gestów zaczęła uprzedzać córkę i prosić, by milczała. I nagle twarz jej się uspokoiła, jakby nic się nie stało. Zauważyła, że stoję za wpółotwartymi drzwiami i obserwuję. Podszedłem i powiedziałem ostro:

- Obywatelko Panowa, proszę mi nie przeszkadzać. Czy muszę ostrzegać, że takie postępowanie może mieć przykre konsekwencje? Proszę z mną! - zwróciłem się do Toni. Pokornie poszła do pokoju, ja za nią zamykając po drodze drzwi.

- Proszę mówić dalej - powiedziałem, kiedy znów usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stoliku.

Dziewczyna milczała i patrzyła przed siebie.

- Proszę mówić! - poprosiłem. - Spokojnie.

Ale Toni milczała jak niema. Pobladła, przygryzała dolną wargę, która robiła się coraz bardziej purpurowa, jakby skrwawiona.

- A może w takim razie naszą rozmowę przeprowadzimy w innym miejscu... Będzie musiała pani pofatygować się do nas!

Słowa te, mimo iż nie powiedziałem ich w celu postraszania, zadziały.

- Mama nie chciała puścić mnie samej... By on znów mnie nie odnalazł... i pojechała ze mną... - z trudem i jakimś zdławionym głosem przemówiła znowu. - Pojechałyśmy obie do Kjustendiłu... Miałyśmy zamiar zatrzymać się tam tydzień, dziesięć dni... Toszka bardzo dobrze nas przyjęła... Obiady jadałyśmy w restauracji, bo ona była w pracy, ale wieczorem chodziłyśmy na spacer, zwiedzałyśmy miasto... Drugiego dnia zawiozła nas do klasztoru... Przyjeżdżał tam na odpoczynek władca... Tak minęły trzy dni... Czwartego dnia mama, nie wiem, co jej się stało, powiedziała, że jej się tu nie podoba, żebym zadzwoniła do Gena, niech przyjeżdża i nas zabiera... Miałam powiedzieć, że źle się czuję i żeby przyjechał samochodem...

- Czy rzeczywiście źle się pani czuła?

- Nie, ale mama tak kazała... Ja zadzwoniłam nawet od Toszki z biura i on przyjechał późnym wieczorem samochodem... Leżałyśmy już... i zabrał nas...

- Co to za samochód?

- Nie wiem. Myślę, że to jego szwagra... Po drodze mama i Geno znów się kłócili...

- O co się kłócili?

- Nie wiem... ja siedziałam z tyłu, mama specjalnie mnie tam posadziła. Oni siedzieli z przodu, coś tam szepotali i kłócili się... Byłam bardzo zmęczona i było mi niedobrze... Być może, że to przez tę jazdę samochodem... nie słyszałam... nie rozumiałam, o co się kłóć... Nie zwróciłam

uwagi... Geno bardzo się spieszył... Powiedział, że w końcu znalazł tę rakiję, której szukał... Ja nie wiem dlaczego, chciałam go może zatrzymać... zażartowałam... Skoro masz rakiję, poczęstuj nas, powiedziałam, wejdz, poczęstujesz... To było przy wysiadaniu... Geno spieszył się... Powiedział tylko: Jeżeli ty napijesz się tej rakii!... I odjechał...

Staralem się opanować, starałem się nie pokazać po sobie, jak bardzo interesowało mnie to, co opowiada.

- Kiedy znów się spotkaliście?...

Dziewczyna pomilczała, następnie niepewnie i cicho powiedziała patrząc z niepokojem na drzwi.

- Nie widzieliśmy się.

- Czy to było ostatnie wasze spotkanie? - od razu dostrzegłem jej zmieszanie. - Proszę mówić spokojnie, nic złego się pani nie stanie!...

- Nie widzieliśmy się - powiedziała jeszcze mniej pewnym głosem i poddała się. - Nie widzieliśmy się... dość... dość długo... Nie odzywał się. Kiedyś często przychodził... mimo że późno... czasami nocą... Mama widziała, co się ze mną dzieje... Jednego wieczoru wyszła i wróciła późno... Myślę, że była u nich. Powiedziała mi na drugi dzień, bym do niego zadzwoniła i zażądała wyjaśnień... spotkania... Byśmy się dogadali raz na zawsze... A jeśli trzeba, to i trzy godziny możemy gadać...

- Kiedy to było? Przypomina sobie pani datę?

- Nie mogę sobie przypomnieć... Myślę, że to był wtorek... ale daty nie pamiętam... Zadzwoniłam do niego rano, do pracy, było wpół do ósmej...

Drzwi gwałtownie otworzyły się, ciężkim krokiem stara weszła do pokoju. Podeszła do segmentu i nerwowo zaczęła czegoś szukać w szufladach, nie patrząc na nas.

- Obywatelko Panowa, proszę wyjść! - powiedziałem możliwie ostrym tonem. - Proszę opuścić pokój!... Natychmiast!...

Stara zafuczała, trzasnęła szufladą i wyszła zabierając ze sobą jakiś kawałek szmaty.

- I spotkaliście się? - spokojnym głosem zwróciłem się do Toni.

Siedziała jak skamieniała, zupełnie zdezorientowana i przerażona.

- Więc tego dnia, we wtorek, czyli czternastego spotkała się pani z nim? Gdzie? O której godzinie? Proszę sobie dokładnie przypomnieć!

- Zgodził się na spotkanie... Pięc po dwunastej, jak wyjdzie z pracy. Czekałam na niego na skwerku za Mauzoleum. Czekałam prawie pół godziny. Przyszedł dwadzieścia po dwunastej... już miałam sobie pójść... Bardzo się spieszył. Powiedział, że kupuje wóz, pokazywał jakieś dokumenty... Nie mam czasu, powiedział, teraz na rozmowy... I poszedł sobie... Bardzo się spieszył...

Dziewczyna wyglądała coraz gorzej. Poczekiałem, aż się pozbiera.

- I więcej się nie widzieliście?

- Widzieliśmy - wymamrotała dziewczyna, decydując się na opowiedzenie wszystkiego, ale już resztkami sił. - Pewnej nocy, przed kilkoma dniami, przyszedł tutaj... Był bardzo niespokojny... zdenerwowany... mówił coś takiego... na próżno!... Być może, to moja wina, bo powiedziałam mu, że troszczy się tylko o samochody i swoją żonę, a ja jeszcze trochę i pewno umrę... Rozwrzeszczał się. Rzucił się na matkę - ty, mówi, tyś temu winna!... Nikomu macie nie mówić, że znaliśmy się przez te dwa lata... że miałem coś wspólnego z wami... Jeżeli powiecie, zabiję! Potem został na noc.

Wstałem.

- Nikt pani nic złego nie zrobi, nikt pani nawet nie dotknie! Proszę się nie denerwować. Na pewno znów się zobaczymy, ale to nic takiego... Teraz dowidzenia!... I jak już powiedziałem, proszę się nie przejmować!

Wyszedłem nie żegnając się ze starą. Kiedy byłem na ulicy, coś kazało mi, bym się obejrzał, a gdy przechodziłem pod niskim francuskim oknem, zobaczyłem, jak matka bije córkę, bije jak Trifon swego konia. Milcząco, jak zwierzę. Dziewczyna nawet się nie broniła.

Pierwszym odruchem było, wrócić. Ale co z tego? To już były sprawy rodzinne i mieszanie się w nie nie miało sensu.

Szedłem dalej, i bez tego miałem o czym myśleć. Czuję się jak człowiek, który nieoczekiwanie bez specjalnego wysiłku uzyskał coś cennego i niezbędnego zarazem. Kiedy szedłem na rozmowę z tą dziewczyną, muszę się przyznać, że zrobiłem to bardziej z obowiązku dopełnienia formalności porozmawiania ze wszystkimi, którzy w jakiś sposób byli z tą sprawą powiązani. Antonina Panowa, kochanka męża jednej z ofiar, zajmowała w spisie takich osób poczesne miejsce, była osobą zamieszaną w całą tę sprawę, odegrała być może pewną rolę, i to nawet nie drugoplanową, interesowałem się nią także, ale idąc na tę rozmowę nie sądziłem, że zbiorę taki plon.

Szedłem chodnikiem wpatrzony w płyty, ale ich nie widziałem, poruszony i trochę napięty próbowałem podsumowywać i analizować informacje, które otrzymałem. Tonia, nie wiem dlaczego, wyobrażałem sobie jako zupełnie zwierzątko instynktownie szukające samca, który zgodziłby się mieszkać w jednej zagrodzie. To porównanie szokowało mnie samego, ale tak sobie myślałem. Bezpośrednie z nią spotkanie niewiele zmieniło, tyle że zwierzątko okazało się dość rasowe i moim zdaniem trochę roślinkowate. Inna sprawa, że Geno nienawidził żony. To było naturalne, iż usłyszałem o tym właśnie z ust Toni, cóż innego będzie opowiadał żonaty mężczyzna swej kochance? Mimo iż potwierdzały to wypowiedzi osoby tak neutralnej jak na przykład Zorka. Albo powiedzmy... postępowanie starej Panowej! To nie było tylko postępowanie złej, brutalnej kobiety, to nie tylko stosunek do mej osoby lub, jeśli łaska, do

władzy, którą reprezentuję. Ona się bała, była śmiertelnie przerażona, że Toni powie, powie coś, czego w żadnym wypadku nie powinien nikt wiedzieć, a szczególnie ktoś taki jak ja. Wygląda na to, że Toni wygadała się. Ale kiedy? Czy chodzi o ten wyjazd do Kjustediłu?... Toszka!... Wizyta w klasztorze! To nieoczekiwane pragnienie powrotu!... Wezwanie Gena, by zaraz przyjeżdżał! W Kjustendile nie opryskiwali parationem - pamiętałem słowa Tinkowa. - Parationu używano jedynie w rezydencji władcy!... Na drugi dzień zawiozła nas do klasztoru!... Toszka! Toszka, ale jak dalej? Gdybym chociaż spytał o nazwisko... Specjalnie nie spytałem. Ani o nazwisko, ani o adres, ani gdzie pracuje. Instynktownie nie chciałem dać poznać po sobie, że ta postać zainteresowała mnie. Nie chciałem, by powtórzyła się podobna sytuacja jak z Genem i tramwajarzem. Gdzie mi tam podróżować do Kjustediłu?... Tak!... Geno!... On tam pojechał... samochodem... od razu!... W końcu znalazł rakię, taką jakiej szuka!... Tak... I jeszcze jedno: czternastego, w dniu wypadku, nie było go w czasie obiadu na dworcu Iskyr. Dwadzieścia po dwunastej spotkał się z Tonią na skwerku za Mauzoleum... Tak... Dobrze! Nocował też u Toni! No, to zrozumiałe, a gdzie miał nocować?...

Usłyszałem klakson samochodu. Kiedy rozejrzałem się, spostrzegłem, że stoję na krawężniku sporej ulicy, po której przemykają wozy. Znalazłem się na drugim końcu ulicy Klonowej. Mój samochód stał gdzieś tam, w którejś z przecznicy. Ruszyłem z powrotem.

10.

Mijała dziesiąta, byłem zdenerwowany. Tym bardziej iż wydawało mi się, że czas płynie zupełnie niepotrzebnie,

gdyż ja nie jestem w stanie niczego sprawdzić, podjąć, jakichś kroków, a przynajmniej rozładować napięcia, w jakie wprowadziła mnie rozmowa z Toni Panową. W godzinę później chciałem ustalić dwie rzeczy: gdzie rzeczywiście znajdował się Tomanow w dniu zabójstwa w południe, w magazynie na dworcu Iskyr czy na skwerku za Mauzoleum? A po drugie odnaleźć tę Toszkę, przyjaciółkę Toni z Kjustendiłu. Pierwszym problemem chciałem zająć się osobiście, drugim miałem obarczyć Tinkowa. Ale jego nie było. Siedziałem, czekałem, aż się zjawi, i denerwowałem się coraz bardziej. Zadzwoił telefon.

- Towarzyszu Damow - usłyszałem głos Giczki - przyszedł Tinkow, przysłać go?

- Czy jest u siebie?

- Nie, poszedł do pokoju.

- Do którego?

- Do gabinetu towarzysza Andrejewa. On przeszedł na emeryturę i teraz tam jest wolny pokój.

Słyszałem o tym, a teraz już wiem, że Andrejew przeszedł na emeryturę.

- Tak... jaki tam numer?

- 34-19.

- Dobrze. Zadzwonię.

Zadzwoniłem.

Tinkow zjawił się po sekundzie.

Powinienem był prosić go, by usiadł, bo chciałem zamienić z nim bodaj kilka słów, ale nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem.

- Towarzysz pułkownik mnie wysłał... - czuł się w obowiązku wytłumaczyć.

- Tak, wiem o tym. Czy jesteście teraz czymś zajęci? - przerwałem.

- Nie, tylko jedna sprawa...

- Widzicie, kolego - trzymałem go na stojąco i samemu było mi głupio. - Trzeba będzie pojechać do Kjustendiłu. Sekretarka przygotowuje wam delegację i wszystko

co potrzeba... Zorientujecie się, ile skierowań zostało wydanych w ostatnim czasie... no powiedzmy w ciągu tego roku... do Bankii, na jakie nazwiska?... Myślę, że dane te znajdziecie w Związkach Zawodowych... Zrobicie listę i poszukacie imienia Toszka.

- Jaka Toszka?

- Nazwisko nieznane... Jedyнным elementem identyfikacyjnym jest fakt, że kobieta ta, czy też dziewczyna chora jest na serce i leczy się - spojrzałem na niego. - Czy możecie podjąć się tego zadania?

- Spróbuję - uśmiechnął się młody człowiek, z wyższością lub w poczuciu własnej wartości, nie mogłem tego określić. - A potem?

- Oprócz tego jest tam klasztor, rezydencja władzyki. Spróbujcie zorientować się, czy przekazywano stamtąd komuś paration, komu, ile, w czym. To by było wszystko.

Spojrzałem na zegarek.

Dziękowałem Bogu, że był inteligentny, co przejawilo się w tym, iż od razu zebrał się do wyjścia, stając jednak na baczność i chyba nawet schyliwszy głowę.

Była godzina dziesiąta dwadzieścia pięć. Mogłem jeszcze zastać tego człowieka w pracy.

Ale właśnie tam, koło magazynu na dworcu, wszystko się poplątało.

Szedłem nierówną gliniastą drogą wzdłuż parkanu z betonowych słupów i drutu kolczastego wśród równego pola i myślałem sobie, co tu się dzieje jesienią, kiedy te bujne trawy wypali słońce, kwiaty przekwitną i zostaną jedynie suche osty i gołe pnie rzadkich drzew. Nawet teraz tego majowego dnia było coś smętnego w tej równinie, w tym uprzemysławiającym się rejonie, ale jeszcze nieuprzemysłowionym, a już nie wiejskim, ze starymi i nieładnymi budynkami, z szopami i fabryczkami wokół dworca, korpusami nowo

powstających zakładów przemysłowych i magazynów.

Uśmiechnąłem się sam do siebie, że zajmuję się takimi głupstwami, zamiast myśleć o pracy, która tu mnie srowadza. Gdy parkan kończył się, skręciłem w prawo wzdłuż płotu i dalej prosto przez podmokłą łąkę, na której nawet o tej porze trawa ledwie rosła; przeskakując z jednego suchego miejsca na drugie wydostałem się na szosę przed wielkie wejście z ogromną żelazną dwuskrzydłową bramą. Na jednej z dwu betonowych kolumn, które podtrzymywały bramę, przytwierdzono kawałek dykty powykręcanej i zniszczonej przez deszcze, na której zieloną farbą olejną napisano: Raznoimpex, magazyn, dworzec Iskyr.

Żelazna brama była otwarta, więc wszedłem do środka. Po lewej stronie znajdowała się niska podłużna budowla z cegieł, nieotynkowana jeszcze, ale o dużych oknach ze świeżo pomalowanymi ramami. Na środku - ogromna hala kontenerowa, bardzo wysoka i długa na jakieś pięćdziesiąt metrów.

Podszedłem do niskiego budynku, ale już z daleka zobaczyłem ogromną kłódkę na drzwiach, więc skręciłem ku hali. W krótszej południowej ścianie widniały też takie ogromne drzwi, przez które wjechać mógł nawet samochód ciężarowy, ale były zamknięte i okute czarną metalową taśmą. Kiedy podszedłem bliżej, spostrzegłem, że w nich znajdują się jeszcze jedne drzwi, takie dla ludzi. Były nawet uchylone. Szedłem wzdłuż poukładanych różnych maszynarii, części, drewnianych skrzyń, niektóre leżały na podłodze, inne na specjalnych długich półkach przypominających trzypiętrowe prycze.

Wszystko było ładnie poukładane, czyste. Ale nie zauważyłem żywej duszy w tej nieogarniętej przestrzeni. W końcu dostrzegłem między półkami człowieka liczącego jakieś zwoje i zapisującego to w zeszycie. Był to niski, łysy mężczyzna o twarzy typowej dla pracownika magazynu -

pełnej i zaokrąglonej, o trochę leniwym, trochę dumnym spojrzeniu. Podszedłem.

- A ciebie kto tu wpuścił, kochaneńki? - powiedział szybko i ostro, nie oglądając się i nie podnosząc oczu znad zeszytu.

- Przed kilkoma dniami znajdował się tutaj pewien samochód... Volkswagen po wypadku... - zacząłem.

- A, więc po to tu przyszedłeś? - nie zmieniając pozy przerwał mi i zmarszczył brwi. - Nic takiego nie miało miejsca.

- Chciałem... - próbowałem wyjaśnić, ale on znów mnie uprzedził.

- Wiem, że chcesz, ale nie ma!... Kto teraz nie chce samochodu? - w końcu zostawił zeszyt, obejrzał mnie od stóp do głów i powiedział ostro. - Wyjdź, proszę! Proszę wyjść!... Czy to tak można do magazynu wchodzić jak do knajpy?

W milczeniu wyjąłem legitymację służbową i pokazałem mu.

Rzucił na nią okiem, a właściwie kątem oka, ale w lot zrozumiał. Od razu twarz mu się zmieniła, a nawet postać cała jakoś się przekształciła. Ręce opuścił wzdłuż ciała, na twarz wydobył jeden z najmilszych uśmiechów.

- Proszę? Czego sobie życzyacie? Proszę!

- Proszę powiedzieć swoje nazwisko, byśmy mogli się lepiej poznać - oświadczyłem chłodno.

- Kto, ja? - obruszył się przez moment. - Czy coś przeszkobałem?

- Nie, nie...

- Nazywam się Atanas Petkow Czolakow... Towarzysz Penczew mnie zna...

- Oczywiście - mamrotałem pod nosem zapisując nazwisko - przecież zawsze ktoś was znać musi...

- Ależ towarzyszu, dlaczego nie przyszliście wcześniej!

Samochód już sprzedany... Przedwczoraj sprzedany...

- Komu?

- No, takiemu tam... Tomanow się nazywał... Nie, nie pamiętam nazwiska... chyba z ministerstwa... Ale płotka... Chwileczkę, przyniosę fakturę... - gotów był prawie uciec, ale go zatrzymałem.

- Zostawcie, nie ma potrzeby. Lepiej powiedzcie, jak to było?

- Co jak było?

- Jak odbyła się sprzedaż, o której przyszedł kupiec? Z kim? Czy był sam?

Mimo wszystko poszliśmy w kierunku bramy, przy której był mały oszklony kantorek, dokąd chciał mnie odciągnąć, co jasne było jak na dłoni.

- Sam. Sam był. Przychodzi, przynosi pismo i mówi, daj samochód. Czekaj, mówię, panie drogi... Patrzę na podpis, zgadza się! Dla mnie tylko podpis się liczy, prawda? Skoro szef podpisał... Dobrze, mówię, liczą pieniądze - tysiąc sześćset i trzydzieści. Tanio jak barszcz. Fakt, że po wypadku, ale na chodzie, dwieście, trzysta lewów, i będzie jak nowy. Patrzy na mnie jak szalony. Od razu mogę zabrać? Głupią minę ma. On nie miał pieniędzy, rozumiesz, pieniędzy nie miał... ha, ha.

„No, nie wszyscy są magazynierami, tak jak ty, kochasiu!” - pomyślałem sobie.

A ten jakby czytał w moich myślach, albo spojrzałem na niego ostro, bo śmiech jakoś zamarł mu na ustach, twarz zmieniła kolor i ten wyraz ni to ironiczny, ni to wyniosły, jaki mają jedynie ludzie z dużą forszą. A może zdał sobie sprawę, z kim rozmawia.

- Koniec końcem zaczął gdzieś dzwonić, o stąd - bo już przeszliśmy do przeszklonego kantorka. - Proszę - zaproponował mi krzeselko, a sam stał koło mnie. - Rozmawiał z jakąś kobietą, Wenka, czy też Genka miała na imię,

chciał, by mu przyniosła pieniądze. Poszedł, pokręcił się przy wozie. Potem jeszcze raz zadzwonił do tej samej kobiety, ale chyba jej nie zastał. Pewno już wyszła. Wtedy zapuścił motor...

- Zadzwonił drugi raz? - przerwałem mu.

- Drugi raz.

- I odjechał tym motorem?

- Właśnie tak.

- O której to się stało?

- Musiało być koło dwunastej, ponieważ spieszyłem się do stołówki. Zajęło mi to może, powiedzmy, dwadzieścia minut, niech będzie pół godziny. Kiedy wróciłem, jakaś kobieta kręciła się przed magazynem. Ładna kobieta.

- A jego nie było?

- Nie było. Przyjechał po dziesięciu, powiedzmy, minutach, może była za dwadzieścia pierwsza.

Zjawił się młody człowiek wyglądający na szofera i poprosił, by magazynier podpisał mu jakieś papiery. Ale ten go odesłał.

- Później, później, teraz jestem zajęty, chyba widzisz?

Szofer poszedł sobie, magazynier szybko wyskoczył, zawołał za nim od drzwi kantorka.

- Ile tego?

- Szesnaście - odpowiedział szofer.

- Dobrze, dobrze, zrzuć na starym miejscu! - wrócił i usiadł za biurkiem pełnym kwitariuszy i papieru. - Tak, to była najpóźniej za dwadzieścia pierwsza. Żona dała mu pieniądze, mówili coś do siebie i on kazał jej pójść.

- Czym odjechała?

- Nie wiem, chyba autobusem. Nie widziałem.

- Dobrze, co potem?

- Potem przeliczył pieniądze. Przygotowaliśmy fakturę i tak dalej. Odjechał gdzieś koło drugiej.

- Samochodem?

- Samochodem, oczywiście. Od razu pojechał, chyba

poszukać przyjaciela, co by mu pomógł wyklepać, poza tym musiał go zarejestrować, czy też coś innego, nie bardzo wiem.

- A motor?

- Zabrał go. Koło czwartej przyjechał samochodem z jakimś człowiekiem, ten wsiadł na motor i odjechali.

- Co to za motor, jaka marka? Widzieliście go?

- Widziałem, ale nie umiem powiedzieć. Nie znam się na tym.

„Co jeszcze? Co jeszcze? - myślałem sobie - O co jeszcze zapytać”. Nic nie przychodziło mi do głowy. Mimo wszystko nie było tego mało. Wstałem, on też.

- Dziękuję!

Ruszyłem do wyjścia. Odprowadził mnie aż do pierwszych drzwi.

Gdy szedłem w tę stronę, nie zauważyłem asfaltowej drogi, która prowadziła do samych drzwi magazynu, i aby nie cofać się poprzez te podmokłe tereny, zostawiłem samochód na sąsiedniej szosie i dlatego musiałem okrążyć prawie cały ogrodzony teren. Teraz zauważyłem, że tędy jest bliżej, i gdy żegnałem się jeszcze raz z Czołakowem, który kto wie dlaczego stracił dobry humor, ruszyłem przez trawę prosto przed siebie.

Musiałem się spieszyć. Rano zadzwoniłem do pracy do Gena Tomanowa.

- Czy mógłby pan zjawić się u mnie? - spytałem. - Wpół do dziesiątej.

- Teraz nie mogę. W żadnym wypadku! - Odparł dość bezceremonialnie. - Muszę być u towarzysza Gencze-wa z referatem. Do obiadu nie ma mowy.

- A po obiedzie? - powiedziałem jeszcze tym samym tonem.

- Po obiedzie? Tak. Mogę. O której?

- O wpół do drugiej.

- Dobrze. I powiedzcie tam... Dostyc mam tych przepustek... Czy nie moge... od razu? Proszę to załatwić.

- Tego nie mogę - powiedziałem i położyłem słuchawkę.

Byłem trochę zły. Ale wydało mi się, że tak będzie lepiej. Mogę pojechać na dworzec Iskyr, sprawdzę i ustalę pewne sprawy, te, które w opowiadaniu Toni zrobiły na mnie pewne wrażenie. Według jej relacji widzieli się w dniu zabójstwa. O godzinie dwunastej dwadzieścia. Tomanow po pierwsze wcale o tym nie wspomniał, twierdził i udowadniał, że w tym czasie był na dworcu Iskyr. Okazało się, że rzeczywiście był, lecz...

Dotarłem do samochodu. Ale jak on wyglądał, biedaczek! Szosą prawdopodobnie przejechała ładowarka. I to taka, co wiecznie wozi cement luzem, a szofer jeździ jak szalony. Właśnie na szosę spadła spora kupa takiego cementu, dokładnie tuż przed moim samochodem spokojnie parkującym na poboczu. Cała lewa strona, opony, przednia szyba!

Otworzyłem uważając, by się nie umazać, znalazłem na tylnym siedzeniu stare gazety i zacząłem wycierać. Poprzedziałem gdzie się dało i co większe pecyny, a szczególnie szyby, by nie wyglądać jak taka mniejsza ładowarka. Nie miałem czasu. Gazety rzuciłem do rowu, wsiałem i ruszyłem. Zapaliłem papierosa, nie patrząc, czy upłynęły już dwie godziny od wypalenia poprzedniego. Co się ze mną działo?

Tak, rzeczywiście, był tu w magazynie na dworcu Iskyr, ale...

Nie mogłem nawet zjeść obiadu jak ludzie. O wpół do drugiej byłem w gabinecie. Dzwono telefon. To ci z portierni.

- Niech wejdzie! - rozkazałem. - Dajcie mu przepustkę!

Zjawił się po chwili. Kiwnął głową na powitanie i usiadł, zanim go poprosiłem. Czuł się w tym pokoju jak u siebie.

- Chciałbym zadać panu jedno pytanie - zacząłem od razu. - Czy pamięta pan, kiedy ostatni raz był pan w Kjustendile?

- Czy tylko po to pan mnie wzywał? Mógł mi pan zadać to pytanie przez telefon, a rezultat byłby taki sam - patrzył na mnie spokojnie i trochę uporczywie.

- Nic takiego się nie stało - powiedziałem - niech pan jednak odpowie na to pytanie, skoro już pan tu jest.

Ścisnął ręce kolanami, spuścił głowę, jakby sobie coś przypominał, potem spojrzął na mnie i powiedział:

- Do Kjustendiłu zawieźli mnie kiedyś z wycieczką, jeszcze jak uczniem byłem.

Zupełnie odruchowo wstałem ze swego miejsca.

- Po raz pierwszy i ostatni? - uściśliłem.

- Po raz pierwszy i ostatni - odparł bez mrugnięcia okiem.

Oparty jedną ręką o biurko, a drugą trzymając w kieszeni przyglądałem mu się i napawałem widokiem człowieka, który ze stoickim spokojem kłamał. Nie zdemaskowałem go, nie powiedziałem, co i od kogo wiem bliżej na ten temat. Miałem pewne plany, a oprócz tego nie byłem zdecydowany, czy zatrzymać go na dłużej, czy nie.

- Powiedział pan - przeszedłem do kolejnego pytania, jakbym był zadowolony z uzyskanej odpowiedzi - że w dniu otrucia, koło południa, był pan na dworcu Iskyr po samochód. Koło której to było?

- Jedenasta pięć - odpowiedział jak maszyna elektryczna.

- Czym pan tam dojechał?

Odpowiedź nie była tak błyskawiczna.

- Wydaje mi się, że już panu na to pytanie odpowiadałem.

- Nie odpowiedział mi pan, zbył pan wtedy tę odpowiedź - powiedziałem, pamiętając bardzo dobrze, jak odwrócił wzrok i mówił: „Kiedy człowiek spieszy się, znajduje sposób”.

- Na motorze. Wziąłem motor od kolegi. Spieszyło mi się - pochylony do przodu, oparłszy łokcie na kolanach patrzył na mnie z dołu wzrokiem, w którym tliło się poczucie winy.

- Dobrze, proszę dalej! Proszę powtórzyć jeszcze raz dokładnie i krótko, co się działo, gdy pan przyjechał!

Maszynka od razu zaczęła pracować.

- Zobaczyłem wóz. Mładenow powiedział, że jest wyceniony na tysiąc sto lewów. Magazynier mówi, że kosztuje tysiąc sześćset trzydzieści, że od razu mogą płacić i zabierać. Miałem przy sobie tysiąc dwieście. Bałem się, że stracę okazję. Zadzwoiłem do żony, by mi przyniosła pieniądze, miała swoich około sześciuset. Kazałem się jej pospieszyć...

- O której pan dzwonił?

- Było już koło dwunastej. Magazynier poszedł na obiad, ja czekałem.

- Gdzie pan czekał?

- Tam, w cieniu.

- Czy przez cały ten czas nie opuszczał pan terenu magazynu?

- Powiedziałem panu, bałem się, żeby nie przyszedł ktoś i mnie nie uprzedził.

Nie, on był bezkonkurencyjny!

- Kiedy przyjechała pańska żona?

- Koło pół do pierwszej, może za dwadzieścia pierwsza.

- Był pan w takim napięciu, stąd taka dokładność. Pewno co chwila spoglądał pan na zegarek.

- Nie wiem. Zdrzemnąłem się trochę... może z tego napięcia...

- Pańska żona przyszła wcześniej i szukała pana -

nerwy na chwilę odmówiły mi posłuszeństwa - pana nie było.

- Moja żona to głupia gęś! - odparł z całym spokojem. - Kto wie, gdzie łązila, zanim mnie znalazła...

- Więc twierdzi pan, że nie opuszczał terenu magazynu przez ten czas?

- Nie opuszczałem - odpowiedział bez wahania.

- Kierownik magazynu twierdzi zgoła co innego. Zapуścił pan motor zaraz po... drugim telefonie i odjechał - starałem się go speszzyć, dając do zrozumienia, że wiem trochę więcej.

- Magazynier nic nie wie, bo poszedł na obiad, gdzieś do stołówki. Prawdą jest, że motor zapуściłem, bo musiałem go przestawić w cień.

Było to logiczne. Jeśli chodzi o ten problem, to zeznania magazyniera nie mają dla mnie żadnej wartości. Pozostała mi jedynie Toni. Nie było to mało, ale mimo wszystko...

Usiadłem na swoim miejscu, wziąłem przepustkę, którą położył mi na biurku, i wypełniając, powiedziałem:

- Dobrze, obywatelu Tomanow, w porządku, zadowolony jestem z pańskich odpowiedzi. Może pan odejść.

Oddałem mu przepustkę.

- Jest pan wolny!

Był już prawie przy drzwiach, kiedy zupełnie niespodziewanie dla samego siebie powiedziałem:

- Wciąż jeszcze wolny!

Odwrócił się.

- Proszę mnie nie straszyć, panie majorze! Nie jestem strachliwy.

- Widzę - powiedziałem odwrócony twarzą do okna, w dalszym ciągu nie mogąc sobie wytłumaczyć, dlaczego powiedziałem to „wciąż jeszcze”. Właściwie, dlaczego od razu go nie zaaresztuję, skoro taki bezczelny?

Jego żelazne alibi funta kłaków niewarte. Przypominało zardzewiałą bańkę, co przecieka i rozpada się, a jak ją palcem

dotkniesz, to przez dziury wypadają dane i fakty. Dość miałem tych jego pozornie prawdziwych wyjaśnień, tych zaprzeczeń i kłamstw. W oczy człowiekowi patrzy : i opowiada, że pierwszy i ostatni raz w Kjustendile był jeszcze w latach szkolnych, i że spał u kochanki, tego też mi nie powiedział... A o podaniu o rozwód... O, tej sprawy jeszcze nie wyjaśniłem do końca. Wyślę Tinkowa. Nie przyjechał na obiad, bo był zajęty samochodem... W porządku, przypuścimy, że to możliwe. Ale mimo to był w śródmieściu, spotkał się z kochanką, dlaczego miałby nie wpaść do domu? Po całym tym wypadku wychodząc z domu zabiera pizamię... Penkowowi powiedział co innego. A dlaczego nie miałby to być jakiś przedmiot, jakieś naczynie, rzecz ściśle związana z dokonaną zbrodnią? Tak, ale wtedy nie niósłby tego tak po prostu w rękach, tak, by wszyscy mogli zobaczyć, ukryłby pewno pod ubraniem, starałby się wynieść potajemnie... Z uporem ukrywa i zaprzecza, jakoby stara Panowa złożyła mu wizytę, tak samo zresztą postępuje, jeżeli chodzi o jego powiązania z Toni. Ale czy takie rzeczy można ukryć lub czy można im zaprzeczyć. Takie sprawy są widoczne, łatwo je zauważyć, o nich się słyszy. Nawet jego żona dowiedziała się... Tak!... Ja też przecież wiem już tyle rzeczy, ale... Jak to powiedział Penkow? - „Ja lubię, jak już kogoś przyprowadzą na oficjalne przesłuchanie, wiedzieć o nim więcej, niż jemu się wydaje”. A ja ile wiem?

Wstałem, przeszedłem się po pokoju. Podniosłem słuchawkę telefonu.

- Giczko, towarzysz pułkownik jest u siebie?

- Tak, ale ktoś u niego jest. Zadzwoń, jak sobie pójdzie.

Kiedy przyszedłem, odniosłem wrażenie, że szykował się do wyjścia. Nie dał po sobie poznać, że spieszy się i nie ma czasu na długie rozmowy. Przeciwnie, usiadł nawet. Wprawdzie nie za biurkiem, ale na jednym z krzeseł

stojących wzdłuż podłużnego stołu. Rozsiadł się wygodnie i przysunął do siebie popielniczkę.

- Mów, Damow. Siadaj.

Usiadłem naprzeciwko. Zapalił papierosa. A ja referowałem. Nie w stylu długo i szeroko, ale zawsze. Mówiłem mniej więcej to samo, o czym myślałem po wyjściu Tomanowa. A przede wszystkim podzieliłem się swoimi wątpliwościami na temat tego, czy prokurator wyda mi pozwolenie na zatrzymanie go w areszcie?

Zgaślił wypalonego do połowy papierosa. Był jakiś taki niezadowolony, co zapisałem na swój rachunek, ale potem okazało się, że to papieros miał rozwalony filtr. Zaraz zresztą zapalił nowego.

- Oczywiście możemy go zatrzymać - powiedział wypuszczając kłęby dymu. - Ale ja na twoim miejscu też bym miał obiekcje. A i mam je. Coś mi się wydaje, że jeszcze za wcześnie, że czegoś tu brakuje, że coś jest nie tak.

- On już domyślił się, że rozmawiałem z ludźmi, że powoli pętla się zaciska, już wie, co powiedział magazynier, Toni Panowa... I może pójść, pogadać, nakłonić do zmiany zeznań. Oczywiście, jeżeli zostawimy go na wolności.

Wstał i podszedł do biurka.

- Nie wydaje mi się - powiedział składając jakieś papiery i umieszczając je w kasie pancерnej. - Magazyniera może jedynie, no powiedzmy, przekupić. Ale do kochanki to już chyba nie pójdzie. Myśli na pewno, że jest śledzony... co, prawdę mówiąc, nie byłoby takie złe. Będzie się bał kontaktować z nią, by się nie wydać. Czy nie zauważyłeś, że on robi wszystko, by się nie zdradzić, że miał coś z nią wspólnego, że ją znał. Bardzo dobrze rozumie, że jeżeli ta znajomość wyjdzie na jaw, jego sytuacja znacznie się pogorszy.

Zamknął kasę, opieczętował i ruszył do wyjścia. Poszedłem za nim.

To oczywiście, myślałem sobie wracając do swego pokoju, gdzie ja rozum miałem! To właśnie było to! Ukrywał i zaprzeczał tej znajomości, bo zaprzeczał i ukrywał motywy, przyczyny! Takie to było zwyczajne i takie proste!

11.

Następnego dnia Tinkow zjawił się u mnie w gabinecie tuż po moim przyjściu. Zapewne czatował na mnie. Był odświeżony, wygolony, prawdopodobnie też przystrzyżony, ale to nie rzuciło się w oczy.

Tym razem poprosiłem go, by usiadł. Zajął miejsce w fotelu przy oknie. Kolana miał złączone, łokcie oparte na poręczach, a w rękach przed sobą trzymał notes.

Nie bardzo go jeszcze znałem i dlatego też przez chwilę zastanawiałem się, o czym by tu z nim porozmawiać, zanim przejdę do rozmowy o służbowym charakterze. On jednak wyraźnie wolał mówić o sprawach zawodowych, gdyż jak każdy nowicjusz był niecierpliwy i bardzo sumienny. Wybawił mnie więc z tej kłopotliwej sytuacji.

- Znalazłem tę osobę - powiedział biorąc milczenie za zaproszenie. - Nazywa się... - zajrzał do notatnika - Tordorka Welinowa Krystewa, pracuje w Okręgowej Centrali Związków Zawodowych, mieszka przy ulicy Wojewody Manusza 11, ma lat dwadzieścia siedem, niezamężna, cierpi na wadę serca... stan niegroźny.

- Tak. A co jeszcze? - spytałem, gdyż zamilkł.

- Jak to, co jeszcze?

Zdumienie jego było całkiem zrozumiałe, gdyż przypomniałem sobie, że przecież w związku z Toszka żadnego innego polecenia ani zadania nie otrzymał.

- Do klasztoru, do rezydencji władzyki zajrzeliście może? - znalazłem coś jednak. - Czy ustaliliście już sprawę posiadania parationu?

- Byłem tam - odpowiedział błyskawicznie. - Tak, rzeczywiście mają paration, jest tam pop... dał paration jakiejś kobiecie.

- Jak to jakiejś! Co to za kobieta? Jak się nazywa? - Ton mego głosu i moje spojrzenie spowodowały pojawienie się kropli potu na jego czole.

- Nazwiska nie zdołałem ustalić - powiedział cicho. - Pop nie znał jej. A i nie pytał. Ale ustaliłem pewien rysopis. Opisał mi ją... - znalazł odpowiednią stronę w notatniku - lat około pięćdziesięciu, wzrost około 160 centymetrów, nie bardzo gruba, twarz okrągła, zielona chustka na głowie, ostra czerwona szminka na ustach... Białe spodnie, beżowe buty na niskich obcasach.

- No, możemy ten portrecik powiesić na ścianie! - westchnąłem.

Młody człowiek zaczerwienił się.

- Towarzyszu majorze, otrzymałem od was zadanie odnalezienia niejakej Toszki i znalazłem. Oprócz tego miałem dowiedzieć się, czy klasztor posiada paration i czy komuś go przekazywał. Uzyskałem wiadomość potwierdzającą. Ale nie wiem, czemu służyć mają te dane, w jakim kierunku powinienem dalej postępować i czym się interesować, nie zostałem wprowadzony.

- Oczywiście, oczywiście. Wybaczcie! - zamruczałem pojednawczo. - Jesteście w porządku. To jest wystarczająca informacja. Zupełnie wystarczająca. Dziękuję wam.

O trzeciej po południu byłem w Kjustendile. Zadzwońnię do Toszki do pracy. Wyjaśniłem, dlaczego dzwonię, czego potrzebuję i jakich od niej oczekuję informacji. Poprosiłem, by się wcześniej zwołniała z pracy, mówiąc, że przyjechał ktoś z rodziny.

Spotkaliśmy się na ulicy. Powiedziałem, jak może mnie poznać, ale nie było potrzeby: jak tylko wyszła z pracy, od razu ją poznałem. Nieładna blondynka, o łagodnej i dobrej twarzy.

Ruszyliśmy i opowiedziała mi, jak to Toni wraz z matką przyjechała do niej czwartego maja, nie uprzedzając jej o wizycie, jak je przyjęła, ugościła. zaproponowała mi kawiarnię albo restaurację, zachowując się też w stosunku do mnie jak prawdziwa gospodyni, ale powiedziałem, że wolałbym spacer, i to najlepiej do klasztoru, jeżeli to niedaleko.

Szliśmy powoli stromą, tonącą w zieleni uliczką, leżącą już na peryferiach miasta. Toszka opowiadała:

- Wracam w południe do domu, by je zabrać gdzieś do restauracji na obiad, bo ja w domu nie mam warunków na takie duże gotowanie, a one mówią - my wyjeżdżamy. To było czwartego dnia. Powiedziały, że pobędą z dziesięć dni, a tu... To fakt, że nie przywitałam ich z kto wie jak wielką radością, bo nie mam takich warunków, a do tego pracuję. Dlaczego tak, pytam Weliczkę, czy was czymś uraziłam. Nie, mówi matka Toni, ale ona czuje się nie najlepiej, no wiesz przecież, to jej serce. A ponieważ i ja jestem chora na serce, to wiem, co to znaczy. Dobrze, mówię, niech będzie. Zjadłyśmy razem obiad i poszłam do pracy.

- Czy tędy szłyście? - spytałem.

- Proszę? - dziewczyna nie zrozumiała mnie zajęta opowiadaniem.

- Czy tą ulicą szłyście wtedy do klasztoru?

- Nie - obejrzała się - tędy idzie się prosto do głównego wejścia. My szłyśmy inną ulicą... weszłyśmy od tyłu. Jest tam taki mostek. Tędy też wejść można.

Przed nami zarysowała się sylwetka klasztoru. Widać było wysokie, kamienne, masywne ogrodzenie, nad którym dominowała soczysta zieleń drzew.

- Dobrze, proszę mówić dalej - poprosiłem dziewczynę i powoli poszliśmy w górę.

- Umówiliśmy się, że jak wrócę z pracy, to odprowadzę je na dworzec. Miały stąd pociąg o piątej dwadzieścia trzy.

Ale gdzieś koło czwartej przyszły do mnie do pracy. Zadzwończyły do Gena. Chciały, by przyjechał po nie samochodem. Rozmawiała z nim Toni. Już na samym początku pokłócili się i ona powiedziała: „Gdyby to chodziło o jakąś inną dziewczynę, to pojechałbyś po nią na drugi koniec Bułgarii”. Dodała jeszcze: „Mamie też na tym bardzo zależy”. Potem już tylko wróciliśmy do domu i czekałyśmy. Toni nie czuła się za dobrze z tym sercem. Przyjechał późno, już leżałyśmy w łóżkach. Wstały, wsiadły do samochodu i odjechali.

Doszliśmy do kamiennego ogrodzenia.

- Przejdźmy tędy - wskazała Toszka. - Wyjdziemy prosto na tylne wejście.

Ruszyliśmy wzdłuż muru, pod drzewami.

- Czy zna pani Gena? - spytałem.

Toni opowiadała mi jeszcze, jak leżałyśmy w sanatorium w Bankii, że ma przyjaciela, że jest żonaty. W Banku jednak jej nie odwiedzał. Potem, gdy przyjeżdżałam na badania kontrolne i u niej nocowałam, to raz go widziałam. Przeszliśmy wąski mostek nad jakąś rzeczką, a może potokiem i zatrzymaliśmy się przed małą furtką z grubych dębowych desek. Toszka niepewnie ją pchnęła i furtka drgnęła.

- Otwarte - powiedziała cicho jak złodziej.

Weszliśmy. Dróżka była wąska, zarosła trawą. Po obu stronach jabłonie, w ich cieniu stara ławeczka, dalej widać było podwórko wyłożone płytami chodnikowymi, a jeszcze dalej rysowała się sylweta dużego, białego budynku, niezbyt starego, o szerokich oknach, widać tuż po remoncie. Po naszej prawej stronie poprzez gałęzie drzew przeświecały sylwetki innych budynków, starych, parterowych, z wysokimi strychami i gankami. Był to prawdopodobnie klasztor.

- Właśnie tutaj weszliśmy - cały czas takim cichym głosem ciągnęła Toszka. - Toni usiadła na ławce, bo zmęczyła

się tym podchodzeniem pod górę... Diak stał gdzieś tam... - wskazała ręką. - Był czymś zajęty, ale podszedł do nas. Przeprosiłam go za to, że weszliśmy nieproszone, wyjaśniłam, że to moi goście z Sofii, chciałyby popatrzeć. Matka Toni z zachwytem patrzyła na jabłka, były dojrzałe i wspinalnie wyglądały na drzewach. Weliczka powiedziała, że pewno dużo tych jabłek zbierają. Diak poszedł, o, do tego budynku i przyniósł trzy jabłka dla każdej po jednym. Matka Toni spytała, jak się hoduje tak dorodne jabłka? Diak powiedział, że są pryskane jakąś specjalną trucizną, od której giną wszelkie szkodniki. Wtedy ona przestała jeść jabłko i powiedziała: - Czy człowiek może się tym otruć? Obyśmy tylko my się nie potruły? No, mówi diak, od jednego jabłka? Ale jeżeli ktoś napiłby się tego, to...

W końcu alejki ukazała się jakaś postać w białej koszuli, niebieskich drellichowych spodniach, z długimi włosami, przeszła podwórko i znikła nie zwracając na nas najmniejszej uwagi, a może nawet wcale nas nie zauważyła.

- To on! - trochę przestraszona powiedziała Toszka. - Ten diak... zawołać go?

- Nie ma potrzeby - odwiódłem ją od tego zamiaru. Rozejrzałem się jeszcze dookoła i powiedziałem: - No cóż, wyjdziemy?!

Wyszliśmy. Toszka zamknęła za sobą dębową furtkę.

- A więc to było wszystko, co się tu wydarzyło - powiedziałem, gdy już wracaliśmy ścieżką w kierunku mostku. - Nic więcej się nie działo... Czy czegoś pani nie zauważyła przypadkiem?

- Tak było, jak opowiedziałam - odparła bez wahania.

- Czy więcej tu już nie byliście, nie spotkałyście kogoś?

- Nie byliśmy - zdumiona, a trochę z poczuciem winy spojrzała na mnie.

Schodziliśmy w dół do miasta. Nie mówiliśmy nic. Wśród pierwszych uliczek w mieście zatrzymałem się.

- Muszę się zameldować - powiedziałem i podałem jej rękę. - Dziękuję pani. Teraz będzie pani w pracy, to znaczy chcę powiedzieć, czy nie ma pani zamiaru brać urlopu, gdzieś wyjechać? Jeżeli wyniknie coś nowego, znajdę panią i odezwę się. Do widzenia!

Dziewczyna podała mi rękę o długich drżących palcach.

- Do widzenia.

Gdy znikła za pierwszym rogiem, zawróciłem. Obszedłem kamienne ogrodzenie, przeszedłem mostek i dotarłem do dębowej furtki. Była zamknięta. Spróbowałem nacisnąć jeszcze raz, nie ustąpiła. Rozejrzałem się. Miałem już zamiar okrążyć wszystko i dotrzeć do głównego wejścia, gdy zauważyłem, że pod ogrodzeniem leży kupa żwiru. Jeżeli na nią wejdem, to chociaż kawałek podwórka zobaczę. Tak też zrobiłem, ale okazało się, że zajrzeć nie było tak łatwo. Wewnątrz wzdłuż muru rosły krzaki leszczyny, młode, zielone, szerokie liście zasłaniały widok. Dostrzegłem jedynie rozłożyste jabłonie i białą ścianę szerokich okien w głębi. Przytrzymałem jedną gałąź i nie wypuszczając jej, a jednocześnie tą samą ręką chwytając się muru, drugą rozgarnąłem liście i zrobiłem sporą szczelinę. Zobaczyłem część alejki, którą z opuszczoną głową i z rękami w kieszeniach szedł diak. Czy to usłyszał szum drzew, czy też szelest gałęzi był nienaturalny, faktem jest, że odwrócił się i mnie zauważył.

- Proszę otworzyć - krzyknąłem niezbyt głośno.

Postał trochę i ruszył, ale nie do furtki, a w moją stronę.

- Obcym wstęp wzbroniony - powiedział, przyglądając mi się zmrużonymi oczami, jakby oglądał mój portret w gustownej ramie z liści. - Zabronione!

Miała pociągłą twarz, długie włosy i wąsiki zupełnie jak Tinkow, różnił się jedynie ostrą, kozią bródką.

- To nic, że nie wolno, proszę otworzyć!

Wyglądało na to, że coś w moim głosie zmusiło go do

posłuszeństwa. Podeszedł do furtki, ale niechętnie i z rękami w kieszeniach.

Kiedy i ja się przy niej znalazłem, była otwarta, ale on stał na progu i zagradzał drogę.

Moja legitymacja służbowa jak zawsze zrobiła wrażenie.

Zamknął za mną i szedł z tą samą zamyśloną i niewesołą miną.

- Może usiądziemy tutaj - powiedziałem, gdy znaleźliśmy się koło ławki, a on przyjął to jak rozkaz. Siadł, urwał trawę, włożył źdźbło do ust i żuł.

- Jak się nazywacie?

- Diak Grigorij.

- A wasze świeckie imię?

- Gruju Welew Parmakow...

- Te drzewa są spryskiwane parationem, tak? - usiadłem obok niego rozsuwając gałęzie, które były mnie po krzyżu.

Diak żuł trawę i patrząc przed siebie, ale jakby nic nie widząc powiedział:

- Wczoraj jeden... pan pytał mnie i powiedziałem mu - wydusił z siebie w końcu.

- Co mu powiedzieliście?

- Powiedziałem, że dawałem jednej pani. Było tego mało, nawet na jeden oprysk by nie starczyło.

- Jak się nazywa ta kobieta?

- Nie znam jej nazwiska. Nie znam jej. Pierwszy raz w życiu ją widziałem.

- Jak wyglądała? Ile mniej więcej miała lat?

- Koło pięćdziesiątki. Albo młodsza... W białych spodniach. Na głowie miała kapeluszek podobny do turbanu. Zielony.

- Czy była sama?

- Sama.

- A czy nie były to trzy kobiety, ona i dwie młode?

- Wszystkie trzy były za pierwszym razem. Potem ona była sama. Przyszła następnego dnia. Chciała też sobie drzewka opryskać, więc jej dałem.

- Mówiliście, że pierwszy raz na oczy ją widzieliście.

- To przecież nie ma żadnego znaczenia. Ani jej nie znam, ani nie widziałem wcześniej. Skoro poprosiła, dlaczego miałem jej nie dać?

- Przecież wiecie, że te preparaty są pod kontrolą? Wy za nie odpowiadacie.

Wypluł źdźbło trawy.

- Nie wiem, nikt mi o tym nie mówił. Baj Kinczo też dawał.

- Jaki baj Kinczo?

- Gospodarz.

- Komu dawał?

- Ojcu Siwriewowi. Ubiegłego roku.

- Jeżelibyście teraz zobaczyli tę kobietę, czybyście ją poznali?

Zerwał następną trawę i znów zaczął żuć.

- Nie wiem. Tutaj przychodzi tyle ludzi.

- Ale nie każdemu dajecie truciznę. A do tego ona przyszła tu po raz drugi, i to specjalnie po to!

- Może poznam - niezbyt pewnie i niezbyt zrozumiale odpowiedział starając się wydobyć trawę, która utkwiała mu między zębami.

- Proszę posłuchać, umówimy się tak, jutro koło czwartej zjawicie się w Sofii. Zgłosicie się do portierni Wydziału Śledczego, to jest na ulicę Jancza Nesterowa numer 1, przy więzieniu. Czy wiecie, gdzie to jest? Na portierni powiecie, że wezwał was Dymitr Damow, czy zapamiętacie? Dymitr Damow. Mam nadzieję, że nie podejmiecie żadnych innych kroków! - spojrzałem na niego ostrzegawczo.

Wypluł w końcu tę trawę, co mu w zębach utkwiała, i skulił ramiona.

12.

Ustawiłem je pod przeciwległą ścianą małej salki posiedzeń. Mniej więcej były do siebie podobne, mniej więcej w tym samym wieku. W ubraniach, w których chodzą na co dzień. Prawie równe wzrostem, prawie wszystkie o twarzach, które można by nazwać okrągłymi. Cztery. Tyle udało mi się znaleźć.

Wprowadziłem go. Przyjechał można powiedzieć w mundurze. Być może, chodziło mu o nadanie temu spotkaniu bardziej oficjalnego charakteru, a być może była to forma obrony, w każdym razie był w wysokiej, czarnej czapce, zwanej kamiławką, i w długim, czarnym habicie. Niesforna kozia bródka sprawiała mu wiele kłopotu.

Zanim tu wszedł, wyjaśniłem mu, czego od niego wymagam. Teraz poprowadziłem na sam środek i ustawiłem naprzeciwko, a sam oddaliłem się.

Wpatrywał się W nie napięty, skonsternowany. Najpierw omiótł je wzrokiem jak światłem reflektora. Potem zaczął przyglądać się każdej z osobna. Były to raczej obojętne i dość ponure twarze kobiet w tak zwanym niebezpiecznym wieku.

Napięty i skonsternowany wyraz twarzy zmienił się w kompletne rozczarowanie. Wpatrywał się dalej, potem pokręcił głową i zdeterminowany zwrócił się ku mnie szukając pomocy.

Podszedłem do kobiet.

- Mogą panie odejść - powiedziałem.

Diak patrzył, jak odchodziły, następnie opadł na jedno z krzesełek stojących wzdłuż długiego stołu i ze spuszczoną głową rysował coś na zielonym suknie długim, nieobcinnym paznokciem. Podniósł głowę.

- Ta trzecia! - powiedział w pełni przekonany. - Figura i krok ten sam. Wtedy była bardziej umalowana,

bardziej wyfiokowana i jakaś... młodsza...

Trzecią kobietą w rzędzie była Welika Panowa.

Wyszedłem na korytarz. Stały każda osobno, nie znały się przecież, nie miały o czym ze sobą rozmawiać.

- Proszę podejść, obywatelko Panowa! - skinąłem w jej kierunku.

Stała oparta o kolumnę, w pierwszej chwili nie posłuchała mnie, we wzroku dostrzegłem jakiś sprzeciw, ale przemogła się. Była w ciemnym kostiumie i bluzce w drobne różowe i zielone kwiatuszki. Makijaż był ledwie widoczny.

- Proszę siadać! - wskazałem na krzesło po drugiej stronie stołu, gdy weszliśmy do sali i zamknąłem drzwi.

- Siadajcie i wy! - zaprosiłem diaka do tego samego stołu, tyle że po przeciwnej stronie.

Ja usiadłem u szczytu stołu, tam gdzie zazwyczaj siada Ocet lub prowadzący nasze narady.

Siedziała z przymkniętymi powiekami, a może w ogóle miała zamknięte. Diak nie spuszczał z niej oka.

- Czy poznaje pani tego człowieka? - spytałem cicho, będąc przygotowanym na powtórzenie tego samego pytania głośniejszym, lecz zauważyłem, że podniosła głowę. Podniosła ją tak wysoko, że mogła ogarnąć wzrokiem cały sufit, ale oczu nie otworzyła, jedynie wyszeptwała:

- Nie znam go!

- To ta sama! - prawie krzyknął pop. - Ona była u mnie... z jeszcze jedną młodą kobietą i Toszką... Dwa razy była. Pierwszy raz z nimi, a potem na drugi dzień sama. Dałem jej. Poprosiła... - przez cały czas patrzył to na mnie to na nią.

- Pierwszy raz w życiu widzę tego człowieka! - powiedziała głosem czystym i zdecydowanym patrząc diakowi prosto w oczy.

- Ależ proszę pani, jak tak można, to grzech! -

zachnął się urażony. - Przecież przyszłście tylnym wejściem, chciałyście obejrzeć. Pytałyście o drzewa. Dałem wam jabłek...

- Nie znam pana! - nie spuszczała z niego ponurego i zionącego nienawiścią wzroku.

- Jak to! A następnego dnia rano? Byłem w ogrodzie, wapnowałem drzewa... - zwrócił się do mnie. - Pa... towarzyszu Damow, mogę opowiedzieć. Teraz już sobie przypominam, bardzo dobrze sobie przypominam. Opowiem wszystko po kolei - usadowił się wygodniej na krześle.

Skinąłem głową.

- A więc wapnuję drzewa, patrzę, a tu furтка otwiera się i wchodzi ta pani - skinął ręką w stronę Weliki. - Mówi dzień dobry. Bóg zapłać, odpowiadam - diak spojrział na mnie i wyjaśnił - my tak w klasztorze odpowiadamy. Byłem tylko w koszuli, umazany, umorusany, trochę głupio mi było. Ale się zmęczyłam, mówi ta pani i siada na ławce. Rzeczywiście ciężko oddychała. Przyszłam, mówi, bo mam do pana wielką prośbę. Bardzo mi się podoba ten ogród, czy mogłabym dostać trochę tego preparatu, którym spryskujecie tu drzewa? Ja też mam kilka drzewek, ale coś nie trzymają mi się i nigdy nie mam tak wspaniałych owoców, jak wy tutaj. Więc proszę, jeżeli to możliwe. Byłem zdumiony. Miła, przyjemna, dlaczego miałbym nie dać? Zostało trochę w gąsiorku, na jedno pryskanie i tak nie starczy. Teraz spodziewamy się następnej partii, ale jeszcze nie dostaliśmy. Proszę więc trochę poczekać, a jak nie, to zaraz dam z tego, co jest. Poszedłem do izby, zrobiłem lejek ze starej gazety i nalałem z gąsiorka do butelki po lemoniady - może tak połowę i troszkę. Zawinałem butelkę w czysty kawałek gazety i podałem mówiąc, proszę. Dziękuję, ile jestem winna? - spytała. Nic, mówię, to drobiazg. Rozwinęła butelkę, przyjrzała się jej, być może chciała zobaczyć, ile nalałem. O, mówi, jaka ładna butelka, bardzo wygodne ma

zamknięcie, teraz takich nie robią. Zrozumiałem, co chciała powiedzieć, wróciłem do izby, wziąłem jeszcze jedną butelkę, tym razem pustą, i podałem jej mówiąc, że skoro już tak zacząłem wszystko rozdawać, to niech i tę butelkę przyjmie. Tyle tych butelek u nas, że nawet nie wiadomo, skąd się wzięły. Podałem. Wzięła mówiąc: Dziękuję, dziękuję! - I ruszyła do wyjścia. Odprowadziłem ją. Czy tak było? - zwrócił się do Panowej. Przez cały czas siedziała twarzą do ściany z głową opartą na łokciach, które trzymała na stole...

- Proszę powiedzieć, czy tak było? Czy mówię prawdę? Boże!... Czy pani jest wierząca?... - mówił do jej pleców.

Nie zmieniła pozycji.

Wstałem, zbliżyłem się do diaka, który wiercił się na swoim miejscu podniecony i rozgorączkowany, jakby siedział na rozżarzonych węglach, gładząc nerwowo brodę.

- Proszę poczekać na korytarzu! - powiedziałem.

Ale on się uparł.

- Niech powie, czy tak nie było. Wychodzi na to, że ja kłamię. Niech się przyzna. Ja się przyznaję! Może jestem winien, może zblądziłem, ale przyznaję się, żałuję.

- Proszę wyjść, proszę! Poczekaście tam! - powtórzyłem mocniej.

Wstał i wyszedł. Ze sposobu, w jaki się podniósł, z całej postaci widać było, że jest zły. Na odchodne trzasnął drzwiami.

Przespacerowałem się wzdłuż całego stołu i usiadłem na miejscu diaka.

Panowa jakby spała.

Kiedy przebrzmiał podenerwowany i podniesiony głos diaka, pokój wyglądał jak martwy. Cisza potęgowała się i zagęszczała. Na parapecie po tamtej stronie okna przysiadł gołąb szaro-czarny z fioletowymi refleksami na grubym karku, zajrzał do nas czarnym oczkiem okolonym czerwoną

obwódka i bezszelestnie jak kamyk opadł na dół. Welika podniosła głowę.

- Nie mam żadnego preparatu - powiedziała złamanym głosem.

- Wiem, że pani nie ma - odparłem spokojnie - bo go pani oddała. Miała pani, ale dała pani. Komu? Właściwie, to i to wiem. Wiem już komu. Pytanie raczej powinno brzmieć, kto mu go przekazał? Pani... czy pani córka?

Nie działałem z rozmysłem; spontanicznie i w sposób naturalny zadawałem to pytanie także sobie. Odwróciła się, krzeselko zatrzeszczało.

- Proszę nie mieszać w to mojej córki! Ona nie ma z tym nic wspólnego!

Ale ja z uporem szukałem odpowiedzi na pytanie.

- Ma. Ma, obywatelko Panowa! Ona właśnie ma z tym coś wspólnego i to więcej niż pani.

- Nie ma, powiedziałam już! Ja dałam butelkę!

Nie byłem zdumiony, ale jeszcze nie bardzo przekonany, że to była prawda.

- Nie ma dowodów! - powiedziałem. - Pani przyznaje się jest bez znaczenia i nie bardzo mnie przekonuje. Jako matka chętnie pani weźmie winę na siebie.

Pochyliła się lekko do przodu, stuknęła palcami po stole.

- Ja mu dałam! W samochodzie, kiedy wracaliśmy. Kiedy przyjechał po nas.

- Dlaczego nie mówiła pani o tym do tej pory? Dlaczego pani milczała? Dlaczego zaprzeczała?

- Nie rozumiem - widać było, że pragnie zebrać myśli.

- Dlaczego zaprzeczała pani, że widzieliście się przed tym całym nieszczęściem i że dała mu pani truciznę?

Cofnęła się, otworzyła torebkę, wyjęła tę swoją chusteczkę.

- Bo się bałam. Nie chodzi o mnie, a o Tonie. Mam tylko jedną córkę. Jestem matką. Która matka nie pragnie

widzieć swego dziecka szczęśliwego, zabezpieczonego? Trzy lata czekałam, cierpiałam... tego żonatego mężczyznę...

- Czekala pani, że się rozwiedzie, że będzie wolny - ciągnąłem, a właściwie podsunąłem jej myśl. - Pragnęła pani, by się ożenił z córką.

- A dlaczego nie? Nie należy do przystojnych, ale ma wyższe wykształcenie, odpowiednią pracę... w handlu zagranicznym... Dlaczego nie?

- Właściwie nie ma w tym nic złego. Czego się pani bała?

Skrzyżowała ręce na piersiach i zaczęła mówić głosem opanowanym, powoli, być może ważyła każde słowo. Od czasu do czasu unosila chusteczkę do ust gestem, do którego już się przyzwyczaiłem.

- Wieczorem po... po otruciu Geno przyszedł do nas.

Byliśmy we dwie z Tonią. Był bardzo zdenerwowany, podminowany. Wracam z milicji. Milicja mnie śledzi. Jeżeli będą was o coś pytać, to od dwóch lat nie widzieliśmy się, nie słyszeliśmy o sobie. Nie mam z wami nic wspólnego. Rozumiecie? Inaczej zniszczę was! Każdego, kto stanie mi na drodze, zniszczę. Was także. Okiem nawet nie mrugnę. Mnie dopadł w korytarzu, rozdarł mi sukienkę. Ty mi nic nie dawałaś, mówi, rozumiesz? Nie powiesz ani Toni, ani nikomu! A jeżeli powiesz, to całą winę na siebie zwałę. Potem uderzył mnie i wypadł na dwór. Ja za nim. Czekaj, mówię, co się dzieje? On biegnie, ja za nim... na ulicę. Naprzeciw skwerku przy ambasadzie zatrzymał się. Chodź, chodź, to ci powiem. Zabiłem żonę! Otrułem ją i jej dwie siostry. Ale dlaczego, mówię, zabiłeś siostry? Dlatego, że tak lepiej, mówi. Nikt nie będzie wątpił w przypadek.

Umilkła.

Siedziałem zapatrzony przed siebie. Nie miałem pytań, nie wiedziałem, o co dalej spytać. Wstałem, podszedłem do miejsca, gdzie zazwyczaj siada Ocet. Naciśnąłem guzik pod

blatem. Postąpiłem i wyszedłem. Dyżurny nadchodził korytarem.

- Zaprowadź na dół tę kobietę! - rozkazałem. - Dam ci formularz, tylko wypełnij.

Nie wróciłem do sali, poszedłem do swego gabinetu. Geno Tomanow powinien czekać w biurze przepustek. Poprosiłem go na dziesiątą. Spojrzałem na zegarek. Było pięć po jedenastej. Nic takiego. Począł sobie.

Zadzwoiłem do biura przepustek.

- Był tutaj - powiedziała dziewczyna. - Pytał o was, ale teraz go nie widzę. Obywatelu Tomanow! - slyszalem, jak woła z okienka. - Jest tutaj - powiedziała po chwili. - Czy wpuścić?

- Wpuście!

Nie zrobiły na mnie najmniejszego wrażenia ani jego naburmuszona mina, ani spojrzenie, jakim mnie przywitał od samego progu.

- Obywatelu Tomanow - spojrzałem mu prosto w oczy - obywatelka Welika Panowa przed chwilą zeznała, że dała wam butelkę z parationem, siódmego maja, w samochodzie, w drodze powrotnej z Kjustendiłu!

Żrenice oczu rozszerzyły mu się ogromnie.

- Ona to panu powiedziała?

- Tak, przed pięcioma minutami.

Nerwowo zacierał ręce, spochmurniał i pokręcił głową.

- Dobrze, więc ja też powiem! Nie dostałem żadnego parationu! Proszę to zapisać do protokołu! Ona rzeczywiście miała paration. Przywiozła go z Kjustendiłu. Na dzień przed tym nieszczęściem byłem u nich. Ona znów swoje - jak to będzie, czy zawsze tak będzie i tak dalej. Zagroziła, że wieczorem przyjdzie do nas, byśmy się dogadali raz na zawsze... w obecności mojej żony! Przyjdiesz, ale ja ci chyba łeb urwę, powiedziałem! Zdenerwowałem się i wyszedłem. Wieczorem rzeczywiście przyszła. Żona moja, Wenka, w domu! Zaczęła jej ubliżać, wyzywać od różnych,

na moich oczach! Wenka wyleciała na podwórko. Ja za nią, by ją uspokoić trochę. Wtedy Panowa nalala trucizny do oleju... butelka stała na szafie... przy kuchni... Wenka uspokoiła się, wracamy, ona jeszcze w domu, więc ją wyrzuciłem... ale zdążyła nalać trucizny!

- I pan o tym wiedział?

- To nie mogło być inaczej! - Nie była to odpowiedź na moje pytanie, a dokończenie myśli.

- Czy dlatego nie jadł pan obiadu następnego dnia w domu?

- To już zupełnie inny problem - z ulgą i spokojnie odwrócił ku mnie głowę Tomanow.

Znów umilkłem nie wiedząc, o co jeszcze zapytać. Znów nacisnąłem guzik dzwonka. Wyszedłem.

- Tego też na dół! - powiedziałem do dyżurnego.

I znów nie wróciłem do pokoju. Szedłem korytarzem do łazienki umyć ręce i ochłapać twarz zimną wodą. Czulem się jakiś upaprany.

13.

Tym razem doktor Taszew nie poszedł ze mną. Wysłał siostrę Zachariewą, by mi towarzyszyła.

Newenę przeniesiono do innego pokoju, na sąsiednim łóżku też leżała chora, potężna, czarna, taki raczej męski typ, nawet wąsiki rysowały się pod nosem.

- Kochana moja - jeszcze od progu zwróciła się do niej Zachariewą - czy ja ci już dawałam zastrzyk?

Kobieta spojrzała na nią zdumiona.

- Masz przecież zastrzyki przepisane, a ja zupełnie o tym zapomniałam, wstawaj, kochana! - mówiła Zachariewa biorąc ją pod pachy i pomagając wstać. - Chodź, chodź -

powiedziała podtrzymując chorą i wyprowadzając z pokoju.

Newena leżała cicho na poduszkach. Delikatna, dziecięca prawie twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, wielkie przymknięte oczy, pod długimi, czarnymi rzęsami kontrastującymi ze złotym kolorem bujnych włosów. Dobra twarz cichego, dobrego człowieka. Była i jeszcze jest ładna tą szczególną skandynawską urodą.

- Jak się pani czuje? - usiadłem na stolku przy łóżku.

- Dobrze - cicho i machinalnie odpowiedziała, nie podnosząc nawet powiek. Prawdopodobnie brała mnie za lekarza.

- Obywatelko Tomanowa - dotknąłem jej słabej, białej ręki o długich palcach z poodpryskiwanym lakierem na paznokciach, leżącej spokojnie na piersiach, na kocu. - Czy może pani, czy ma pani ochotę na rozmowę... kilka zaledwie zdań...

Zupełnie prawie nie zareagowała, ale ja byłem natarczywy.

- Jak to się stało?

- Nie wiem - prawie od razu tym samym cichym głosem odpowiedziała na moje pytanie.

Męczyłem się ogromnie, dręczyła mnie niepewność. Jej stan peszył mnie, nie wiedziałem, jak nawiązać z nią kontakt, nie mogłem zebrać myśli, zdecydować się na jakiś porządek zadawania pytań.

- Kiedy przyjechały pani siostry? - zapytałem tak na los szczęścia uważając tylko, by nie rozdrapywać niepotrzebnie niezabliźnionej jeszcze rany.

Być może tylko tak mi się wydawało, ale widziałem, jak lekko zadrżała. W kącikach oczu pojawiły się łzy i popłynęły po bladych policzkach.

- Przyjechały na trochę i odjechały... Odjechały... a potem... - otworzyła w końcu oczy i spojrzała na mnie, były

duże i czarne. - Gdzie one są? Dlaczego nie przychodzą?

- Proszę teraz o tym nie myśleć - położyłem rękę na jej ramieniu. - Jest się komu martwić. Czy razem jedliście obiad?

- Miał coś do załatwienia. Spał w domu. Wyszedł rano... miał coś do załatwienia... On jest bardzo dobry. On jest niewinny. One są winne, wpięty się w niego jak kleszcze. Ale on mnie bronił, wypędził ją... był po mojej stronie...

- Pani wtedy wyszła - ostrożnie i spokojnie kierowałem rozmową. - On też wyszedł za panią, by panią uspokoić. Ona sama została w pokoju. Czy myśli pani, że to wtedy... Przecież miała przy sobie taką butelkę? Czy myśli pani, że wtedy mogła coś nalać... truciznę...

- Gdzie nalać? - zauważyłem w jej spojrzeniu ożywienie i zainteresowanie.

- Na przykład do oleju. Podobno był na szafie.

- Nie, nie było go tam. Ja butelkę z olejem wcześniej schowałam, jak sprzątałam. A jej butelkę Geno wyrzucił.

- Kiedy wyrzucił?

- Kiedy wróciliśmy do pokoju. Wyrzucił przez okno. Ją też jak szmatę wyrzucił. On jest bardzo dobry. On jest niewinny. Ludzie mogą pomyśleć, że on... To nieprawda. On jest niewinny...

- Obywatelko Tomanowa - starałem się, by głos mój brzmiał miękko i spokojnie - teraz czuje się pani znacznie lepiej, jest już pani spokojniejsza, czy moglibyśmy wrócić do tamtych dni, czy może mi pani powiedzieć na przykład, co działo się następnego dnia. Już po tym, jak mąż przepędził Panową. Może zaczniemy od tego momentu... Co się działo potem? Czy rozmawialiście o czymś? Czy się kłóciliście?

Pomilczała trochę, głowę odrzuciła w bok.

- Nie, nie kłóciliśmy się. Poszliśmy spać... Spał...

spał ze mną... - zarumieniła się lekko. - Rano poszedł do pracy jak zawsze. Czułam się źle, podle...

- Czy była mowa o obiedzie? Czy mieliście jeść razem?

- Mówiliśmy o tym. Obiecał, że przyjdzie. Powiedziałam, że kupiłam kabaczki. Sprzątałam, gotowałam. Zaczęłam obierać kabaczki, kiedy przyjechały siostry.

- Która to mogła być godzina?

- Myślę, że jakieś pół do dziesiątej. Jechały na wycieczkę.

- Czy pani wiedziała, że przyjadą?

- Wiedziałam, że dostały nagrodę ze Spółdzielni. Gdy byłam na wsi, mówiłyśmy o tym, ale kiedy dokładnie... Dla mnie była to niespodzianka.

- A dla pani męża?

- Moja rodzina niezbyt go interesuje, szanuje ich, ale... Były mniej więcej pół godziny. Pogadałyśmy, poczęstowałam je. Mówiły, że się spieszą, bo autokar mają o jedenastej. Chciałam je odprowadzić, ale kazały mi zostać. Nie raz już były i wiedziały, jak trafić na miejsce zbiórki. Chciały obejrzeć miasto i coś tam kupić jeszcze... a potem do autobusu. Powiedziały, że już nie wrócą.

- I pani została sama.

- Zostałam sama. Powiedziały, że już nie wrócą. Patrzą, kurczak... Zostawiły kurczaka, gotowanego... Postanowiłam więc zamiast kabaczków zrobić kurczaka, bałam się, że inaczej się popsuje. A i Geno lubi... chciałam mu zrobić niespodziankę.

- Czy w tym czasie nie przyszedł ktoś do pani? Sąsiadka? Znajoma?

- Nikogo nie było. Była chyba u siebie sąsiadka, Zorka ma na imię, ale gdzieś koło dziesiątej z kawałkiem wyszła, zaraz po moich siostrach. Stałam tak... ciężko mi było na duszy... usiadłam... popłakałam trochę...

- Dlaczego? Tak bez przyczyny?

- Tak... Ciężko mi było... tęskniłam za dzieckiem, ono

ciągle samo na wsi... i to przez nasze nieporozumienia... przeze mnie... Taka trucizna jest niczym w porównaniu z trucizną, jaką życie potrafi zgotować... - i znów w oczach pojawiły się łzy. Wytarła je chusteczką, którą wyjęła spod poduszki. - Koło jedenastej wzięłam się za tego kurczaka, był ugotowany, więc niewiele mu było trzeba... Zrobiłam wszystko co należy... I właśnie wtedy do okna zapukała sąsiadka, Dorka, z tego domu po sąsiedzku, oni mają telefon i są bardzo usłużni. Geno dzwoni, powiedziała. Pobiegłam. Geno powiedział, że ma do kupienia samochód, ale że musi od razu zapłacić, więc mam wziąć pieniądze i szybko do niego przyjechać... Pomyślałam o tych w szufladzie. Nawet miałam go spytać, czy mam wziąć z szuflady? Ale w porę ugryzłam się w język, przypomniałam sobie, że on tę szufladę ciągle trzyma pod kluczem. Chowa tam pieniądze... i inne rzeczy... wiem o tym - twarz trochę przygasła, ale tylko na chwilę. - Miałam swoje pieniądze, zbierałam na meble do sypialni i nową kapę... a po co mi to... Powiedział, bym szybko przyjechała na dworzec Iskyr, wyjaśnił dokładnie, gdzie to jest, do jakiegoś magazynu. Powiedziałam, dobrze... Pobiegłam do domu, wzięłam pieniądze, zamknęłam drzwi i poszłam na przystanek.

- Która to była godzina?
- Myślę, że gdzieś koło wpół do dwunastej. Zanim dotarłam do dworca Wschód, zanim nadjechał autobus, potem sama jazda... na miejsce dotarłam koło wpół do pierwszej.
- Czy czekał na panią?
- Ja się tam pogubiłam. Patrzą, różne magazyny, i do tego ogrodzone drutem kolczastym. W końcu znalazłam... i Geno przyszedł.
- Skąd przyszedł? Może przyjechał?
- Przyszedł, może chodził szukać mnie na przystanek, nie wiem. Dałam mu pieniądze.

- Czy rozmawialiście?

- Tak, powiedziałam, że przyjechały siostry, ale już pojechały. Że obiad jest gotowy i możemy jechać do domu. Ale on nie chciał. Rano mówił, że będzie na obiedzie... Prosiłam, lecz on nie chciał! Więc poszłam sobie.

Głos jej osłabł, jakby zasypiała, schowała ręce pod kocem, którym się szczelnie owinęła, jakby jej było zimno.

- Kiedy wróciłam do domu, okazało się, że siostry jeszcze raz przyszły. A powiedziały, że już nie wrócą... - usłyszałam jej głos podobny do westchnienia.

Umilkła. Milczałam i ja zamyślony.

- Przecież zamknęła pani mieszkanie? Jak weszły? Kto im otworzył? - zapytałam z naciskiem.

- Geno! - usłyszałam jak echo. - On tam był. Kiedy wróciłam, zobaczyłam... zobaczyłam klucz w tym miejscu, gdzie zostawiamy dziecku. Jego klucz. W tych drzwiach nie ma zatrasku, trzeba zamykać na klucz. Dał siostrom, by zamknęły, i powiedział, gdzie mają zostawić.

- Więc pani jest pewna, że w tym czasie był w domu? Ale przecież zadzwonił do pani z dworca? Przecież tam się pani z nim spotkała?

Dość długo nie odpowiadała.

- Nie wiem - usłyszałam w końcu. - On był... szufla da była otwarta... zapomniał zamknąć. Jestem pewna... bardzo dobrze pamiętam, że ją... A i ten jego klucz był na miejscu. Gdyby nie ten klucz, gdyby im nie otworzył... nie stałoby się to... - Odrzuciła koc i spojrzała na mnie. - Gdzie one są? Czy w szpitalu? Czy tutaj są?

Nie mogłam tak od razu wymyślić nic sensownego. Odwróciła się i zapłakała.

- Jak będę teraz żyć? Po co?... dlaczego mnie odratowano? - Ledwie mogłam zrozumieć poszczególne słowa.

Zjawiała się siostra, spojrzała na chorą i szybko podeszła.

- Co się stało? - chwyciła jej rękę w przegubie. - O

czym rozmawialiście? - spojrzała na mnie z wyrzutem. - Proszę, niech pan wyjdzie! Czy nie widzi pan, że chora...

Wyszedłem.

Cały ogromny korytarz był pusty. Przynajmniej ja niktogo nie widziałem. Szedłem na dół po schodach, po niekończącej się ilości stopni.

A więc on był w południe w domu! On otworzył siostrą. I ta szuflada... Co to za szuflada, o której mówi Niewena? Zamknięta... potem otwarta? Co znaleziono w niej w czasie rewizji? Nic szczególnego... Oczywiście, że nic, jak tu znaleźć?

Teraz nie musiałem już dzwonić, szukać go, wysłać ludzi, by go odnaleźli i doprowadzili. Miałem go pod ręką. Nie widzieliśmy się od chwili ostatniego przesłuchania. Specjalnie nie wróciłem do sali, tylko wysłałem dyżurnego, by go zaprowadził do aresztu. W chwili słabości pragnąłem zaoszczędzić sobie sceny, w której on by protestował podniesionym głosem, chociaż wiedziałem, że coś takiego mnie nie ominie.

Zawołałem dyżurnego i wręczyłem mu odpowiednie polecenie.

Po pewnej chwili do gabinetu wprowadzono Tomanowa.

- To skandal! - autentycznie rozszłoszczony i podniecony zaczął już od drzwi. - To jest skandal! Ja złożę zażalenie! W tym państwie jest jeszcze prawo! Kto pana upoważnił?

Byłem na to przygotowany i spodziewałem się takiej reakcji, więc spokojnie poczekałem, aż się wykrzyczy.

- No, obywatelu Tomanow, karty na stół! - powiedziałem spokojnie, kiedy wreszcie przestał krzyczeć i zajął miejsce naprzeciwko mnie. Być może zauważył mój ton i te niebezpieczne nutki w moim głosie, dość złowieszczo brzmiające, bo uspokoił się, a w oczach i na twarzy dogasały

resztki gniewu i oburzenia zmieniając się w zaciekawienie i gotowość obrony.

Spojrzał na mnie, zmarszczył brwi i jego zdaniem teraz powinienem w wyrazie jego twarzy dostrzec gryzącą ironię.

- Już?

- Tak, już! - powiedziałem i poczułem jakąś wewnętrzną ulgę, choć doprawdy minimalną. - Nie wiem, jaki to miało sens. No ale taka jest psychika każdego przestępcy!...

- A to i przestępca się znalazł? Gratuluję! A kto to jest? Jeśli to nie tajemnica! - patrzył na mnie spokojnie, ale wyczekująco.

- Dla pana żadna to tajemnica! - błyskawicznie odparowałem i to przywróciło mi wewnętrzną równowagę. - Pierwszą pańską myślą i jedynym celem było ukryć przede mną swoje powiązania z Toni. Przemilcza pan z uporem, mimo iż zupełnie niepotrzebnie, odwiedziny starej, bo to dekonspiruje pana. Kłamie pan, że wieczorem po zabójstwie spał pan u przyjaciela tramwajarza, gdyż inaczej droga prowadzi prosto do sypialni kochanki. Kjustendił zapamiętał pan jedynie z jakiejś szkolnej wycieczki, nie wspomina pan nic, że stosunkowo niedawno odwiedził to miasto, bo nie był tam pan po prostu na wycieczce, a po to, by zabrać Toni i jej matkę. W swoim, jak to się mówi, żelaznym alibi tak poustawił pan fakty, by nic nie powiedzieć o spotkaniu z Toni na skwerku za Mauzoleum... No poza tym ta sprawa bardziej się komplikuje, i to fatalnie, żeby użyć tego banalnego określenia, ale o tym później... W ogóle jak ognia boi się pan każdego słowa, które mogłoby poprowadzić na ten trop, bo bardzo dobrze pan wie i czuje instynktownie, że jeżeli ta historia ujrzy światło dzienne, to wszystko będzie jasne - kochanka, zmienawidzona żona, chce się od niej uwolnić, więc ją wykańcza! Było to zupełnie

bez sensu! Bez sensu i niepotrzebnie! O tym waszym romansie wie więcej osób, niż wam się wydaje. A szczególnie pańska żona. Trzy lata chodzi pan z tą dziewczyną, obiecywał, że się rozwiedzie, że zlikwiduje... przynajmniej przeskodę do ponownego ślubu, że się pan ożeni...

- Nie obiecywałem! - przerwał mi ostro.
- Obiecywał pan! Nawet wniósł pan sprawę do sądu!
- Wycofałem już!
- Tak, wycofał pan, ale już po fakcie.

Milczał.

- Tylko raz pańskie zastraszanie podziałało, pańska współpracowniczka, Welika Panowa, milczała. Nie powiedziała nic o wycieczce do Kjustendiłu, nie powiedziała też nic o parationie. Ale i to zostało wyjaśnione. Ona znalazła truciznę i włożyła w pańskie ręce. W samochodzie, w drodze powrotnej z Kjustendiłu. Pan się kłócił. Może ona to panu kazała. Może zmuszała pana, dodawała odwagi. To oddzielna sprawa. Ważne jest to, że to pan dostał paration. „Nareszcie znalazłem - miał się pan wyrazić - rakiję, której szukałem”. Chowa pan truciznę i czeka na dogodną okazję. Paration miał pan u siebie. Mówię miał, bo teraz go pan nie ma. Ale nie wiemy, co się z nim stało, gdzie jest?

Zrobiłem przerwę, którą on skwapliwie wykorzystał.

- A więc każdy, kto posiada paration, jest potencjalnym trucicielem własnej żony, tak?

- Nie każdy, ale pan tak! Po co panu ten paration?

- Mam działkę w Simeonowie, mam drzewa.

- Ile tych drzew?

- Sporo, siedemnaście... Dwadzieścia trzy...

- I po to potrzebne panu było pół butelki parationu?

Niech pan nie zmyśla! Zazwyczaj kłamał pan w lepszym stylu!

Wstałem, przeszedłem się powoli.

- A teraz zatrzymajmy się na tym fatalnym dniu... -

po raz drugi użyłem tego idiotycznego słowa i sam się poczułem nieswojo - jak mówią adwokaci... - spróbowałem załagodzić. - Tego dnia, na który ma pan tak żelazne alibi. A ściślej mówiąc, chodzi o te pół godziny lub nawet całą, co obraca wniwecz pańskie alibi.

Zrobiłem kilka kroków po pokoju. Milczał, ale wodził za mną wzrokiem, co bardzo mnie drażniło.

- Co się dzieje? Tak... - zbierałem myśli. - Właściwie cofnijmy się trochę, bo to się bezpośrednio wiąże... Wizyta starej wieczorem... Ona znalazła środek, podpowiedziała sposób, pan przyjął, zgodził się, obiecał. Ona czeka, traci cierpliwość, zaczyna wątpić w pana. I przychodzi wieczorem do domu, wtedy kiedy jest i żona. Nie po to, by przynieść tę idiotyczną maść z norek, oczywiście, że nie, ale by pana mieć w szachu, by życie uczynić nie do zniesienia. Pan robi pokazową awanturę, wygania ją z domu, ale jest to kres pańskich obiekcji i początek działania. Noc minęła normalnie, wyjątkowo normalnie, powiedział bym nawet o pańskich układach z żoną, ale tylko po to, by nie budzić podejrzeń. Poszedł pan do pracy. Przedtem normalne pytanie o obiad, o to, co będzie na obiad? Oczywiście odpowiada pan, że tak, że wróci pan, że zjecie razem. Idzie pan do pracy. O wpół do dziesiątej dzwonią do pana w sprawie samochodu. To trochę krzyżuje pańskie plany. Ale stracić tego samochodu nie ma pan ochoty, więc pisemka, podania, podpisy i tak dalej... Spieszy się pan jest zdenerwowany, to zrozumiałe. Pięć po jedenastej jest pan na dworcu motorem przyjaciela Malinowa. Czeka pana jeszcze jedna niespodzianka, za samochód trzeba od ręki zapłacić i od ręki odebrać. Możemy przyjąć tę wersję. Dzwoni pan do żony, by przyjechała z pieniędzmi. Ale... dzwoni pan drugi raz! Dlaczego?

- Dlatego że... - zaczął nieśmiało. Podniosłem rękę.
- Tutaj olśnienie, można ten moment wykorzystać,

żona przyjedzie do pana, by dać pieniądze... Dzwoni pan po raz drugi, by się upewnić, że rzeczywiście wyjechała z domu... I bajeczka, że leżał pan w cieniu i czekał na żonę, jest oczywistym kłamstwem!... Wsiada pan na motor i jedzie do miasta...

- Umówiłem się z Tonią w mieście... - próbował wytłumaczyć się Tomanow.

- To prawda! - znów mu przerwałem. - I rzeczywiście spotkał się pan. Na pięć minut. Pan się spieszył, bardzo się pan spieszył. Do domu. Tam teraz nie ma nikogo. Żona jedzie na dworzec, do pana. Zorka w tym czasie ma próby. I najważniejsze, pan sam przecież znajduje się w magazynach na dworcu Iskyr. A naprawdę jest pan w domu!... Jedzenie na kuchni. Trucizna w pańskiej szufladzie. Nikt tam nie zagląda, bo tylko pan ma do niej klucz. W minutę wszystko zostało przygotowane! Niedługo wróci żona i zje to. Sama! Bo pan nie przyjdzie na obiad...

- Z szuflady wziąłem pieniądze! - wykrzyknął prawie Tomanow i wyprostował się. - A nie paration! Nie starczyło mi pieniędzy na zarejestrowanie samochodu...

- Ale paration był w szufladzie, prawda? Czy ma pan tam paration?

- Miałem, ale wziąłem nie paration, a pieniądze.

- No, teraz najlepiej pan to ujął! - powiedziałem ironicznie. - Brzmi bardzo prawdopodobnie. Ale paration był w szufladzie, prawda? - nacierałem teraz ostro. - Był tam paration.

- Był - przyznał z rezygnacją. - Ale wziąłem pieniądze, nie butelkę.

- Gdzie więc jest butelka? Podczas rewizji nie znaleźliśmy żadnej butelki. Gdzie się podziała? Wyparowała?

- Nie wiem! Ja... ja...

Siedział jak człowiek, który zrozumiał, że dalsze mówienie rzeczywiście nie ma sensu.

- Jest jeszcze jeden interesujący szczegół. Przyjeżdżają siostry. Niespodziewanie. Wchodzą... Ale jeżeli i one będą to jadły? Nie, nie ma odwrotu. Tak nawet lepiej, nikt nie będzie podejrzewać. Jest pan uprzejmy, zaprasza, by się rozgościły... one też nie mogą niczego się domyślić... Mówi pan, że zaraz musi iść, wyjaśnia dlaczego... zostawia im pan swój klucz... Wychodzi pozostawiając je losowi. Za chwilę znów będzie pan na dworcu, żona tam pana znajdzie. Wprawdzie nie od razu, bo pan się trochę spóźnił przez tę wizytę sióstr, ale ona tego nie zauważa, to głupia gęś. Bierze pan pieniądze i wysyła na los, jaki jej pan zgotował.

Z dawnej pewności siebie Gena i zdolności panowania nad sobą nie pozostało śladu. Siedział otumaniały, patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Powtarzał tylko:

- To nieprawda!... To nieprawda!...

Zadzwoń. Podeszedłem do niego.

- Proszę przejść do drugiego pokoju i napisać wszystko tak, jak było. Ze szczegółami i przejrzystie. Może to jakoś panu pomoże!

Po chwili zjawił się dyżurny.

- Odprowadzić! -, powiedziałem. - Dać papier i atrament i niech pisze.

Geno bez oporu oddał się w ręce milicjanta. Powlókł się w stronę drzwi powtarzając w kółko:

- To nieprawda!... To nieprawda!...

Nie mówił tego do mnie, upewniał tylko siebie.

Podeszedłem i usiadłem za biurkiem, podparłem głowę. Poczulem się bardzo zmęczony, ale uspokojony. Naprawdę bardzo byłem zmęczony. Ale nie byłem tak do końca spokojny i nie bardzo wiedziałem dlaczego.

14.

Po raz pierwszy miałem okazję oglądać morze w maju. To po prostu bajka. Dni były długie, ciche i gorące. Morze

bardzo jasnoniebieskie. Wieczorem zjawiał się wschodni wiatr, poruszał wodę, rzucał na nią białe koronki piany. Przejrzyste, nieziemskie niosły ze sobą lekki chłód. Woda była ciepła - dwadzieścia cztery stopnie, dwadzieścia trzy, dwadzieścia pięć... - przyglądałem się każdego ranka liczbom wypisanym kredą na tablicy... I ta zieleń, te dopiero co rozkwitłe głogi, ta pierząca się topola kanadyjska, ta trawa wysoka, kłosząca się, ale jeszcze niespalona słońcem...

Dawnymi laty albo w ogóle nie mogłem przyjechać nad morze, albo bywałem tu późną jesienią, pod koniec września, października, nawet w listopadzie. Było to zupełnie inne morze, ciemniejsze i jakby gęściejsze, starsze, leżała na nim patyna odchodzącego lata. Plaże były zimne i mokre, wysmagane wiatrem i falami, niedotknięte grabiami.

Od czasu do czasu zaszeleściła jakaś nylonowa torebka, gdzieś pojawił się kubełek z Mickey Mouse przerażony i do połowy zakopany w piasku, jakaś żółta łopatka z plastiku, kawałek porwanego buta plażowego, niebieskie pudełko po kremie Nivea, a wszystko to pieczętowały ślady czajek i mew. Ale i wtedy bywało pięknie, czasami podchodziła ramada, a jeśli wysoka woda zlitowała się niekiedy, to ze swoich głębin posyłała i turbota rdzawego, krągłego i ostrego jak tarcza Prabułgara.

Kiedy zaniósłem i położyłem przed Octem nową, zieloną teczkę, a w niej uporządkowane, ponumerowane i podpisane wszystkie akta dotyczące prowadzonej przeze mnie sprawy, łącznie z końcowym wnioskiem przekazania jej prokuratorowi, zgodnie z prawem, poruszyłem oczywiście temat obiecane go urlopu. Trzymał akta u siebie przez cztery dni. Przez cały ten czas siedziałem w swoim pokoju i nic nie robiłem, tylko czekałem niespokojny, nerwy mając napięte do granic wytrzymałości. Od czasu do czasu zaglądałem do drugiego egzemplarza, który sobie zostawiłem. Czytałem kolejny raz, sprawdzałem, przyglądałem,

patrzyłem, czy nie popełniłem gdzieś błędu, czegoś nie przepuściłem, starałem się dociec, co ewentualnie może mu się nie podobać. Byłem prawie pewien, że coś nie jest jak trzeba, że coś mu się nie podoba; było to może nie tylko moje przewrażliwienie, ale i przejaw mojej wewnętrznej niepewności.

Czwartego dnia pod koniec urzędowania zadzwonił do mnie osobiście. Kiedy wszedłem, teczka leżała na końcu biurka bliżej mojej strony. Palił papierosa. Schował pudełko z papierosami oraz zapalniczkę i dwoma palcami, w których palił się papieros, wskazał na teczkę. Zrozumiałem, że mam ją wziąć. Wziąłem. Teraz powinienem usłyszeć, co mam dalej robić, czy mam ją zabrać do siebie, czy przekazać prokuratorowi. Długo milczał i patrzył przez okno. Wyrzaz twarzy miał najkwaśniejszy, jeżeli tak można stopniować.

- No, można przekazać, ale... - powiedział w końcu. Postąłem trochę, lecz nie usłyszałem ani słowa więcej. Zrozumiałem, że mam odejść.

Więcej niż cztery dni nie odzywał się, zły, i torturował mnie tym urlopem. Od Giczki dowiedziałem się, że mi pozwolił.

Z Kycym poszło mi lepiej.

Wpadłem w taki stereotyp, w jaki wpadają autorzy powieści kryminalnych. Bohater skończył właśnie dochodzenie w bardzo ciężkiej sprawie i jedzie na zasłużony odpoczynek, ale pojawia się zupełnie nowa sytuacja, jeszcze bardziej skomplikowany przypadek i bohater na ten odpoczynek jednak nie jedzie. Bierze się do rozwiązania kolejnej zagadki, co lekko mu przychodzi i teraz już spokojnie może jechać, gdzie chce. Cóż robić, podobnie miała się sprawa ze mną, a skoro takie rzeczy mają miejsce w życiu, to czyż winni są tu autorzy powieści kryminalnych?

Jadąc samochodem autostradą wzdłuż wybrzeża z Warny

do Burgas zawsze zwracałem uwagę i wpatrywałem się w jeden zakątek nad naszym Morzem Czarnym. Kilka kilometrów za Białą drogą biegnie w dół, dość ostro, wchodzi w niewidoczny prawie skręt w prawo, opadając niżej jeszcze jakieś sto metrów, i raptownie skręca w lewo, by dalej biegnąć równiną. I dokładnie w tym miejscu, tuż za ostrym skrzętem, jeżeli spojrzysz ku morzu, to zobaczysz właśnie ten zakątek. Tutaj zbudowano camping o romantycznej nazwie „Księżyc”. Nie ma w nim nic szczególnego, ale jakaś niewyjaśniona bliżej przyczyna i głos wewnętrzny przyciągał moją uwagę. Raz nawet zatrzymałem wóz i podszedłem obejrzeć to miejsce. Rzadkie, niewysokie drzewa, rzadkie krzaki, rzadkie kępy ostrych traw. Wszystko leżało w samym słońcu. W lewo od strony północnej wznosiła się jak ściana oporowa wysunięta i jakby nożem ścięta skała, tu kończyły się góry. Za nią od strony morza sterczały wysokie chaotycznie rozrzucone skałki, wśród których połyskiwały zatoczki, w prawo zaś równe, szerokie pasmo plaż, a w dali na przeciwnym brzegu biła w oczy biel zabudowań Obzoru.

Tutaj właśnie tego pięknego majowego dnia rozbiliśmy namiot.

Siedziałem rozebrany, tylko w spodenkach kąpielowych, na wysokiej skale ponad niebieską taflą zatoczki i łowiłem ryby. Siedziałem już długo, od wieczora. Widziałem, jak dniało, jak jasna linia horyzontu oddziela się od czarnej linii wody, jak pomarańcza słońca ukazuje się powoli i tnie po oczach świetlistą smugą, jak ciemna powierzchnia morza poweselała nagle i rozbłysła kolorami, a potem zrobiło się gorąco.

Dzisiaj ryba nie brała. Na nieobciążonej i pustej wędce połyskiwały krople wody i zębki haczyka. Ryby wędrowały gdzieś dalej przestrzeniami ogromnej wody.

Słyszałem parskanie motoru i widziałem przepływający

stateczek z nosem lekko uniesionym ku górze, osiadły na tyle przypominał samotną białą gęś. Była dziesiąta.

Zarzuciłem po raz ostatni, poczekałem, aż ciężarek pójdzie na samo dno, pociągnąłem, znów poluzowałem i zacząłem nawijać. Poczulem lekkie uderzenie. Wierzchołek wędki drgnął, po chwili wyciągałem miotającego się i mieniącego jak bengalskie ognie ostroboka. „Głupiec” - pomyślałem. Zdjąłem go z haczyka, pochyliłem się i wpuściłem do kubelka, na którego dnie nieruchomo lub ledwie się poruszając trwały takie same nieszczęśniki. Jak więźniowie za kratkami, przeszło mi przez myśl i uśmiechnąłem się. Było to tanie i sentymentalne porównanie. Skąd bierze się coś takiego? Nie należałem do ludzi sentymentalnych, a najmniej w połączeniu z moją pracą zawodową.

Przecież to twoja praca, na tym polega twoje zajęcie: łowić i zamykać - za to ci płacą, za to ponosisz odpowiedzialność!... - spróbowałem odplacić samemu sobie ironią, ale nie rozbawiło mnie to ani nie uspokoiło. Jakoś spokój nie odwiedzał mnie ostatnio, ogarnął mnie raczej dość dziwny nastrój, coś nieokreślonego, oślizgłego, niepewnego. Ogarnęło mnie to jeszcze podczas przygotowywania ostatecznej wersji aktu oskarżenia Gena Tomanowa i Weliki, kiedy kwalifikowałem sprawę zgodnie z kodeksem karnym - paragraf, punkt, litera... Kiedy stałem z aktami w rękę i czekałem, co Ocet na to powie...

Odwiązałem haczyk od linki, ostrożnie wpiąłem go w kartonik, tak jak uczył mnie Weso, zebrałem wszystkie manele i ruszyłem ledwie widoczną ścieżynką w dół.

Odpowiedzialność!... złapałem ostatnie słowo z moich myśli. Co to jest odpowiedzialność? Jest to słowo, które służy napaści na innych, którym chętnie demonstruje się pryncypialność, słowo zebrań i przemówień. Grzmiące słowo... Ież to razy w naszym codziennym życiu zagubiło

gdzieś swoją wartość osiągając pełną dewaluację? Kiedy prawdziwy sens i treść tego słowa spotka się z twoim sumieniem?

Namiot rozbity był jakieś piętnaście metrów od wody - pękaty w zielono-pomarańczowych barwach z daszkiem przypominał dżokejską czapkę.

Tania leżała na dmuchanym materacu w kostiumie kąpielowym, różowo-żółta, z kawałkiem gazety przyklepionym na cienkim nosku.

- Będziemy się kąpać? - spytała mrużąc oczy od słońca, kiedy usiadłem przy niej.

- Będziemy.

A ona jakby na to czekała. Wyciągnęła rękę po czepek, schowała pod nim włosy i prawie pobiegła w stronę morza. Wpadła z rozpędem, aż woda dłuższy czas rozpryskiwała się u jej kolan, a potem coraz wyżej, aż zupełnie sylwetka zaczęła się zatapiać, rozpostarła ręce i runęła w wodę. Na powierzchni widać było tylko biały czepek, podobny do piłeczki unoszonej przez fale.

Usiadłem na swoim miejscu, patrzyłem i przygotowywałem się do pójścia w ślady białej piłeczki. Nagle za moimi plecami coś się poruszyło. Odwróciłem się. To ryba podskakiwała w kubelku, który postawiłem na piasku. Pochyliłem się, wziąłem kubek i przestawiłem pod daszek w cień. Potem oczyścić je i upieczemy, pomyślałem. Ryba znów podskoczyła. Był to pewno ten ostrobok, którego złapałem przy ostatnim podejściu. Rzucił ogonem i patrzył na mnie pełen przerażenia i zdumienia.

To nieprawda!... To nieprawda!...

Tak samo patrzył na mnie Geno, kiedy mówił te słowa, zanim wyprowadził go dyżurny.

Ruszyłem plażą, potem wodą, rozrzucając dookoła wielkie bryzgi, aż osiągnąłem głębię i ogarnął mnie jej chłód, a przez szklaną przejrzystość zobaczyłem żółty piasek dna pełen raczków i muszelek. Co się ze mną dzieje?

Przez cztery dni na kartkach papieru pisał jedynie te dwa wyrazy:

„To nieprawda!”

Na przesłuchaniach milczał jak niemowa.

Piątego dnia napisał więcej.

„To nieprawda! To nieprawda! Nie zabiłem swojej żony! Nie targnąłem się na jej życie!”

Potem zaczął pisać długo, szczegółowo, poetycko. Jak pokochali się z Neweną jeszcze jako uczniowie, jak zawsze nad nią czuwał, jak się nią opiekował, jak się pobrali i urodziło się dziecko. Przyznawał się do wszystkiego - że poznał Tonie, że się z nią spotykał i na początku wszystko było w porządku, ale potem żona jego dowiedziała się, bo znalazła jej listy. Opisał, jak Tonia będąc pod wpływem starej zaczęła coraz bardziej nalegać, a najbardziej nalegała Welika, by się wreszcie zdecydował i wyjaśnił całą sytuację... Jak zaczęły obie wydzwaniać do jego żony z wymysłami, jak żona przed nim na nie płakała, a jego serce było rozdarte. Jak Newena zdybała ich przed kinem i Tonia wyjechała, by uciec przed nim i by łatwiej było zerwać. Następnie szczegółowo opisał jazdę do Kjustendiłu, pisał o starej, która powiedziała, że nareszcie znalazła to, czego potrzebuje, a on bardzo się przestraszył, gdy uświadomił sobie, co to jest, nie chciał nawet butelki na oczy widzieć, ale stara siłą włożyła mu ją do kieszeni płaszcza, więc poddał się, a pod wpływem jej próśb i gróźb zgodził się i obiecał. Kiedy wrócił do domu, to butelkę miał w kieszeni płaszcza. Żona już leżała, myślał, że śpi, ale gdy wyciągnął butelkę i wstawiał ją do szuflady, ona zobaczyła i zapytała go, co to jest. Wtedy powiedział, że to preparat do spryskiwania drzew, że to trucizna i niech tego nie dotyka, gdyż nawet dwie krople są śmiertelne. Powiedział tak, bo był bardzo przestraszony i nie mógł wymyślić nic innego, a potem mu się wydało, że to może i lepiej, bo nie będzie go o nic podejrzuwać, a i nie

naraża się na niebezpieczeństwo, że przez przypadek jego by otruła. Dni mijały, a on ciągle nie mógł znaleźć sił, by się zdecydować, nie chodził do Toni i Weliki, bo je znienawidził. Aż tu któregoś dnia odwiedziła go stara. Pisał, że miałem rację mówiąc, iż zrobiła to specjalnie w obecności żony, by mu życie do reszty obrzydzić i by go zmusić do działania. Następnego dnia zadzwoniła do niego Tonia, a on obiecał jej, że w południe spotkają się i porozmawiają. Potem pojawił się ten samochód. Długo i szeroko opisał, jak Penczew zadzwonił, jak wziął się do załatwiania formalności, jak przypadkiem spotkał Malinowa i zabrał jego motor, ponieważ nie mógł nigdzie złapać szwagra, by pojechać jego samochodem, bo chciał jak najszybciej być na miejscu. Napisał też, że rzeczywiście w południe znalazł się w centrum, ale nie po to, by się zobaczyć z Tonią, lecz by wziąć pieniądze, bo nie starczyło mu na rejestrację. A kiedy brał z szuflady pieniądze, to przyszły siostry Neweny, więc je zaprosił do środka i zostawił w domu, bo miał wiele spraw do załatwienia. Potem opisał, jak szukał Dancza, który pracował na pierwszej zmianie i poszedł na obiad, jak znaleźli go w Slatinie, co powiedział Danczo, ile zaśpiewał. A gdy wrócił do domu, Zorka powiedziała mu, że Newena źle się poczuła i zawieźli ją do szpitala, nie wspomniała nic o truciźnie, ale że źle się poczuła, więc on pomyślał, że to znów serce... Przyznaje, że skłamał, kiedy mówił, że spał u przyjaciela, okłamywał mnie i w innych sprawach, przyznaje się do tego, w ogóle przyznawał się do wszystkiego, ale wśród tego potoku słów nie było ani jednego, które wskazywałoby na fakt, że otrułem swoją żonę. „Być może nawet zdecydowałem się, miałem zamiar, może rzeczywiście chciałem to zrobić - tak o tym pisał - ale tego dnia, nie, tego dnia co innego było mi w głowie, właśnie tego dnia głowę miałem zaprzątniętą samochodem...”

Wyszedłem z wody i leżałem nosem w piasku opierając czoło na rękę. Mój ciepły oddech spotęgowany ciepłotą

piasku dusił mnie, a w zębach trzeszczał mi piasek. Słyszałem kroki Tani, wychodziła z morza.

- Co ci jèst? - spytała, pochylona nade mną, a dwie krople chłodnej wody sparzyły mi plecy.

- Nic mi nie jest - powiedziałem nie odwracając się nawet i nie podnosząc głowy.

Postała chwilę i poszła do namiotu przebrać się.

„Wieczorem, po otruciu, Geno przyszedł do nas - pisała Welika Panowa. - Był bardzo poruszony, zdenerwowany... Ty mi nic nie dawałaś... Zniszczę was... Uderzył mnie, wyskoczył na ulicę... Na skwerze koło ambasady... Zabiłem żonę! Otrułem ją... i dwie szwagierki... jej siostry... Tak lepiej! Nikt nie będzie podejrzewać!”

Wstałem, powoli podszedłem do wody, wchodziłem wolno, woda sięgała mi do piersi, trochę się opierała i odpychała mnie. Zanurzyłem się, natarłem ciało, obmyłem z piasku, co przylepił się wszędzie, i wróciłem do namiotu.

- Chodź, pojedziemy do Burgas - powiedziałem.

Tania siedziała w cieniu daszku i rozczesywała włosy.

- Po co? - spojrzała na mnie trochę spod oka. - Co będziemy tam robić? Przecież wczoraj tam byliśmy?

- Muszę porozumieć się z urzędem. Może jest coś nowego.

- Przecież wczoraj sprawdzaliśmy. Powiedzieli, że nic nie ma.

- Być może już coś jest. Musimy pojechać...

- Jedź, skoro chcesz - powiedziała oschle.

Włożyłem sztruksy na mokre ciało.

Rozgrzane powietrze w samochodzie parzyło mi twarz. Wyjechałem na szosę, na prostej w kierunku Obzoru nacisnąłem pedał do dechy, ale samochód coś nie szedł jak trzeba. Może dlatego, że upał był ogromny. Koszula lepiała mi się do pleców. Opuściłem okno do końca. Domy w Obzorze drzemały leniwie, wszyscy byli na plaży. Na długim stromym zjeździe do wsi Banja byłem już przekonany, że z

samochodem coś się dzieje, nie wiedziałem, czy to z upału, ale wskazówka temperatury wody w silniku w zastraszającym tempie schodziła do krytycznego czerwonego punktu. Tam na górze droga biegła lasem i było mi nawet chłodno, ale szybko serpentynami dotarłem do Słonecznego Brzegu, skręciłem zgodnie z objazdem w prawo i wyleciałem aż na drugim końcu pod stacją benzynową, a stamtąd to... Tym bardziej że szeroka szosa była prawie pusta o tej porze.

Pusto było także w Urzędzie Okręgowym, trafiłem na przerwę obiadową. Zjawiłem się w pokoju dyżurnego.

- Jest coś dla mnie?

Młody porucznik spojrział na mnie zdumiony nic nie rozumiejąc.

- Jestem Damow z sofijskiego Wydziału Śledczego - wyjaśniłem.

Porucznik wzruszył ramionami.

- Ja nic nie dostałem.

Mogłem od razu porozumieć się z firmą, ale to nie miało sensu, tam też była przerwa obiadowa. Musiałem poczekać około dwudziestu minut. Wydawały mi się wiecznością. Wszedłem do cukierni naprzeciwko, diabli wiedzą dlaczego otwartej o tej porze, wypilem coca-cole, zjadłem lody, choć wcale nie miałem na to ochoty.

Dziesięć po pierwszej zadzwoniłem do Tinkowa.

- Witaj, Tinkow, co słyhać? - spytałem opanowanym głosem.

- Towarzyszu... Damow, to wy? Skąd dzwonicie? - domyślił się od razu.

- Z Burgas, z urzędu.

- Wszystko w porządku, obywatelu majorze, prokurator działa. Sprawa będzie czwartego. Szybko poszło. A wy jak, jak urlop?

- Dziękuję, dobrze.

Położyłem słuchawkę.

Chłopak na pewno się obraził.

Z miasta wyjechałem po dziesięciu minutach, przy pętli skręciłem na północ i zawróciłem. Przejeżdżając koło nowego, niedawno otwartego serwisu pomyślałem, że należałoby zatrzymać się, niechby zobaczyli, co się dzieje, ale pojechałem dalej. Gdybym chociaż gdzieś coś zjadł. Nie, nie chciało mi się jeść, nie chciało zatrzymywać ani rozglądać po drodze. Jechałem. Sam w samochodzie.

A więc prokurator działa... Nie ujdzie mu to na sucho, głupkowi! A jej także. Ale nie czułem zadowolenia. W ogóle nasza praca... jak każda inna... Nie ma lekkiej pracy, jeżeli wykonuje się ją jak należy. Tak jest, oczywiście. Ale może właśnie ta praca to nie dla mnie! Albo ja nie dla niej. Może lepiej, spokojniej byłoby, gdybym wziął się za adwokaturę albo radcostwo w jakiejś zagranicznej centrali. Ach ten Kycy!... Mieć do czynienia z ludzkimi namiętnościami! Miłością, nienawiścią, zazdrością, chciwością. Ze stosunkami międzyludzkimi w nowoczesnym społeczeństwie! Ale przecież one istnieją, odkąd istnieje świat i co się zmieniło? Może to jeszcze za wcześniej, ale co my robimy, by jakieś zmiany w ogóle zaszły?... Wykonujemy plany. Prasa, radio i telewizja niczym innym się nie zajmują - tyle metrów materiału, tyle kilogramów kartofli, tyle stalowych odlewów wyprodukowanych ponad plan... I co z tego? Co z tego, że wyprodukujemy więcej materiału, pralek, kartofli, cebuli, kapusty, że jeść będziemy więcej i lepiej, nie na klepisku, a przy stole, na miękkich krzesłach w stołowym pokoju nowego mieszkania, wpatrzeni w kolorowy telewizor, i że jeździć będziemy własnymi samochodami?... Dość, dość, to zupełnie jak z broszurek Armii Zbawienia i teorii Mao! Głupoty! Oczywiście musimy mieć więcej, byśmy byli bogatsi i syci! Ale czy mimo wszystko tylko o to chodzi? I czy głównie o to? A etyka, morale? Czy jeśli człowiek włoży nowy garnitur, jeśli kupi nowe mieszkanie, jeśli będzie jeździć własnym samochodem, to czy dzięki temu

automatycznie stanie się bogatszy duchem, lepszym, prawdziwszym, bardziej kochającym ludzkość, dostojnym członkiem naszej społeczności? I gdy tak walczymy z biedą, niedostatkiem, podnosząc nieustannie poziom życia i materialną bazę społeczeństwa, to czy z taką samą energią i przy pomocy takich samych środków walczymy o jego świadomość? Nowe fabryki, nowoczesne maszyny, automatyczna aparatura, elektroniczne systemy sterowania zakładami pracy. Ale co nowego i co więcej uczyniliśmy na rzecz podniesienia poziomu duchowego człowieka? Czy są jakieś nowe środki i formy działania w tym kierunku? Ja przynajmniej nie mogę sobie tego uświadomić. Pozostały w mej pamięci i jeszcze gdzieś tam tkwią czytane w dzieciństwie na słupach i plakatach, a także transparentach hasła i dewizy, które teraz tak odbijają się w naszej świadomości, jak stara, wielokrotnie używana kalka na białej kartce papieru. I to właśnie jest przyczyna mego silnego rozgoryczenia... To po prostu mnie męczy...

Od kilku kilometrów, nie zdając sobie z tego sprawy, miałem uczucie, że nie jadę jak należy. Nie, nie była to sprawa samochodu, mimo że dawno spoglądałem na wskazówkę termometru. Jechałem powoli... Pewno stąd to nie-naturalne zachowanie. Dziesięć-piętnaście metrów przede mną równie powoli jechała ogromna czarna limuzyna, prawdopodobnie amerykańskiej produkcji, ale o owalnym calowym numerze. A on na co tak patrzy, czemu się przygląda? - pomyślałem. Znalazł sobie moment!

Dochodziła już trzecia, upał ogromny, a przy tak małej szybkości nie sposób było ochłodzić się. Zły, włączyłem lewy migacz i próbowałem go wyminąć, ale szybko musiałem wrócić na swoje miejsce. Co najmniej dwadzieścia samochodów jechało przed nami noga za nogą, gdyż na samym początku kolumny posuwał się w żółwym tempie ogromny samochód-platforma, wiozący rury stalowe

o przekroju, w którym zmieścić mógłby się z powodzeniem dorosły człowiek. A do tego wszystkiego z przeciwnej strony ciągle nadjeżdżały samochody, tak że o wyprzedzeniu mowy być nie mogło. Nie było rady, należało uzbroić się w cierpliwość.

„Cóż zdołaliśmy zmienić do tej pory w świadomości człowieka? Jakież cnoty zdążyliśmy pomnożyć? Cóż nowego zaszło w sposobie przejawiania ludzkich namiętności i emocjonalnych reakcji? Oczywiście jest to diabelnie trudna sprawa, a czas działania szalenie krótki. Ale mimo wszystko... Ostatnio słyszę, że jestem specjalistą od zabójstw... Zabójstwo u nas teraz i w przeszłości z historycznego punktu widzenia, można powiedzieć, nie było zjawiskiem częstym i charakterystycznym dla naszych reakcji... Ale czy zaszły jakieś zmiany w przyczynach, w pobudkach, które są motorem działania? Przyznaję, że nie prowadziłem jakichś specjalnych badań, ale gdyby z mojej praktyki wziąć przypadki tak na chybił-trafił... Przed trzema laty baj Dano Dermendziew pogruchotał klatkę piersiową swego sąsiada łopata tylko dlatego, że ten o swojej willi przechodził kawałkiem jego parceli. Reakcja stara jak świat!... Christo Petrow Suchow zabił kasjera z Kompleksu Rolniczo-Przemysłowego w Słaninci, by zabrać trzysta tysięcy lewów... - znane, nawet banalne... Wenci Kaczulew inscenizuje cały teatr z korkami, światłem itd., a w rzeczywistości wali łomem swego współlokatora tylko dlatego, że ma ochotę mieszkać sam - lekkomyślność i brak odpowiedzialności... A Geno Tomanow? Dlaczego za jednym zamachem zrobił taki tłok w kostnicy?...”

- Nie! To nieprawda! To nieprawda!

„To prawda, Tomanow, to prawda! Żebyś nie wiem jak krzyczał, żebyś nie wiem jak patrzył na mnie tymi krągłymi oczkami, pełnymi przerażenia!... Ty się przyznałeś! Twoja niedoszła teściowa powiedziała, że krzyczałeś: Ja zabiłem żonę, otrułem ją! I obie siostry; dlatego nikt mnie nie

będzie podejrzewał. - Tak, nikt nie ma wątpliwości, że ty jesteś mordercą. Ocet też, a on się nie myli. Prokurator też. W sądzie powiesz wszystko. Mamy fakty. Fakty”.

Czarna limuzyna przede mną wyskoczyła na lewy pas, zatrzymała się na sekundę i jak szalona popędziła, by wyprzedzić innych. Oto jak dochodzi do wypadków!

„Ale co mnie tak mimo wszystko gnębi? Cóż to za niepewność czai się gdzieś pod skórą? Co powiedziałem przed chwilą? Tłok w kostnicy!... Może to to. Przecież to nie zawodowiec, nie jest nienormalny, nie działał w afekcie... W tym: nie!, w tych pełnych pomieszenia i przerażenia oczach była szczerść! Tak, to trzeba przyznać, potrafi szczerze kłamać. Po raz pierwszy spotykam się z tego rodzaju talentem. Ale jeszcze nie spotkałem się z przypadkiem, kiedy obwiniony pod ciężarem dowodów nie załamuje się. Fakty, te fakty... Gdzieś czegoś brakuje, czegoś bardzo małego jak ziarnko prosa. Ta przeklęta butelka po lemoniadzie, w której była trucizna... Należało ją odnaleźć. Ona musi gdzieś być, musi być choćby ślad”.

Dopiero na rozjeździe Nesebyr - Słoneczny Brzeg szofer tej ogromnej ciężarówki przypomniał sobie, że w przepisach istnieje sformułowanie: „Przepuść kolumnę!”, a może dopiero w tym momencie miał warunki. I dwadzieścia samochodów uwiązanych do tej pory jak charty na smyczy znalazłszy się na wolności zaczęły się prześcigać. Zajeżdżały sobie drogę, wyprzedzały i to wszystko na stromych, skręcających pod ostrym kątem serpentynach, na prostych i nie zawsze prostych skrzyżowaniach. Nie byłem odpowiednim partnerem, samochód grzał mi się. Niektórzy szybko zostawili mnie w tyle, innych ja zostawiłem, gdyż skręciłem na drogę prowadzącą do campingu „Księżyc”.

Tania spała w namiocie przykryta tylko prześcieradłem. Różowe wargi rozchylone, długie rzęsy, głowę położyła na dłoniach, ładny obrazek.

Nie przerwałem jej snu. Złożyłem krzeselka i aluminiowy stół rozstawiony w cieniu namiotu. Zabrałem umorusany sadzą garnek z ogniska, które sam zrobiłem. Rączka garnka była gorąca, upuściłem go, a on zabrzączał o kamienie paleniska. Tania obudziła się.

- Co robisz? - wysunęła głowę z namiotu, zaspana jeszcze.

- Zbieram.

- Ale co się z tobą naprawdę dzieje? Wzywają cię? - sen uciekł z jej twarzy. I po raz pierwszy w głosie jej dosłyszałem nutki, których do tej pory nie znałem.

- Nie, ale chcę wracać.

Szła ku mnie, otulając się szlafrokiem.

- Dlaczego? Przecież mamy jeszcze cztery dni?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, schwyciłem garnek i zaniósłem do samochodu.

- Czy to moja wina? - słyszałem za sobą. Nie była to prowokacja, a chęć załagodzenia sytuacji.

Zostawiłem garnek, podszedłem i objąłem ją.

- Nie, nie twoja... To chyba ja...

Pocałowałem ją w szyję. Odwróciła głowę i nie sięgnęła ust.

Zebraliśmy bagaż, wyciągnąłem ryby, złożyłem namiot, ułożyliśmy wszystko w samochodzie i opuściliśmy ten miły i urzekający moim zdaniem zakątek. Słońce opuściło już szczyty gór, morze zarzuciło swoją wieczorną przezroczystą koronkę. Powoli wypełzał już cień, nad brzegiem było ciemniej, ale horyzont jeszcze błyszczał.

Oprócz kilku krótkich, zwyczajnych, nic nieznaczących zdań przez całą drogę nie zamieniliśmy ani słowa, cała podróż upłynęła w milczeniu. Gdzieś koło Karnobadu Tania poprosiła, bym się zatrzymał, przeniosła się na tylne siedzenie i tam przytulona do torby podróżnej spała czy też leżała aż do samej Sofii. Przyjechaliśmy koło pierwszej w

nocy. Pomogłem jej wylądować i przenieść bagaż, wsadziłem do windy, poczekałem, aż ruszy do góry, następnie wróciłem do wozu, wsiadłem i pojechałem do domu.

15.

Prawie ukradkiem przeszedłem wejściem służbowym do więzienia, gdzie Geno Tomanow siedział w areszcie tymczasowym aż do wyjaśnienia sprawy. Był to czas, kiedy moi koledzy szli właśnie do pracy, a ja nie miałem ochoty spotkać któregoś z nich, wyjaśniać mu, co robię w Sofii, skoro jestem na urlopie i tak dalej.

Poprosiłem, by przyprowadzili Tomanowa do pokoju wicedyrektora, który tak jak ja był na urlopie i jego pokój był pusty. Coś długo motał się milicjant, w końcu przyszedł i powiedział, że muszę poczekać, bo więzień właśnie poszedł do lekarza na badanie.

- Czy chory? - spytałem szybko.
- Nie wiem, to tymczasowy - odpowiedział milicjant.
- Kolega mówił, że skarżył się na zawroty głowy.

Wyszedł i po jakichś piętnastu minutach wrócił z Genem. Wprowadził go do gabinetu, zasalutował i wyszedł, by czekać na korytarzu.

Tomanow był ogolony i wymuskany jak zawsze, ale wychudł i szerniał. Nie chciał, a prawdopodobnie nie mógł na mnie patrzeć.

- Co panu dolega? Co powiedział lekarz? - próbowałem nawiązać rozmowę, czując się jednak nieswojo. Prawdopodobnie dostał już kopię aktu oskarżenia.

Milczał i patrzył w podłogę.

- Chciałbym pana o coś spytać - zacząłem - my o tym już rozmawialiśmy i w aktach to jest, ale chciałbym jeszcze raz coś uściślić... Kiedy pan wrócił do domu w południe, by wziąć pieniądze na rejestrację, otworzył pan szufladę. Była

zamknięta, prawda? Pan ją otworzył? - spojrzałem na niego.

Zupełnie jakby w pokoju nie było nikogo, jakby nikt do niego się nie odzywał, takie sprawiał wrażenie.

- Kiedy otworzył pan szufladę, to butelka z parationem tam była? Pan ją widział?

Wyglądało na to, że zauważył brak zdecydowania w moim głosie, niezbyt kategoryczny jego ton, jakąś nadzieję, co spowodowało, że ożywił się trochę.

- Nie wiem - odparł głucho. - Szukałem pieniędzy, a nie butelki. Pieniądze były na wierzchu, a butelkę schowałem głęboko. Nie sprawdzałem.

Odpowiedź ta była tak logiczna, szczerą, że zupełnie możliwe, iż nie kłamał.

- Dobrze - powiedziałem trochę zły. - Nie mam do pana więcej pytań... Chcę tylko panu poradzić, by przed sądem powiedział pan całą prawdę, by był pan szczerzy. To zawsze robi odpowiednie wrażenie.

- Wiele rad od pana słyszałem - podniósł głowę i odwrócił się, ale nie w moją stronę - i nie mam ochoty na więcej. Nie życzę sobie.

Wstałem, podszedłem do drzwi i otworzyłem je. Mili-cjant palił papierosa.

Wiedziały o tym trzy osoby - myślałem schodząc po schodach - trzy osoby wiedziały o tej przeklętej butelce, która wbiła się w mój mózg. Welika wiedziała, bo mu ją dała. Geno, bo ją wziął i schował, a Newena, bo widziała, jak ją chował i powiedział jej wtedy, że to na drzewa, żeby nie dotykała, bo to silna trucizna... dwie krople i śmierć! Tak, Newena też. Oni troje. Welika to najmniej prawdopodobne. Ona dała, ale zupełnie niemożliwe, by wiedziała, gdzie schował. A i nie mogła tam pójść i to zrobić, by jej ktoś nie widział, nie otworzył drzwi. Musi być klucz, klucz... Geno... znamy tę wersję... powiedzmy, że... Newena... co Newena... Newena...

Za każdym razem, kiedy zgodnie z logiką wypadków od-
twarzałem obraz tego otrucia, dochodziłem do momentu, w
którym Newena wraca z dworca i siada do obiadu sama, a
trucizna jest już w środku. A dalej - co? Co się dzieje? Co
dalej robiła? Je i sprząta potem ze stołu. Nie. Być może
kładzie się, bo trucizna zaczyna działać, to silny środek,
zaczyna się męczyć, traci świadomość, woła o pomoc. Zor-
ka słyszy. Co ci jest, Wenka, co się z tobą dzieje? Pogoto-
wie! Przyjeżdża, wynoszą ją, odjeżdżają. Tak, a teraz w
szpitalu! Wnoszą, badania wstępne, diagnoza. Rozbierają,
wkładają szpitalne ubranie, kładą do łóżka.

Nie wiem, jak wyszedłem z więzienia, jak uruchomiłem
samochód, jak pojechałem do szpitala. Wiedziałem, że
Newena jeszcze tam jest, na skutek działania trucizny wą-
troba jeszcze nie pracuje jak należy i dlatego pozostała na
obserwacji.

Najpierw poszedłem do informacji.

- Po przyjęciu do szpitala rzeczy osobiste chorych
tutaj zostają, prawda? - spytałem dyżurną.

- Niektóre tak - odpowiedziała roztargniona gryząc
długopis i myśląc nad czymś. - Pan się wypisuje?

- Tak.

- Niech pan poszuka Krystanowa. W głębi korytarza,
ostatnie drzwi. Lub niech pan złapie Marę - i zaczęła coś
pisać.

- Dziękuję.

Krystanowa nie było, ale była Mara. Siedziała przy ma-
łym biurczku za przepierzeniem z okienkiem i jadła bułkę
z kwaśnym mlekiem.

- Wypisuję chorobę - powiedziałem.

- Kogo? Nazwisko? - spytała Mara. Newena Ewgeni-
jewa Tomanowa.

- A, ta co się truła... Ale ona jeszcze leży.

Wstała jednak, wzięła jeszcze do ust łyżeczkę mleka i
poszła w głąb pólki z poukładanymi na nich tobołkami.

Była to niska, gruba kobieta, biały fartuch ledwie się na niej dopinał.

Przyniosła tobolek z rzeczami i położyła w okienku przede mną, ale tym razem kończyła jedzenie odwrócona do mnie plecami.

Nie był to tobolek, a biała torba specjalnie po to uszyta. Wyprana, z wyraźnymi cyframi. Wyjmowałem rzeczy po kolei - kremowa koszula, pończochy, sukienka, stanik, bawełniana kamizelka, fartuch kuchenny, kapcie, majtki. Sukienka nie miała kieszeni, ale biała bawełniana kamizelka miała jedną. Z niej to właśnie wyjąłem zmięty kawałek papieru i mały kluczyk, mosiężny mały kluczyk do sekretnego zamka szuflady.

Ukradkiem spojrzałem - Mara cały czas odwrócona do mnie plecami wyskrobywała resztki mleka ze ścianek pojemniczka.

Rozprostowałem zmięty kawałek papieru. Niezbyt wyraźnie ktoś napisał:

„Wenka, autokar ma dwie godziny opóźnienia, więc wróciliśmy, by coś zjeść i nie jechać na głodnego. Jedzenie bardzo dobre, tyle że zapach ma trochę przykry, podsmaż na maśle. Przyślemy kartkę. Twoje siostry”.

- Czy muszę mieć kwit? - spytałem chowając kartkę do kieszeni.

- Oczywiście, a co, nie ma pan? - odwróciła się Mara do mnie.

- Zapomniałem wziąć z góry.

Wrzuciłem rzeczy z powrotem do torby, zostawiłem na okienku i poszedłem.

Neweny nie było w pokoju. Powiedziano mi, że jest w ogrodzie, na spacerze.

Rozkwitły już wszystkie kwiaty. Kosiarz machał kosą i trawa spokojnie kładła się na ziemię. To tu, to tam w cieniu siedzieli chorzy w malinowych lub zielonych szlafrokach.

Newena powoli przechadzała się z jakąś inną chorą po zacienionej części alejki. Rozmawiając, szły naprzeciwko. Przypadkiem podniosła oczy i zobaczyła mnie. Zatrzymała się, wolno położyła rękę na piersi i pozostała tak nie spuszczać ze mnie oczu, dopóki nie podszedłem.

- Dzień dobry - powiedziałem na przywitanie.

- Przepraszam cię - powiedziała Newena do przyjaciółki i ruszyła w drugą stronę.

Usiedliśmy na najbliższej wolnej ławce. Milczeliśmy chwilę. Zaróżowiła się trochę, ale bardzo zeszczupiała. Twarz zupełnie się jej wydłużyła, a kości policzkowe po prostu sterczały.

- Pani wie, prawda? - spytałem.

- Wiem - odpowiedziała cicho tym swoim dziecięcym głosem.

Założyłem nogę na nogę, a w rękę, którą oparłem na kolanie, trzymałem kluczyk: bawiłem się nim, gładziłem palcami.

Widziała to, ale wyraz twarzy nie zmienił się.

- Skażę go - powiedziałem. - Dostanie to, na co zasłużył.

- Nie - zaprzeczyła cicho, ale jakoś twardo.

- Dlaczego tak pani myśli?

- Tak.

- Ukarzą go - powiedziałem - i to bardzo surowo!...

- Nie - powtórzyła. Milczała chwilę, urwała jakiś kawałek nitki z szlafroka. - On jest niewinny!

- No więc kto?

Podniosła kołnierz szlafroka, jakby chciała zakryć się przed chłodem.

- Ja - powiedziała po chwili zupełnie cicho i niezdecydowanie.

Odwróciła ku mnie twarz i patrzyła mi w oczy.

- Ja!... Ja to zrobiłam. Pan o tym wie, prawda? Widzę kluczyk. To jest mój kluczyk.

Milczałem.

- Ja... sama chciałam przed sądem, na rozprawie, wszystko powiedzieć. Postanowiłam - odwróciła się ku mnie, patrzyła tymi czarnymi szeroko otwartymi oczami, długie włosy opadły i zakryły twarz, odrzuciła je. - Nie mogłam już dłużej, czy pan rozumie? Ja chciałam i siebie, i jego! Postanowiłam, bo nie mogłam dłużej. Zmęczyły mnie tymi telefonami, listami, pogrózkami, wyzwiskami... I Toni, i jej matka... ona najbardziej. Geno odchodził ode mnie, a ja go kochałam. Ona też go może kochała, każdy ma prawo, ale dlaczego Gena? To mój mąż, mamy dziecko. I postanowiłam - nie będę żyć! Nie mogę dłużej! Najpierw tylko o sobie pomyślałam, a potem także i o nim, dlaczego tylko ja? Ja umrę, a on z nią zostanie? Postanowiłam, że oboje. Wezmę go ze sobą, choćby i do piekła, nie zostawię go im. Wieczorem, kiedy ta stara przysła, postanowiłam... Wiedziałam, gdzie jest trucizna. W szufladzie w butelce po lemoniadzie. Przyniósł sam. Wiedziałam, zapytałam, co to? Powiedział, że to na drzewa, i nie pozwolił dotykać. Nie dotykaj, powiedział, bo dwie krople i śmierć! Schował, zamknął w szufladzie, gdzie chował także swoje listy miłosne i pieniądze, i takie różne rzeczy. Ja o tym wiedziałam, bo miałam drugi klucz, ale nic nie mówiłam. Postanowiłam - koniec! I jego, i siebie! Nie oddam go. Tego dnia byłam zdecydowana. Kiedy przyjechały siostry, pytały nawet, co mi jest, dlaczego taka jakaś jestem? Ale powiedziałam, że nic mi nie jest. One sobie poszły. Powiedziały, że nie wrócą. Przygotowałam kurczaka. Otworzyłam szufladę, wzięłam to i nalałam do jedzenia. Wtedy on zadzwonił.

- A butelka? Co pani z nią zrobiła? Gdzie ona jest? - nie wytrzymałam i zapytałam.

- Butelkę wyrzuciłam do ubikacji... Ubikacja jest na podwórku. A szufladę zamknęłam, bardzo dobrze to pamiętam. Ale jak wróciłam, była otwarta.

- Tak, tak - przerwałem jej, ponieważ to już wiedziałem. - To znaczy on do pani zadzwonił, sąsiadka zawołała panią do telefonu...

- Sąsiadka mnie zawołała. Poszłam do niej, on mi powiedział o tych pieniądzech. To nic, pomyślałam sobie, to dobrze, zabiorę go stamtąd prosto do domu na obiad. Ale on nie przyszedł, bo musiał coś tam załatwiać w związku z samochodem. Powiedziałam sobie, nic nie szkodzi, poczekam do wieczora. Ale po powrocie... - przełknęła ślinę, gardło miała ściśnięte, w oczach łzy. - One wróciły. A przecież mówiły, że już nie wrócą... Jadły. Pisały o tym na kartce... - położyła głowę na oparciu ławki. - Jak ja teraz mam żyć? - Ledwie zrozumiałem, o co jej chodzi. - Po co mi takie życie? Dlaczego mnie odratowali? Rozejrzałem się. Jakaś siostra prowadziła po alejce chorego. Zrobiłem gest proszący o pomoc.

- Co się stało? - podbiegła i złapała Newenę. - No, wstań, proszę. Czy możesz iść?

- Jest trochę poruszona - powiedziałem kto wie dlaczego tonem pełnym winy. - Niech idzie do swego pokoju.

Pielęgniarka nie zwracała na mnie uwagi.

- Wstań - podniosła ją. - Chodź, zaprowadzę cię.

Wstrząsana płaczem i nerwowymi konwulsjami Newena ledwie podniosła się i zrobiła parę kroków podtrzymywana przez pielęgniarkę.

Zostałem sam. Siedziałem obejmując rękoma oparcie ławki jak rozpięty na krzyżu. Czy długo tak siedziałem, nie wiem, ale czas było wstawać.

Butelkę znaleziono tam, gdzie powiedziała Newena. Dość dużo czasu upłynęło, zanim udało mi się skompletować odpowiednią ekipę do tej wyjątkowo nieprzyjemnej operacji.

W firmie byłem dwie minuty przed końcem pracy. Do gabinetu szefa prawie wbiegłem.

- Jest?

Giczka zdjęła już roboczy fartuch i wkładała właśnie na głowę fioletowy ręcznie robiony beret. Nie była zdumiona moim pojawieniem się.

- Jest. Mnie zwolnił, a on zostaje, bo powiedział, że ma coś do zrobienia. Do widzenia - wzięła torebkę z biurka i wyszła.

Usiadłem na jej miejscu. Lepiej by było iść do siebie, ale bałem się, że Ocet wyjdzie.

Maszyna na biurku Giczki przykryta była czarnym pokrowcem. Zdjąłem go, otworzyłem, znalazłem czysty papier i wkręciłem. Zacząłem pisać. Nie, nie prośbę o zwolnienie - pomyliłem się, przepraszam i do widzenia. Kto tak robi! Opisałem nowe fakty i dane w sprawie Ewgenija Genowa Tomanowa i Weliki Tanewej Kosaczki z męża - Panowej. Proponowałem odroczenie sprawy sądowej, ponowne przejrzenie faktów w Wydziale Śledczym z powodu pojawienia się nowych okoliczności.

Tekst zmieścił się na jednej stroniczce, ale wiele kosztował mnie czasu i wysiłku. Wyobrażałem sobie, co mnie teraz czeka. Jak to wszystko wybuchnie, jak zmieni ustalony tryb pracy firmy, a moi koledzy patrzeć będą na mnie tak, jakby nic się nie stało, ale też usłyszę od czasu do czasu współczujące zdania w rodzaju - e, wielka mi rzecz, wszystko będzie dobrze. Jak to wszystko zacznie szumieć i wrzeć. Ale mój błąd nie był tylko moim błędem, uderzał w mego szefa i wyżej... prokurator wszczął postępowanie... więc i on... Nie ma lekko! Ale czy mogę pozwolić, by powieszono niewinnego człowieka?

Zastukałem w ramę dźwiękoszczelnych drzwi. Nie usłyszałem odpowiedzi, wszedłem jednak. Ocet podniósł głowę i spojrzał na mnie, jakby kiwnął nawet i pisał dalej. Pisał także wtedy, gdy na biurku położyłem kartkę maszynopisu i czekałem na jakąś reakcję z jego strony. W końcu z

pedanterią odłożył ołówek do pękatego wazonika, wziął pismo i długo je czytał. Zbyt długo moim zdaniem. Nie spojrzął na mnie.

- To niech zostanie. Ty jesteś wolny - powiedział, wziął ołówek i dalej zajął się swoją pracą.

Stuknąłem obcasami, stanąłem na baczność, zrobiłem w tył zwrot jak żołnierz i opuściłem gabinet.

Wolny! Tak, tak... wolny...

Nieskończenie długi czerwcowy dzień jeszcze się nie skończył. Nawet promienie słońca jeszcze nie czerwone, a złociste oświetlały górną część więziennego budynku, co czyniło go przytulniejszym i weselszym.

A teraz dokąd?

Zapуściłem motor, ruszyłem i zatrzymałem się na chodniku przed wejściem do domu, w którym mieszkała Tania. Nigdy nie byłem w środku, ale wiedziałem dokładnie, czwarte piętro, a w prawo państwo Romanowowie.

Duża, stara mosiężna wizytówka błyszcząca wypolerowana.

Zadzwońm.

Otworzyła mi starsza kobieta o dobrej twarzy, miała krótko przystrzyżone, kręcone włosy, siwe, prawie białe, jak sztuczne. Spojrzała na mnie zdumiona. W wysoko uniesionych brwiach kryło się pytanie.

- Szukam Stojanki Stanojewej.

W sekundę twarz przybrała zupełnie inny wyraz.

- Przed chwilą przyszła - powiedziała dama. Być może miała ochotę powiedzieć coś jeszcze, ale się rozmyśliła i podprowadziła mnie do jednych z drzwi. Zastukała, przyłożyła ucho.

- Panno Stanojewa, do pani! - odwróciła się, spojrzała na mnie białkami oczu i znikła.

Wyszła Tania. Zamrugowała oczami.

Wszedłem. Usiadłem na pierwszym z brzegu krześle.

Ona zaś usiadła na łóżku z dłońmi między kolanami. Nadal mrugała oczami.

- To tak się wita gości? Nie poczęstujesz niczym? - powiedziałem, kiedy doszedłem do wniosku, że już za dużo tego milczenia.

Podniosła się jak automat, podeszła do kredensu, zaczęła bezsensownie przeszukiwać wszystkie półki i szufladki.

Wiedziałem, że to nie ma sensu. Żeby tylko nie wyciągnęła teraz butelki wódki!

- Zrobić ci kawy? - spojrzała na mnie z poczuciem winy i przepaszająco.

O tej porze nie pijałem kawy. Trudno zasypiałem. Ale bez niej też nie mogłem liczyć na spokojny sen.

- Dobrze, niech będzie kawa!